

w krainach  
OBUNILOU

Jacques Valdou



JACQUES VALDOUR

84  
816

# W KRAINACH OBU NILÓW

Z oryginału francuskiego p. t.  
„AUX PAYS DES DEUX NILS“  
przełożył  
ANTONI LESZCZYC

Z 16 RYCINAMI I MAPKĄ

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum i Gimnazjum  
w GLIWICACH~~

~~Nr. 757~~



K S I Ą Ż N I C A - A T L A S

S. A. ZJEDNOCZ. ZAKŁADY KARTOGR. I WYDAWN. T. N. S. W.

LWÓW — WARSZAWA

~~IHB. 862 104 op.~~





Gal.  
DKra.  
757

OKŁADKĘ RYSOWAŁ K. SOPOĆKO

SI 18899



929-051A/Z:910.4

2479

Zakłady Graficzne Ski Akc. Książnica-Atlas we Lwowie.

A VI

ROZDZIAŁ I.

WGÓRĘ RZEKI NUBIJSKIEJ.

Wrzesień ma się ku końcowi.

Na Philae kładzie się cień gór. Wynurzająca się z wody świątynia, tarasy i kolumnady zapadają w ciemnościach nocy. Brzegi i rzeka zlewają się w jedno, tak samo jak ściana gór i czarne głębie, w których krążą gwiazdy. Lecz już księżyc wspina się na niebo i siecze wody Nilu deszczem błyszczących łusek. Wstaje lekki wiatr północny, rozpinamy żagiel. Feluka<sup>1</sup> sunie wzdłuż brzegu pod pióropuszcami palm; woda pluszcze o jej burty i śpiewa cichutko w nieznanym języku. Lecz prawie nagle wiatr ustaje. Barka stoi na kotwicy u brzegu. Wyciągam się na poduszkach i czekam cierpliwie, aż sen przesłoni urok łagodnej nocy, nieba usianego gwiazdami i rozmowy szarańczy z falami Nilu.

...Rozpala się świt. Rejs,<sup>2</sup> wysiadłszy na brzeg, pada twarzą na piasek i modli się. A potem czeka nadejścia wiatru. Nad rzeką, rwącą gwałtownie ku przesmykowi Czellał, wstaje dzień. Czarne góry, zbudowane z potężnych bloków, błyszczą w pierwszych promieniach słońca, a tuż

---

<sup>1</sup> Wąska, długa łódź, bardzo szybka i zwinna, z dwoma żaglami, kierowana także wiosłami. *Przyp. tłum.*

<sup>2</sup> Kapitan łodzi.

za nami świątynie w Philae pławią się w ich blasku. Gdy po upływie kilku godzin zrywa się wreszcie wiatr, rejs chwyta za ster, a dwaj młodzi Berberowie, stanowiący załogę, rozpinają wysoki trójkątny żagiel i feluka posuwa się mozolnie pod prąd. Prowadzą ją wzdłuż brzegów, szukając miejsc spokojniejszych, a gdy wiatr opada, czekają, aż zechce dąć na nowo.

I tak jedziemy przez cały dzień. Przesuwają się i nikną za nami wybrzeża smutne i puste, obramowane czarnymi górami. Oderwane od nich potężne głazy staczają się zwalami ku rzece, a czasem nawet wpadają w nią, świadcząc tem, że ongi zagradzały jej drogę i zostały zwyciężone.

Wąski pas roli uprawnej ciągnie się wzdłuż Nilu, przerywany co chwila jałową, schodzącą do rzeki górą; albo też pojawiają się nieliczne palmy, które chorują widocznie, pozostając przez zbyt długie miesiące w wodach, spiętrzonych przez tamę w Asuanie; inne leżą na ziemi, podmyte i wyrwane prądem. Nędzną tę ziemię, która już nie może wyżywić swych dzieci, Berberowie musieli porzucić, wędrując do Asuanu, a nawet do Kairu, by znaleźć pracę. Widać kilka wiosek opuszczonych na stoku skał, puste domy, ich popękane ściany i zapadające się sklepienia. Dopiero w upalnych godzinach południa dobijamy do wybrzeża, gdzie liczniejsze palmy, rozleglejsze pola uprawne i domy starannie utrzymane przypominają, że jest jeszcze trochę Berberów w Berberji. A otóż i oni, ci nieliczni mieszkańcy, w skąnym cieniu swych palm, z których zbierają owoce. Mężczyźni wspinają się na drzewa, wykorzystując nierówności kory, kobiety zbierają daktyle i układają je w kupki. Pracują bez pośpiechu: czas nic nie kosztuje, czyż można go wogóle wyczerpać? Przystają



zrywać owoce, siadają i patrzą na rzadką na tej opustoszałej rzece barkę...

Rejs bije czołem o szczerą skalę na wybrzeżu, odmawiając południową modlitwę. Potem ruszamy znowu w drogę, popychani ledwie uchwytnym powiewem. Jędziemy wzdłuż wąziutkiego szlaku kukurydzy, bobu i kwitnącej fasoli, przytulonego do brzegu przed najazdem pustyni. Powolne woły obracają koła sakkiyeh,<sup>1</sup> a gliniane czerpaki zraszają spragnioną ziemię wodą z rzeki. Rejs pozdrowia co chwila pracujących w polu Berberów słowem *salam* i zatrzymuje felukę obok skrzypiących kół podnośnicy, by upaść na twarz, jako że nadeszła godzina *asr*; godzina trzeciej modlitwy. Modli się znowu o zmierzchu. A gdy noc nadeszła, modli się u stóp palm, w poświęcie księżycy i gwiazd.

...Przed dniem, gdy podniósł się wiatr, feluka ruszyła w dalszą drogę. Zorza poranna ukazuje skaliste i niskie wybrzeże a na niem mały kiosk<sup>2</sup> w Kertassi z jego lekką kolumnadą. Słońce, wiszące nad widnokregiem, rzuca na skaliste stoki brzegu sylwetę łodzi, sobowtóra tych łodzi, jakie ongi widywał Nil faraonów. Cień przeszłości i barka cieniów przesuwają się po niskim i pochyłym stoku wybrzeża, sterczy dziób z krótkim masztem, a na nim, na długim pazurze, trójkąt żagla; pod rozpięciem jego skrzydłem, jeden za drugim, dwa profile przewoźników; zupełnie wtyle rejs trzyma rękę na sterze, a wśród ścian schronu majaczy cień podróżnika, siedzącego z podwi-

---

<sup>1</sup> Przyrząd do czerpania wody, t. zw. podnośnica paciorkowa. *Przyp. tłum.*

<sup>2</sup> Pawilon, budynek bez ścian, wsparty na kolumnach, budowany na Wschodzie w parkach, ogrodach, obok świątyń i t. p. *Przyp. tłum.*

niętymi nogami, z długim liściem palmy w ręce, którym bez przerwy porusza, by odpędzić natrętne muchy. Mija cień przeszłości, popychany przez wiatr... Na widnokregu wznoszą się ciemne góry Kalabsze. Gwałtowny nurt wody wyłobził sobie w nich krętą drogę. Płyniemy pod wartki prąd, przez wiry i zdradliwe topiele. U wylotu właśnie tego przesmyku, niedaleko od brzegu, ukazują się pylony<sup>1</sup> świątyni w Kalabsze. Nieliczni mieszkańcy wioski rozmawiają lub marzą w cieniu drzew. Stróż świątyni zbliża się do mnie, trzymając swój kij jak karabin, pozdrawia mnie i, robiąc pół obrotu, idzie przede mną ścieżką, prowadzi mnie przez leżące w gruzach sale świątyni i odprowadza z tym samym ceremonjałem do łodzi. Ruszamy i suniemy gościńcem wodnym aż do schyłku dnia, pomiędzy dwoma łańcuchami nagich gór, schodzących szaremi skałami w koryto rzeki. Tu i ówdzie kawałki roli uprawnej lub maleńkie grupy lepierek. Wydaje się, że pod groźbą napierających z obu stron pustyń rzeka na darmo się śpieszy i ucieka od tysięcy lat. Zmuszeni jesteśmy walczyć z nią. Niezawsze wystarczy siła wiatru. Zdarza się, że barykada z głazów, wzniesiona przez Berberów dla ochrony kilku metrów kwadratowych ziemi, do tego stopnia wzmaga siłę prądu, że feluka cofa się, choć wiatr wydyma żagiel. Wtedy cała trójka kolejno pracuje żerdzią, a pokonawszy przeszkodę, czeka, rychło jej przyjdzie rozpocząć robotę na nowo.

Pod koniec dnia, na wybrzeżu niskim i szarem, ukazują się resztki świątyni w Dendur: pośrodku zniszczonego tarasu, wysokiego i obszernego, otwiera się wielka brama w kształcie trapezu; w głębi ostały się zaledwie kom-

---

<sup>1</sup> Portal, zakończony zazwyczaj czworoboczną wieżą, zdobiący fasadę świątyń egipskich. *Przyp. tłum.*



naty właściwej świątyni z fasadą o harmonijnych, lecz ciężkich linjach trapezu z dwiema kolumnami.

Po krótkim postoju mkniemy dalej. Płyniemy pod tchnieniem wiatru w ciemną, gwiazdzistą noc. Gdy wiatr ustaje, spędzamy resztę nocy pod stromym brzegiem, z którego wystrzelają pnie kilku palm w pióropuszech.

...Ani śladu wiatru. Feluka stoi uwięziona. W powietrzu skwarnem jęczy bezustanna skarga podnośnic, których powolne koła rozlewają wodę na pola. Pola to bardzo biedne, zmniejszone znacznie wylewem rzeki od czasu, gdy tama w Asuanie podnosi najniższy poziom jej wód do poziomu ongi najwyższego. Ileż palm choruje, stojąc pod wodą przez dwie trzecie roku! Ileż innych podmywa i zwala prąd! Na wybrzeżu, obok nędznych palm, które bronią się jeszcze, czepiając się ziemi potężnymi korzeniami, leżą inne, wywrócone naporem wód. Nubijczycy tracą w ten sposób drzewa, które im dostarczają pożywienia, budulca na łodzie, domy i podnośnice, materiału na opał i liny. Kraj ich, i tak już ubogi, pogrąża się w większej jeszcze nędzy od czasu, jak tama wzbogaca bogaty Egipt, zamieniając Nubję w olbrzymi zbiornik. To też coraz liczniej wędrują ku Egipcowi, szukając zajęcia i chleba.

...Ani śladu wiatru. Feluka ani drgnie. Pod kopułą niebios potężnieje bez przerwy jęk pracujących podnośnic. Na wybrzeżu leżą trupy palm. Pną się jeszcze ku górze inne, ale i te, być może, zwali rzeka z nóg, jak tylko wody się podniosą. Napróżno czekamy na wiatr, by zechciał nas wyzwolić. Świątynia w Gerf Husein jest niedaleko, a nie możemy się do niej dostać. Feluka stoi jakby przykuta do brzegu, na którym, obok palm umarłych, inne oczekują śmierci...



Mieszkańcy pobliskiej wioski schodzą do rzeki, by obejrzeć łódź stojącą na kotwicy. Na widok długiej szaty i turbanu podróżnika zaczynają zgadywać: „To *moghrebîn*“<sup>1</sup> — mówią jedni; „szeik arabski“ — drudzy; a jeszcze inni: „basza“. Rejs, zagadnięty przez nich, tłumaczy im: „Nie, to jest *khoaga*, pan z Europy, który zwiedza stare świątynie“. Wówczas oddalają się, a feluka trwa dalej w bezruchu, przycumowana<sup>2</sup> do brzegu.

Jak na urągowisko, zrywa się wiatr, ale dmie z południa! Gdyby połączył siłę swą z naporem prądu, zagnałby nas do Czellal w daleko krótszym czasie, niż trwała podróż wgórę rzeki. Dmie bardzo silnie, z rosnącą coraz gwałtownością, miotając do rzeki tumany nieuchwytnego prochu pustynnego i prażąc gorącym oddechem piaszczy-stego morza; burza po niem hula, z całą pewnością, i to bardzo blisko, za ścianą gór... Czekać... spać...

Wciąż martwa cisza. Ludzie moi, holując felukę lub popychając ją żerdziami, robią kawałek drogi, tak że znajdujemy się na wysokości wioski położonej prawie naprzeciw świątyni w Gerf Husein, której leżącą w gruzach kolumnadę widać zdaleka. Lecz załoga jest zmęczona, a by dobić do drugiego brzegu, trzeba by jechać długo wgórę rzeki, gdyż prąd zniósłby nas poniżej świątyni. Trzeba zatem jeszcze poczekać na pomyślny wiatr. Jest ósma godzina rano: termometr w wodzie wskazuje 20°, na powietrzu w cieniu 29°, w słońcu 39°.

Około godziny dziesiątej wstaje lekki wietrzyk. Rozpinamy żagiel. Jedziemy wgórę rzeki, przepławiamy się na

<sup>1</sup> Człowiek z zachodu.

<sup>2</sup> Przycumować = przywiązać (statek, łódź) liną czyli cumą.  
*Przyp. tłum.*

drugą stronę i, już blisko brzegu, łodzi grozi rozbitcie, gdyż wiatr nagle zmienił kierunek i zaledwie starczyło czasu na to, by nastawić żagiel. Feluka odzyskuje równowagę, lecz poto tylko, by zaczepić omasztowaniem o palmę; z wielkim tylko trudem udaje się załodze zatrzymać ją i uchronić żagiel od rozdarcia. Po kilku minutach przybijamy do wioski Gerf Husein. W zboczu góry, w połowie wysokości, wyrzeźbiona jest i wydrążona świątynia. Posągi faraona-boga z biczem w ręku siedzą oparte o filary wielkiej hali.

...Po spoczynku nocnym w pobliżu skrzypiących podnośnic, które pracują dzień i noc i nawadniają pola dury,<sup>1</sup> płyniemy, popędzani lekkim wiatrem, wśród piaszczystych i niskich brzegów krainy Dakke. Góry cofają się w głąb pustyni i rysują się, na szerokim widnokrzęgu, w kształcie rozsypanych bezładnie stożków. Na płowym piasku piękne pylony świątyni w Dakke rysują się w kształcie bliźniaczych trapezów przedstawiających dzwonnice świątyń egipskich; lecz wszystkie sale leżą w gruzach.

Nieco dalej, gdy docieramy do Kurti, wiatr przycicha. Chcąc nie chcąc, musimy lądować. Odpoczywamy w cieniu kwitnących mimoz i palm. Mężczyźni z wioski zbliżają się i siadają obok nas. Dzieci trzymają się za nimi, a jeszcze dalej, pod innemi kępami drzew, kobiety. Ubrane są w kawały surowego płótna, włosy noszą uczesane w mnóstwo małych warkoczyków; szyje ich zdobią długie szklane naszyjniki, a przeguby rąk szerokie srebrne bransolety; w nozdrzach wiszą wielkie miedziane krążki.

---

<sup>1</sup> Proso egipskie i inne rośliny uprawne (zboża) w Egipcie. *Przyp. tłum.*



Znowu nieco wiatru; powoli ciągnąc i popychając łódkę, docieramy wkońcu do skąpych resztek świątyni w Meharaka: pięć kolumn, dwa zwaliska murów, wybrzeże ze złotego piasku, a w pobliżu wioski zwykła kurtyna palm; naprzeciw, na drugim brzegu rzeki, grupa gór kopulastych. Poprzez kolumnadę drzew patrzymy na mknące wdal fale i odbijające się w nich przezroczyste niebo; gdy nadchodzi *moghreb*,<sup>1</sup> słońce rzuca na toń przez kilka chwil bladozłote i różowe pożegnanie, i już księżyc zalewa dolinę łagodną swą poświatą... Lecz oto wiatr się zrywa; ruszajmy!

Feluka żeglowała przez całą noc, po chlupocących pod tchnieniem wiatru falach. O brzasku osiągamy zasypaną świątynię w Sebuah, której pylony wynurzają się z piasków. Potem płyniemy dalej po wzburzonych nurtach, których ucieczkę powstrzymuje wiatr północny. Rzeka zwęża się, kraj jest prawdziwie pustynny: czarne góry co chwila schodzą aż do rzeki, a na zakręcie Nilu przy Korosko tworzą wspinałe strome skały.

W okolicy owego Korosko zaczyna Nil zakreślać literę S, a kończy ją w pobliżu Derr, około 20 kilometrów dalej na południe. Przeprawa nastęrcza trudności z powodu zakrętów rzeki, zmian w kierunkach wiatru i wartości prądu. Zaraz powyżej Korosko dostajemy się w kotłującą i wirującą topiel, której, mimo siły wiatru, nie udaje nam się pokonać. Jeden z naszych Nubijczyków, nazwiskiem Mohammed, chwyta wówczas za koniec liny, rzuca się do wody i dopływa, omijając zręcznie najgwałtowniej-

---

<sup>1</sup> Zachód słońca.

sze wiry, z wielkim wysiłkiem do brzegu. Ale lina wyrwała mu się z ręki. Rejs mu ją rzuca: Mohammed, który nie zdołał jej pochwycić, wychylając się po nią, wpada do rzeki. Chwyta go wir i pochłania, widzimy, jak kręci się w szklistym leju i znika. Kilka metrów opodal wydobywa się na powierzchnię, płynie ze zdwojoną energią i dobija do brzegu. Rejs rzuca ponownie linę i tym razem Mohammed ją chwyta, zaciąga na ramię i zaczyna nas holować. Feluka, która do tej chwili stała na miejscu, miotana na wzburzonych wodach przeciwnymi siłami prądu i wiatru, posuwa się wolno naprzód i zwycięża wreszcie bystry nurt. Po chwili przybijamy do brzegu na noc obok grupy palm. Niebawem księżyc, prawie w pełni, prószyc swe światło błyszczące a łagodne na czarne góry Korosko, na szeroką i mknącą wdal rzekę, na drugi brzeg, gdzie rozlewa się płowe morze piasku. Pobliska podnośnica jęczy, zlewając dzień i noc dobroczynną wodą spragnione pole.

Ciężka praca przez cały dzień, gdyż chcemy dostać się do Derr. Ale czy nam się to uda? Ani cienia wiatru! Prąd jest za silny, by móc posługiwać się wiosłem, a rzeka za głęboka, aby pracować żerdzią. Wzdłuż drugiego brzegu bieg wody jest tak gwałtowny, że zmuszeni jesteśmy pozostać przy naszym brzegu, który na przestrzeni kilku kilometrów pokryty jest mimozami, nurzającymi się w rzece albo zwieszającymi się nad nią, tak że holowanie staje się niesłychanie uciążliwe i męczące. Co chwila obaj Nubijczycy, gdy nie chcemy zawadzić o pień drzewa lub zanurzone w wodzie gałęzie, skaczą do wody, opływają przeszkodę, wspinają się na prostopadły niemal brzeg i holują łódź. Po chwili rozpoczynają męczący i niebezpieczny manewr na nowo, narażając się za każdym razem



na to, że zaplącą się w sieci zanurzonych w wodzie gałęzi i utoną. Nieco dalej feluce grozi zawadzenie masztem o wysokie gałęzie i rozdarcie żagla. W ten sposób robimy w czterech godzinach cztery kilometry. Wreszcie wstaje słaby wiatr, załoga może odprężyć mięśnie. Ale musi się mieć na baczności, gdyż możemy skutecznie walczyć z prądem tylko pod warunkiem trzymania się bardzo blisko lądu, a to znaczy, że każdej chwili możemy być rzućeni w poplątane gęste konary kolczastych mimoz, stojących w zwartym gąszczu na brzegu.

Gdy wiatr ustaje, znajdujemy się nawprost świątyni w Amadah,<sup>1</sup> zasypanej do połowy pokrywającym wybrzeże piaskiem, naga pustynia bowiem dociera w tym miejscu aż do rzeki wielkim, złocistym łukiem. Nasze wybrzeże zaś utworzone jest z tłustej, czarnej ziemi, na której rozpościerają się łany dury, ocienione gajami wysokopiennych palm i pachnących mimoz. Feluka, holowana liną, płynie zwolna pod prąd aż do miasteczka Derr, gdzie Nil skręca ponownie na południowy zachód i gdzie przybijamy do brzegu.

Z nadejściem nocy zrywa się wiatr, pędzi nas kilkaset metrów wgórę rzeki i nagle ustaje.<sup>2</sup>

Zupełna cisza. Naprózno czekamy na pomyślny wierzyk. Rozsiane na tych urodzajnych wybrzeżach podno-

---

<sup>1</sup> Wszędzie, gdzie widać resztki świątyni, w starożytności wznosiło się miasto. Pod piaskiem pustyni spoczywa urodzajna gleba, której jednak nikt nie uprawia. Wystarczyłoby nawodnić ziemię, aby doczekać się obfitych plonów.

<sup>2</sup> Latem wiatr wieje stale z południa, zimą z północy. Między jedną porą roku a drugą wiatr jest niezwykle zmienny. Prądy atmosferyczne Sudanu egipskiego podobne są do musonów na oceanie Indyjskim i morzu Arabskim.

śnice zlewają swe skargi w jedną wielką pieśń, i głosy te, wraz z wartkim nurtem rzeki, wnoszą nieco życia do zastygłych w bezruchu bezmiarów. Rejs postanawia holować łódkę. Załoga zarzuca liny na barki i ciągnie krok za krokiem, bo grunt jest wyboisty, brzeg poprzecinany przepokami przy podnośnicach, a dalej znów utrudniają drogę rozpalone i nagie skały gór, które tu znówu dochodzą aż do rzeki. Później *dzebel*<sup>1</sup> ustępuje, a wybrzeże stroi się w mimozy, zwieszające wszystkie swe konary nad wodę. To, oczywiście, utrudnia naszą jazdę. Holujący muszą, pływając, okrążyć krzaczaste gąszcze, wciągać na ląd linę poprzez przeszkody, a rejs czuwa nad tem, by feluka, walcząca z prądem, a pociągana przez załogę, nie uderzyła nagle w kolczaste i ukwiecone wierzchołki. I tak mija godzina za godziną. A gdy Nubijczycy, zmożeni trudem, zarzucają kotwicę na resztę dnia, stwierdzają z przykrem zdziwieniem, jak krótką odbyliśmy drogę mimo tylu wysiłków.

Wpobliżu jest wioska, otoczona palmami i polami duru. Jakiś starzec, pilnujący nawadniania swych gruntów, wita mnie uprzejmie, rozkłada w cieniście miejscu biały, wełniany koc i prosi, abym usiadł. Potem ugniata pośpiesznie kilka grudek ziemi i zamyka jeden z kanalików napełnionych wodą, gdyż ta część pola, do której prowadzi kanalik, zamieniła się już w błotniste bajorko, w którym kąpią się rośliny. Teraz przebija motyką nowe ujście dla napływającej bez przerwy z podnośnicy wody i zalewa inne poletko. Wróciwszy do mnie, siada po turecku i opowiada mi, że w tym Sudanie, do którego zdążam, spędził trzydzieści lat swego życia, prowadząc handel mię-

---

<sup>1</sup> Góra.



dzy Berberem<sup>1</sup> a Sennarem;<sup>2</sup> przebywał w Chartumie podczas buntu derwiszów<sup>3</sup> i wtedy, gdy wojska angielskie obległy miasto; a teraz, uzbierawszy nieco grosza, kupił kawałek ziemi, o którą tak trudno w kraju Berberów, i uprawia ją, czekając na godzinę śmierci. Opowiedziawszy to, wstaje, ugniata szybko kilka grudek ziemi i zamyka niemi zagon z warzywami, zamieniony w międzyczasie w zbiornik wody, w której nurzają się lodygi i liście. Potem doprowadza życiodajny strumień, wysyłany bez przerwy przez podnośnice, do innej działki swych pól i wraca do mnie. I znowu siedzi jak przed chwilą i wyciąga rękę, jakby chciał uchwycić i zatrzymać wizję przeszłości:

— Znam też i Kair, byłem tam trzy lata, a pięć w Aleksandrii...

Gdy tak, siedząc na wysokim brzegu i słuchając opowiadania, wpatruję się w drugie wybrzeże, w zastłonę z palm, w góry zasypane do połowy złotym piaskiem, a dalej na południu w ruiny zbudowanej na szczycie skały przez Rzymian fortecy, słońce stacza się do widnokrzęgu, przesyłając pustyni i rzece codzienne swe pożegnanie. A niebawem pełnia księżycy, otoczonego orszakiem gwiazd, błyszczy wśród mimoz i palm. I taka jasność zalewa niebo, Nil, góry i pola, że możnaby mniemać, że znowu wstaje dzień.

Księżyc wędrował po niebie od dwóch godzin tej dziwnej jasnej nocy, gdy nagle zerwał się wiatr. Czemu prędzej do zagli! W tej nocy świetlanej robimy bez wysiłku takiz

<sup>1</sup> Berber = osada na prawym brzegu Nilu, powyżej piątej katarakty. *Przyp. tłum.*

<sup>2</sup> Sennar = na lewym brzegu Nilu Błękitnego (p. rozdz. V, 2). *Przyp. tłum.*

<sup>3</sup> Derwisz = zakonnik muzułmański. *Przyp. tłum.*

szmat drogi, jak za dnia z wielkim trudem. I nagle wiatr cichnie, jakby się z nas naigrawał.

Przez kilka godzin, z lekko wydętym żaglem, posuwamy się wolno naprzód wzdłuż niskich, często pustynnych brzegów; od strony zachodniej zwłaszcza płowe morze piasków skrada się groźnie ku łożysku rzeki. W połowie popołudnia wiatr cichnie i feluka przybija do brzegu. Widać na nim krajowca w podeszłym wieku, który obmywa się, zgodnie z rytuałem, i odmawia modlitwę *asr*. Ukończony modły, zbliża się i wita nas. Na szczycie stromego brzegu, na którym rośnie kilka palm i mimoz, stoją w szeregu nieliczne szałasosiedla. Zieleni się łan dury, nawadniany przez jedną jedyną podnośnicę; dwie czy trzy inne leżą na ziemi rozbite i nieużyteczne, a kanały irygacyjne, napoły zniszczone, już się gubią w odzyskanych przez pustynię polach. Z rozbitego szałasosiedla wychodzi ku nam młody Berber. Młode pokolenie w Nubji, mówi mi, nie chce już pracować na roli; emigrują do wielkich miast w Egipcie, szukając podrzędnych zajęć,<sup>1</sup> a jeśli żadnego nie znajdą, a tak się jemu właśnie przydarzyło, wracają do wioski i czekają na okres zimowy, kiedy to przybywają liczni goście zagraniczni, u których na pewno uda się uzyskać jakieś płatne zajęcie. On sam służył u pewnego Niemca, który go zabrał z sobą do Włoch i do Francji. Opowiada mi, z jaką radością powrócił na pustynię Nubijską, jak kocha tę krainę słoneczną, jej niezmierzone niebo i jej rzekę królewską. A gdy go pytam, który kraj mu się więcej podobał, Francja czy Włochy, odpowiada mi przez grzeczność:

---

<sup>1</sup> Jako służba domowa, stróże domowi lub policjanci.



- Francja.
- Dlaczego?
- Bo w niej więcej wehikułów.
- A Paryż piękny?

Wtedy, rzucając okiem w głąb pustyni, odpowiada szeptem:

— Czasem przychodzą aż tu gazy, aby ugasić pragnienie... — i patrząc, jak w marzeniu sennem, na usianą gwiazdami noc, na nieruchome wachlarze palm na wysokim brzegu, na księżyc, który wszedł nad szczyty gór i kładzie się łagodnym światłem na ruchomem zwierciadle rzeki, rozmówca mój wzdycha: — Paryż jest piękny, to prawda... Ale gdzie jest w Paryżu mój księżyc?...gdzie moje gwiazdy?...moje góry i mój cudny Nil?...O kraju mój, piękniejszy nad wszystko w świecie!...

...Jedziemy wolniusieńko aż do sąsiedniej wsi...Na wysokim, płaskim brzegu dwóch Berberów prosi, bym usiadł na słomianej macie, rozciągniętej na ziemi w cieniu akacji. Za kilka tygodni wyruszą do Kairu, gdzie czeka na nich zwyczajna, w ciągu sześciu miesięcy „sezonu“ wykonywana praca. Resztę roku spędzają u siebie w domu, oddając się wywczasom na swem letnisku. „Murzyni z Sudanu uprawiają nasze pola“. Częstośćuję mnie kawą i herbatą. Zapijamy gorący i osłodzony wywar, gdy podchodzi krajowiec, w którym, ku swemu zdziwieniu, odkrywam towarzysza wypraw badacza niemieckiego Nachtigala. Jest to starzec ruchliwy i sympatyczny, zna on każdy kąt Sudanu między Suakinem<sup>1</sup> a Timbuktu,<sup>2</sup> gdyż polował

<sup>1</sup> Suakin = miasto nad morzem Czerwonym. *Przyp. tłum.*

<sup>2</sup> Timbuktu = stolica Sudanu francuskiego, nad Nigrem. *Przyp.*

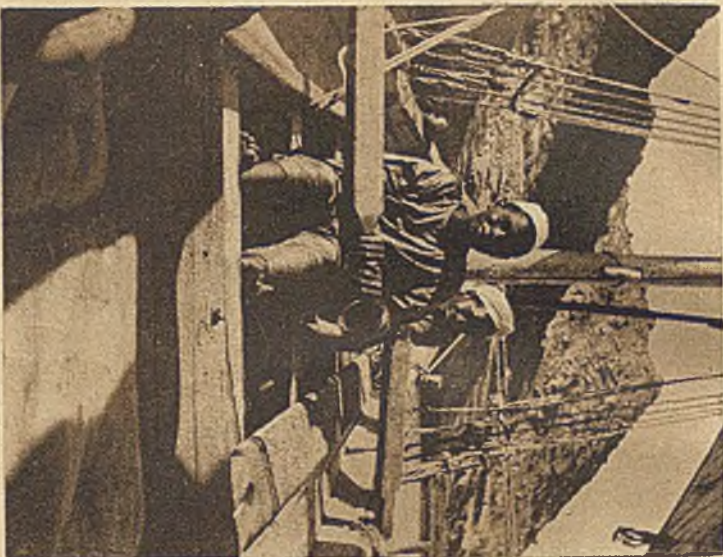


1. Skała nad brzegiem Nilu.

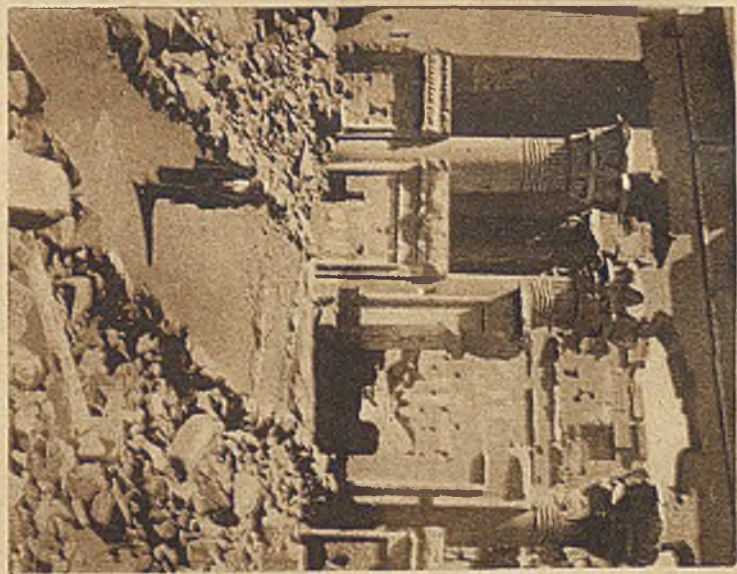


2. Wysokie palmy wznoszą się nad brzegami rzeki.





3. Przewoźnicy nubijscy.



4. Od czasu do czasu ukazują się ruiny świątyni.

w tych stronach na murzynów; pokazuje mi blizny od ran, zadanych uderzeniem sztyletu i strzały. Dr Nachtigal włączył go był do swej drużyny, przekonawszy się o dokładnej jego znajomości tych nieznanych podówczas Europejczykom krain; w ciągu ostatnich tych podróży postrzelono go kulą w łydkę. Opowiada mi swe wspomnienia z uśmiechem prostego człowieka, który ani się domyśla, że przeżył bohaterski okres odkryć afrykańskich. Teraz przesiaduje dzień w dzień w cieniu akacji, na wysokim brzegu Nilu nubijskiego, spoglądając na nagi brzeg wschodni i graniczący z nim pas płowych piasków, zażywa spokoju i rozmyśla o wielkich wyprawach czasu młodości, gdy podróżować po czarnym kontynencie znaczyło zdobywać nieznane krainy.

O zachodzie słońca podnosi się wiatr. Feluka posuwa się naprzód po wodzie, na której tańczą miedziane refleksy nieba. W mgnieniu oka zapada noc, skrzą się roje gwiazd i ogromny księżyc wstępuje na niebo. Na jasnym tle rysują się bukiety palm. Wiatr wzmacnia się i dmie przez całą noc, popychając znużoną zbyt długim wypoczynkiem barkę wzdłuż skalistych i pustych wybrzeży, przez rwące nurty i wiry.

Nad ranem znajdujemy się przed świątynią Abu Simbel. Po przesunięciu się między podwójnym masywem gór, który w tym miejscu tworzy rodzaj przesmyku, widzimy niskie, ginące aż hen na widnokręgu brzegi. Wiatr cichnie, trwamy na miejscu między ciągnącymi się wzdłuż rzeki polami dury i wielką pustką zachodniego brzegu. Niebo zionie żywym ogniem, a my stoimy na miejscu przez cały dzień. Nubijczycy moi drzemią, zmęczeni cało-





nocnem czuwaniem. Niebo, które dotychczas było nieskalanie czyste, pokrywa się wielkimi chmurami, tak jak u nas bywa przed burzą. Lecz w tym kraju tropikalnym chmury te zwiastują tylko bliskość Sudanu, w którym kończy się właśnie okres deszczów, a rejs zapewnia mnie, że przepowiadają tylko wichurę i nagłe zmiany wiatru. Każę przeto starannie zwinąć żagiel. Gdy słońce znika za białym obłokiem, nieruchome zwały chmur zdają się przygniatać nas swym ciężarem.

I nie minęły nawet dwie godziny, gdy nagle uderza w nas gwałtowny wicher. Rzeka, podobna przed chwilą do rozlanej rtęci, wydyma się i huczy rozgwarem fal. Twarde liście palm uderzają o siebie. Przez pochylone ku ziemi, długie łodygi dury idzie jakby pomruk niewidzialnego tłumu. Pierwsze uderzenie wiatru postawiło rejsa na nogi: założył drugą linę kotwiczą, umocował jeszcze jednym sznurem wielką reję, do której przymocowany jest mocno zwinięty żagiel, i wyciągnął ster. Feluka drży pod ciosami fal i wiatru, które, uderzając zboku, rzucają nią z łomotem o brzeg. Fale rozpryskują się o nasz stateczek i pokrywają go bryzgami piany. Rzeka huczy i bije w nas nieokielznaną kipiela. Co chwila łódź uderza o stwardniałe błota brzegu z taką siłą, że rejs, zaniepokojony tem, próbuje, przy pomocy swych dwóch towarzyszy, utrzymać ją zapomocą desek w pewnej odległości od brzegu. Ale deski te działają jak tarany, lekarstwo jest gorsze od choroby, to też usuwa je i zdaje się na łaskę napierających potężnie fal. Wielkie, czarne chmury zasnuły niebo. W szczelinach ich ukazują się tu i ówdzie gwiazdy. Rzekł- byś, że wiatr rozpętał całą swą siłę, by nas rzucić na pastwę rozgniewanemu Nilowi.

Pod koniec huraganu wstaje dzień bezsłoneczny. Feluka osiadła prawie na mieliźnie. Nubijczycy moi z trudem spychają ją na wodę. Z wczorajszej wichury pozostał jeszcze silny wiatr, który nas gna pod niebem pokrytem całkowicie chmurami do Wadi Halfa, do drugiej katarakty, progu Sudanu egipskiego.

---



## ROZDZIAŁ II.

# NAPRZEŁAJ PRZEZ KORDOFAN.

### 1. Do El Obeid.

Pod koniec października, w Omdurmanie.

Karawana winna była ruszyć w drogę trzy dni temu. Lecz wielbłądnicy, którzy przybyli z El Obeid już przed dwoma tygodniami, odraczają z dnia na dzień, pod błahemi pozorami, chwilę wymarszu i drzemią leniwie lub marzą na piaszczystem wybrzeżu, opodal domów leżących na krańcach olbrzymiego Omdurmanu. A jednak postanowili udać się w drogę pod koniec dzisiejszego popołudnia!

Jakże można się było tak łudzić i dawać wiarę ich zapewnieniom? Toć dzisiaj wigilja ramadanu:<sup>1</sup> po całym mieście krążą uroczyste procesje, z łopocącymi na wietrze sztandarami, wśród radosnych i szybkich uderzeń tam-tamu. Wielbłądnicy przyszedli wprawdzie do mego domku, zabrali moje bagaże, skrzynkę z prowiantami i *angreb*, moje łóżko sudańskie, składające się z plecionki z łyka palmowego, napiętej na drewnianej ramie na czterech nogach — ale oznajmili mi, że będę musiał przez tę noc jeszcze poczekać, że ruszą w drogę dopiero jutro, bardzo wcześnie, jak tylko będzie dniało.

---

<sup>1</sup> Ramadan = dziewiąty miesiąc muzułmański, w którym obowiązuje ścisły post codziennie aż do zachodu słońca. *Przy tłum.*

Z tarasu domu, w którym mam spędzić noc, widzę światła procesyj migocące w ciemnościach; urywane i szybkie uderzenia bębenków w głębokich ciemnościach nocy wzywają przez długi jeszcze czas do modłów. Potem rozlegają się krzyki, jakby rozgorzała kłótnia: to muzułmanin upił się *merysem* — napój z fermentowanego jęczmienia, którego się używa i nadużywa w Sudanie — a jego współwyznawcy wloką go, mimo jego protestów, do najbliższego posterunku, by go ukarać za skandal, jakiego stał się przyczyną. Gdy wreszcie ułożyłem się na tarasie i zasnąłem, rozhulał się nad miastem wiatr, dmąc gwałtownie i bez przerwy i zasypując je kurzawą przyniesioną z dalekich równin. Moja wielka latarnia — *fanus* — spadła z trzaskiem na ziemię. Trzymając w jednej ręce ubranie, a w drugiej koce, wchodzę śpiesznie do wnętrza. Leje deszcz...

Na spokojnem niebie wschodzi słońce. Wielbłądnicy zapewne śpią gdzieś jeszcze, gdyż nie widzę żadnego. Nadchodzą wreszcie, pozdrawiają mnie i odchodzą do *suku*,<sup>1</sup> gdzie z całym spokojem załatwiają drobne sprawunki. Był już duży dzień, gdy osiołek, prowadzony przez jednego z członków karawany, zaniósł mnie żwawym krokiem na krańce najdalszego przedmieścia olbrzymiego Omdurmanu, na brzeg Białego Nilu, gdzie od szeregu dni wielbłądy i wielbłądnicy zajęci są spaniem. Jadę przez aleje *suku*, przez placyki i rozdroża, przez ulice kręte i niepewne, pomiędzy niziutkimi murami domków z czerwonej lub szarej gliny, przez wielkie, puste przestrzenie i przez zniszczone dzielnice, opustoszałe po wojnach z mahdystami, o któ-

---

<sup>1</sup> Dzielnica handlowa.



rych świadczą rozwalone śruy, domy bez drzwi, okien i dachów, rozpadające się pod corocznymi letniami ulewami. Chwilami wydaje się, że jest się poza miastem, tak rozległe jest to rumowisko gruzów, graniczące z nagą równiną Kordofanu, ową wielką, wabiącą pustką zachodu, gdzie igraszki słońca ukazują drgające miraże rozlanych wód.

...Na spalonym brzegu Bahr el Abiad<sup>1</sup> wielbłądy wciąż śpią. Pilnuje ich, śpiąc, jeden jedyny wielbłądnik. Schroniwszy się w chacie, czekam; ruszymy później, tego popołudnia może, *imsz'Allah*, jeśli Bóg da...

Lecz w samo południe nadchodzą wszyscy, przewodnik karawany i sześciu jego ludzi. Siadają na ziemi dookoła olbrzymiego półmiska z ciastem z dury, pływającym w ciepłej oliwie, i zajadają, choć to pierwszy dzień ramadanu, tłumacząc się, że trudy podróży zwalniają ich od postu. Potem wkładają juki na zwierzęta, a jest ich dwanaście sztuk, i ruszamy ku południowi.

Przed nami, na dalekim widnokregu, falista linja niskich pagórków. Jak okiem sięgnąć, prócz tych pagórków i wielkiego rozlewiska Nilu po lewej ręce, widać tylko jednostajną, jałową równinę, przysypaną płowym piaskiem i nakrapianą czarnymi plamami kamieni. Wielbłądy kroczą samopas po tej płaszczyźnie, nie śpiesząc się, obojętne na uciekający czas łaziki, lubujące się w długich włóczęgach po bezkresnych równinach; a ponieważ na niewdzięcznym, zdawałoby się, gruncie wyrastają po niedawnych deszczach tu i ówdzie, w dalekich bardzo odstępach, coraz częściej jednak, kępki trawy lub krzewy, więc zbaczają ku nim, aby zaspokoić swe łakomstwo.

---

<sup>1</sup> Nazwa arabska dolnego Białego Nilu. *Przyp. tłum.*

Wielbłądnicy idą za nierni zdaleka, z nagim torsem pod łopocącą na wietrze draperją z szarego płótna i z gołą głową, choć słońce praży niemiłosiernie. Na lewo, ponad krainą Sennar, na linii widnokręgu, wstają bardzo ciemne chmury, które zwolna rozlewają się po całym kolisku na granicy nieba i ziemi. Ponad naszemi głowami niebo pokryte jest drobnymi chmurkami, które przywodzą mi na pamięć dalekie niebo mego kraju. Lecz gdy słońce zanurzyło się w purpurowej kąpeli, a wążutki sierp księżyca ramadanu ukazał się nad naszemi głowami, na obcym niebie nieznane wykwitają gwiazdy. Wszystko pochłania ciemna noc. Ciemności te rozdzierają na krańcach ziemi szybkie, ciche błyskawice, gwiazdy rozświetlają zaledwie te punkty nieskończoności, na których migocą, i zdaje się, że ciemność jest gęstą masą, w którą trzeba się pograć na wieczne czasy. Zwierząt już nie widzę. Wielbłądników słyszę tylko, gdyż choć z nadejściem nocy utworzyli zwartą gromadę, śpiewają, żeby się nie pogubić, rodzaj smętnej melodji, kończącej się długiemi nawoływaniem. Ocieramy się o niewidoczne kolczaste krzaki i słyszymy ich ostry chrobot o pakunki. Człowiek, prowadzący mego wierzchowca, skręca co chwila z prostej drogi, by ominąć wielkie krzewy zbite w zarośla i rozmiękłą ziemię, w którą zapadają się nogi. Czasem błysnie wdali światło obozowiska koczowników lub zagubionego w głuszy osiedla, znika, a potem pojawia się inne. Brniemy w ciemnościach godzina za godziną, aż wreszcie, powitani szczekaniem psów, zatrzymujemy się wpobliżu kilku chat na spoczynek. Rozniecono ogień, przygotowuje się herbata. Ludzie z karawany gromadzą się i siadają w kucki. W świetle płonącego ogniska występuje wyraźnie typ Beduinów z przymieszką krwi murzyńskiej; szeroki nos nie zatracił swej



krzywej linii semickiej, w zgrubiałych wargach tai się wyraz okrucieństwa, płonące hardo oczy świdrują wzrokiem zpodelba i zdradzają niepohamowaną pożądlivość.

Z brzaskiem jesteśmy gotowi do drogi. Przed nami rozpościera się wielka równina, pokryta zielonym kobiercem krzewów i skąpych traw. Jak okiem sięgnąć, ciemnozielone morze stepu bez końca. Minęliśmy już pagórki, które wczoraj zdawały się bardzo dalekie, ale pojawiły się już inne, do których teraz zmierzamy. Widać je jako linię niedługą i niską, szarą i niewyraźną, jak lekka mgła, na krańcach tej zielonkawej równiny. Posuwamy się wśród krzewów, rozsianych na pokrytej płowym piaskiem ziemi, a zdaleka krzaki te zdawały się przecie tworzyć zwarty gąszcz zarośli. Nil zniknął, gdyż oddaliliśmy się od niego. Bylibyśmy sami w tym ogrodzie liści zielonych i białych kolców, pod sklepieniem niebieskim, które pochłonie, zda się, całą przestrzeń, gdybyśmy nie widzieli na widnokręgu, jak gospodarza gotowego nas przyjąć u kresu naszej długiej wędrówki, owej niedługiej i niskiej linii pagórków, którą ujrzelśmy rano.

Mijamy także dwukrotnie małe stada kóz, których strzegą uzbrojeni w dzidy pasterze, a potem kilka szalaśców skleconych z gałęzi. I znowu nic prócz ciemnozielonej równiny.

Gdy zatrzymujemy się, aby przeczekać najupalniejsze godziny, ów szereg pagórków mamy już poza sobą; na krańcach nowego widnokręgu, zamykającego zielonkawy step, niewielki spłaszczony pagórek staje się nowym drogowskazem. Na wschodzie, biaława, niewyraźna smuga pozwala domyślać się tylko rzeki, a za nią wznosi się samotna góra. Zatrzymujemy się w skąym cieniu kilku

krzaków w pobliżu sadzawki, w której stado czarnych kóz gasi pragnienie, i słuchamy, jak wiatr rozmawia z krzakami w tajemniczej swej mowie. Kobiety z osiedla ukrytego gdzieś w pobliżu wykąpały się niedawno w źródelku, następnie mężczyźni w czasie przeznaczonym na modły dokonali w niem ablucyj, a z kolei oczyszczają się w niem wielbłądnicy, którzy od chwili wyruszenia z Omdurmanu mogli się w tym celu posługiwać jedynie piaskiem przydrożnym. Obmywszy się i odmówiwszy modlitwy, napełniają skórzane worki tą samą wodą, dobrą na wszelki użytek, gdyż potrzebna nam będzie do picia.

Ruszamy znowu ku uciekającemu przed nami widnokręgowi. Mijamy niewielki pagórek, który zdawał się niezmiernie daleko, męczącą jednostajność równiny ożywia tylko cieniutka i prosta linja, która oznacza daleki Nil. Nagle słońce kona na miedzianem niebie, na które wysypują się roje nieznanych gwiazd. Rosnący sierp księżyca zatacza na niem większy niż wczoraj łuk. W poświęacie jego majaczy pustynna równina, po której mkną niewyraźne cienie karawany. Mój wielbłądnik krzyczy do mnie:

— Czy ty nigdy nie palisz?

— Nigdy.

— O, to mi się bardzo podoba, — odzywa się, jak przystało na pobożnego muzułmanina.

— A pijesz merys?

— Gdzieżby! To bardzo niezdrowo.

— Jakże mnie to cieszy!

A wtedy dodaję, aby go uspokoić:

— Ale jadam wieprzowinę, to świetna rzecz.

Jusef zamilkł.

Gdzieś bardzo daleko migocą w ciemnościach świetliste punkty: to obozowisko koczowników. Idziemy wciąż



naprzód; nagle wyrasta przed nami na zachodzie rodzaj pagórka, wielkości kretowiska, które stożkowatym swym profilem udaje górę. A potem samotne ognisko, palące się spokojnie wśród nocy, rzuca czerwone światło na jakieś bezładne zgromadzenie; z tej odległości robi ono wrażenie niemego, stłoczonego, oczekującego czegoś tłumu... Teraz tworzy jakby front bojowy... Czyż nie jest najeżony prostemi, ostro zakończonymi dzidami?... A teraz, rzekłbyś, widać krąg niewyraźnych postaci wokół zagubionego w czarnych bezmiarach ogniska, nad którym króluje niepozorny pagórek o sylwetce stożka, krąg, w którym błyszczą oczy, wojsko milczące uzbrojone w ostre brzeszczyty wzniesione do góry..., lance... nie, to potworne rogi wielkich, pograżonych w zadumie wołów. Wokół smutnych, samotnych płomieni woły o sterczących rogach odbywają w milczeniu zebranie...

Jeszcze kawałek drogi i słychać naszczekiwanie psów: zbliżamy się do osiedla przygodnego, w którym mamy spędzić noc. Ubrani w łopocące na wietrze szarfy mężczyźni całują się wolno z moimi ludźmi i zamieniają słowa powitania. Zwierzęta upadają na kolana, juki leżą na ziemi... Klęczący na ziemi wielbłądnicy głoszą wielkość Boga...

Przed świtem wielbłądnicy przygotowują się do drogi i odmawiają pośpiesznie pierwszą modlitwę. Dzień wstaje nad pokrytą spłowiałą trawą równiną. Widnokrąg zewsząd pusty, tylko na wschodzie znaczy się ledwie widocznie cieniutka i biaława linja rzeki, rozgraniczającej niziny Sennaru od płaskowyża Kordofanu. Wzrok sięga w tak odległą dal, że zdaje się, iż idąc bezustannie ku niej, nigdy jej się nie osiągnie, że kroczyć się będzie zawsze wśród nieskończonej głuszy, gdzie trawa

wyrośla po ostatnich deszczach traci już swą barwę. I jakby przerażona tem, że ośmieliła się naruszyć cząsteczkę tych bezmiarów, karawana zatrzymuje się w pierwszym napotkanem osiedlu. Jusef umieszcza mnie w cieniu chaty, zrobionej z rozciągniętych na łukach mat, i tu będziemy przez cały dzień odpoczywać. Dwóch wielbłądników wyrusza z wielbłądem do wioski, położonej w bok od naszej drogi, by odnowić zapas dury, którą się żywią, wioski zapewne sezonowej, obozowiska raczej, rozbitego na okres kilku miesięcy, gdyż po Kordofanie, tak wielkim jak Francja, wędruje 500 000 zamieszkujących go pasterzy. Mieszkańcy osiedla przychodzą kolejno w odwiedziny do przewodnika wielbłądników, Jusefa. U wejścia do mej chaty biorą się w otwarte ramiona, ściskają się długo za ręce, bez końca zamieniają półgłosem nakazane zwyczajem grzeczności. I wszyscy, siedząc na ziemi w cieniu chaty, obojętni, możnaby sądzić, na przejazd chrześcijanina, ignorując pozornie jego obecność, zasypują przewodnika pytaniami: skąd przybywa ów chrześcijanin, dokąd się udaje, kto to może być, ile płaci, co robi, co je? Ich spojrzenia badają nieznacznie, ale błyskawicznie i dokładnie bagaż cudzoziemca, jego ubranie i jego fizjognomję. Lecz, jeśli się do nich zwrócę, nie ukrywają, że im to pochlebia, grzeczne słowa przyjmują z zadowoleniem, odpowiadają komplementem, ale ani na chwilę nie zmieniają zachowania swego, nacechowanego szlachetną godnością. Potem oddalają się powolnym krokiem, przybrani w szerokie draperje, nie gestykulując prawie, z twarzą zastygłą w kontemplacji równiny ogromnej jak morze, wkraczają w skąpy cień swej niskiej chaty, siadają na ziemi i powracają do milczenia i próżniaczego swego życia.



Słońce umarło, spowite w krwawe prześcieradło, a osiedle budzi się do życia: mężczyźni gromadzą się przy ogniskach. Przynoszą zeń ciasto z dury i kwaśne mleko, post ramadanu idzie w zapomnienie. Moi wielbłądnicy proszą mnie, abym jadł z nimi. Kosztuję ich dury, lecz, gdy wracam do siebie, mówią jak jeden mąż: „Bóg jest Bogiem, a Mahomet jego prorokiem“, jakby się chcieli oczyścić po zetknięciu z chrześcijaninem.

Nazajutrz.

Worki z durą nie nadeszły jeszcze, to też cały poranek upływa nam w cieniu słomianej chaty. Zaglądają do niej mężczyźni z osiedla, przypatrując się z ciekawością wszystkim tym drobiazgom, jakimi się posługuję, które my uważamy za niezbędne, a których oni nie znają lub których są pozbawieni: łyżka, blaszana puszka z wieczkiem, chusteczka do nosa, pasek skórzany, materiał mego ubrania, a zwłaszcza trzewiki moje i sznurowadła, najwięcej jednak mój zegarek. By go móc oglądać, pytają co chwila o godzinę i proszą o pozwolenie dotknięcia go; biorą go do ręki ostrożnie i z szacunkiem; gdy słyszą, jak tyka, cieszą się jak dzieci, a gdy otwieram kopertę i wtajemniczam ich w zagadkową czynność wahadła, na twarzach ich maluje się osłupienie. Dwóch krajowców gości u mnie prawie przez całe przedpołudnie. Znalazłszy się sami ze mną, zapytują mnie:

— Czy masz herbatę? Mamy ci ją przyrzadzić?

Odpowiadam:

— Piłem już, wolę poczekać.

Wtedy przyznają się:

— Bylibyśmy się z tobą napili. To takie dobre!

Wysuwam trudność:

— Ależ to miesiąc ramadanu!

A wtedy odrazu jeden powiada, że miał gorączkę, a drugi, że jest zmęczony. Gdy pijemy herbatę, pytają:

— Czy palisz?

— Nie.

— O, to doskonale! Zaprawdę, jesteśmy zachwyceni twym widokiem i smucimy się na myśl o tem, że nas opuścisz. Ale powrócisz? — I napełniają fajki haszyszem.

— Ależ to bardzo źle, że palicie haszysz, bardzo niedobrze!

Uśmiechają się, palcem wskazują na czoło i kręcą głową jak pijani:

— Co to za przyjemne uczucie, gdy się wszystko kręci! — I dodają: — Czy pijesz merys?... a raki?<sup>1</sup>... konjak?...

Gdy za każdym razem odpowiadam „nie“, przyklaskują mi.

— Masz zupełną rację. Jesteś człowiekiem niepospolitym i cieszymy się niezmiernie, żeś przybył do nas. — A potem dodają: — W El Obeid pije się dużo merysu... wszyscy tam piją... I w El Dueim, dokąd się potem udajesz, piją, a jakże... Wszyscy piją dużo merysu...

— A ty?

— Ja także — odpowiada głosem przyciszonym i wskazuje na drugiego: — On też... — I przykładają palec do skroni, mrużą oczy, kiwają głową: — Co to za przyjemne uczucie, gdy wszystko tańczy... — I oczyma, w których migoce upojenie haszyszem, szepcą: — Jeden tylko jest Bóg, a Mahomet jest jego prorokiem.

Ja na to: — Rozumiem was.

---

<sup>1</sup> Napój alkoholowy, rodzaj wódki. *Przyp. tłum.*



— Naprawdę? zrozumiałeś?... Powtórz, cośmy powiedzieli... —

— Jeden jest tylko Bóg — mówię i na tem kończę. A oni nuż nalegać: — A Mahomet...

— Nie! protestuję żywo, — Bóg wystarczy!

Po chwili milczenia pytają:

— Czy w kraju twym mówią: „Wyznaję, że niema Boga obok Boga jedynego?“

— Tak. A także, że Bóg jeden jest wielki. Ale nie mówi się, że Mahomet... Nie! poco Mahomet? Bóg wystarczy, Bóg sam!

Arabowie moi niebardzo przestrzegają krępujących ich praktyk, ale cechuje ich gorąca wiara. Są grzeczni i nie szczędzą komplementów, bo tak im nakazuje postępować gościnność, lecz poza parawanem gestów i słów zdawkowych czai się dzikie serce, nabrzmiałe nienawiścią do chrześcijan. Obsypawszy mnie pochlebstwami, powtarzają swe *credo*, żeby zmanifestować niewzruszoną swą prawowierność i umocnić się w swych wierzeniach. Usiłują nakłonić mnie do powtórzenia formuły, by mnie pochwycić w pułapkę, zdarzają się bowiem w tych krajach sfanatyzowanych wypadki, że chrześcijanie-tubylcy, w toku zwyczajnej pogawędki, wypowiadają tę formułę, a wtedy świadkowie tej sceny zeznają, że wyrzekli się wiary chrześcijańskiej i jednocześnie uczynili wyznanie wiary muzułmańskiej. Tem samem winni się poddać obrzezaniu albo też czeka ich kara przewidziana dla odstępców. Kto przez nieuwagę wypowie *credo* islamu, ten w oczach tych roznamiętnionych muzułmanów czyni wyznanie ich wiary, a kto się jej wyrzeka, tego koran nakazuje ukarać śmiercią.

...Czekamy dalej przez całe popołudnie. Jeden z Arabów prosi mnie o kilka zapalek, drugi o szczyptę cukru.

Jeden z palaczy haszyszu podchodzi zmęczonym krokiem do chaty, siada na jej progu, napycha małeńką fajeczkę i zaczyna palić; oczy mu błyszczą, trwa w bezruchu, nie mówiąc ani słowa, uniesiony w krainę marzeń sennych. Pod wieczór wraca przodownik wielbłądów i jeden z jego ludzi z sąsiedniego osiedla, gdzie mieszkają, oprócz ich ojca, krewni i przyjaciele — teraz rozumiem, dlaczego nasz postój tak się przedłuża. Jednocześnie niemal zbliża się do wioski dziewięciu murzynów z Borku w towarzystwie trzech murzynek, by w niej przenocować; uzbrojeni są w łuki i strzały dalekiego swego kraju; na głowie dźwigają paczki z świecidełkami ze szkła, które po drodze wymieniają na żywność; przybywają z Mekki, z dalekiej pielgrzymki, ale nie śpieszą się wcale; już sześć miesięcy temu wyruszyli z Arabji.

Słońce zbliża się do nieboskłonu. Wioska budzi się z odrętwienia po upalnym dniu i ożywia się. Mężczyźni gwarzą, siedząc na ziemi w pobliżu szałasów, kobiety przyrządzają ciasto, dzieci przypędzają krowy i stada kóz. Nasz wielbłąd, który wyruszył był wczoraj, wraca wreszcie z ładunkiem dury.

Z nadejściem nocy rozbłyskują ognie, tańczą czerwone refleksy, mężczyźni zgromadzeni na posiłek wyglądają jak koła cieni muskanych światłem księżyca. Wielbłądnicy zapraszają mnie do swego grona. Lecz gdy skończyłem spożywać ich strawę, odzywają się jak jeden mąż: „Bóg jest Bogiem, a Mahomet jego prorokiem“, jakby się chcieli oczyścić od zetknięcia z chrześcijaninem.

Wczesnym rankiem murzyni i ich kobiety, pomodliwszy się i dopytawszy o drogę, ruszają gęsiego, z paczką na głowie, a w ręku z łukiem i strzałami. Wśród naszej



grupy natomiast nikomu się nie śpieszy: przewodnik wielbłądników marudzi w chacie swego przyjaciela. Arabowie z sąsiedztwa żegnają się bardzo długo z moimi ludźmi, którzy naprawiają juki i badają wytrzymałość powrozów. Słońce już stało wysoko, gdyśmy, objuczywszy wielbłądy, poczeli na nowo zanurzać się w równinę, która zdaje się nie mieć końca. Widnokrąg ucieka przed nami przez długie godziny: tworzy on linię prostą, zaciemnioną nagromadzonemi krzewami, które tu i ówdzie urozmaicają równinę, smutną, jak wszelkie okolice pustynne, pociągającą, jak wszystko, co ani myśli ludzkiej nie stawia granic, ani też nie krępuje swobody kroków człowieka lub śmiałości jego wzroku; wyobraża on sobie wtedy, że ten otwierający się przed nim ogrom poddaje się jego władzy.

Równina bezkresna pokryta jest krzakami o tak ciemnozielonej barwie, że wydaje się prawie czarną. Trawy znikły. Na ziemi coraz to bardziej kamienistej widać już tylko zarośla, z których przechodzące wielbłądy chwytają łakomemi wargami kolczaste gałązki. Na wschodzie widnieje wciąż jeszcze Nil, o ile go teren falisty nie zasłania; widać cieniutką zaledwie linię, jasną, prościuteńką kreskę. Wielbłądnicy idą równym krokiem, z odsłoniętym torsem, z głową ogoloną i odkrytą mimo słońca. Dziś jednak trzech z nich ma wielkie miecze, w które się uzbroili w osiedlu, gdyż droga prowadzi teraz przez kraje zamieszkałe przez inne szczepy... Przez długie godziny kroczymy wśród pustych zarośli... Nagle wśród krzewów ukazuje się kilka chat, a obok nich studnia. Przed wioską stajemy na odpoczynek. W czasie gotowania herbaty podchodzi do nas człowiek z suszonym nawozem wielbłądzim w rękę i prosi o ogień. Tak samo, w ciągu dwóch dni spędzonych w poprzedniem osiedlu, widziałem co rano i co

wieczór, jak kobiety chodziły od chaty do chaty, pytając, czy nie pozostała czasem w ognisku rozżarzona gałązka; z jednego mieszkania do drugiego podawano sobie ogień w naczyniu glinianem, jak w owych czasach odległych, kiedy to obawiano się, że gasnący płomień zabierze z sobą w wieczną noc wszelką radość, wszelką myśl i wszelkie życie. Gdyby Arabowie Kordofanu nie wznosili się przez swą wiarę w Boga ponad swą nędzę materjalną, umieściliby ogień na ołtarzach, oddawaliby mu cześć religijną, mówiliby o tym, który go odkrył, że jest genjuszem czy bogiem; stawialiby temu człowiekowi posągi, oddając mu cześć należną wielkim ludziom; wynosiliby pod niebiosa cudowną jego wiedzę, zniżając się do ubożuchnego poziomu umysłowego ludów pierwotnych, tak olśnionych opanowaniem odkrytych w przyrodzie, a doniedawna nieprzeczuwanych sił, że nie mogą zdobyć się na inną koncepcję kultu, jak kult materji i wielkich ludzi. Muzułmanie Kordofanu posługują się ogniem: nie służą mu. Już mamy ruszyć, gdy jeden z mieszkańców osiedla zbliża się do nas i zamienia z wielbłądnikami liczne pozdrowienia. Gdy ruszamy w drogę, wybiega szybko przed mego wielbłąda, pisze palcem na piasku: „W imię Boga wszechmogącego i miłosiernego“, a gdy oddaliśmy się od niego, słyszę, jak śpiewa, wzywając na nas opiekę boską, pierwszą suratę Koranu, zwaną *Fat'ha*, modlitwę odmawianą pięć razy dziennie: „Chwała Bogu, Panu Wszechświata...!“

...Długo wędrowaliśmy przez głuchy step, choć noc już zapadła, gdy doszło nas szczekanie psów. Lecz zamiast podążyć ku nieznanemu obozowisku, strzeżonemu przez czujne psy, moi ludzie zataczają spore koło i wybierają na postój, gdzieś na uboczu, piaszczyste i puste miejsce. I mówią:



— Już nie mamy teraz przyjaciół na drodze do El Obeid, a nie brak na niej złodziei. Kilku z nas będzie czuwało przez całą noc...

Na długo przed wschodem słońca podejmujemy znowu beznadziejną walkę z równiną. Nade mną niebo nabite gwiazdami, a ja zadaję sobie pytanie, od jakiego to czasu jestem w drodze, kołysany przez pracowite i powolne zwierzę; już nie wiem, czy to noc się zaczyna, czy też wkrótce nadejdzie dzień...

...Słońce wstaje we wspaniałej purpurze zachodów. Po raz ostatni widać, bardzo daleko, wąziutką wstęgę Nilu. Odwracamy się od niej, by się zanurzyć w tę równinę, która chyba nigdy się nie skończy, wyschniętą i pustą jak nigdy, niby to zalesioną, a przynajmniej pokrytą krzakami, które, aczkolwiek rzadko rozsiane, zlewają się na widnokręgu i tworzą jakby zwarty gąszcz. Pustka ta jednak ożywia się czasami: mijamy kilku podróżujących Arabów, uzbrojonych w dzidy i zębate dziryty, albo stada kóz, pędzonych przez pasterzy tak samo uzbrojonych. Skoro tylko jedni drugich zauważą, poczynają się obserwować; mijamy się, spoglądając na siebie nieufnie, i stale kilku zatrzymuje się nieco i śledzi ruchy drugiej strony, jakby dla uchronienia oddziału przed nagłym atakiem. A zaraz potem głucha przestrzeń... trochę żółkłych już traw... cierńskie krzaki, rzadko rozrzucone, ale gromadzące się woddali i tworzące złudę gęstych zagajników... a wkońcu zwodniczy miraż rozlanych wód na piasku. I tak przez cały dzień, pod rozżarzonem niebem... Najskwarniejsze godziny spędzamy koło nędznego osiedla, wśród odartej z roślinności, piaszczystej równiny, na której w małych zagłębieniach pozostało z lata nieco wody błotnistej; innej wody do pi-

cia niema, prócz tej opalizującej, zielonkawej, rojącej się chyba od wszelkich trujących składników. Angreb mój ustawiono w cieniu uschniętego drzewka, na którym rozwieszono jeden z moich koców; w miarę jak przesuwa się cień, każę przesuwać zasłonę. Na spaloną równinę zlewa słońce strumienie żaru, jakby się zanosilo na burzę, więc czekamy, aż tarcza słoneczna zbliży się do krańca ziemi, i wtedy wkładamy juki na zwierzęta i ruszamy. Lecz w chwili, gdy dochodzimy do ostatniej chaty, zauważają wielbłądnicy siedzącego na progu starca i stojących wokół niego mieszkańców osiedla: rzucają na ziemię broń i kije i biegną do niego. Powstał, zrobił bardzo powoli kilka kroków i staje wyprostowany i nieruchomy, oni zaś zginają kolana, całują go w rękę i przykładają ją do czoła, bo to wielki szejik całego kraju Hassan — ich kraju — przez który podróżujemy od Omdurmanu. Uważany jest za świętego; po śmierci wszyscy będą się schodzili u jego grobu na modły. Stary szejik stoi wyprostowany jak struna, twarz obrócił ku wschodowi, oczy utopił w niebie, a ręce rozpostarł jak księgę otwartą. Moi wielbłądnicy ustawiają się z obu stron, mężczyźni z osiedla za nim, i wszyscy, nieruchomi, jakby wykuci, z rękoma rozpostartymi jak księgi otwarte, odmawiają ze starcem modlitwę zwaną *Fat'ha*: „Chwała Bogu, Panu wszystkich światów...“, jak w owych zamierzchłych czasach, kiedy na równinach Chaldei Abraham modlił się do Boga, nie łącząc z jego imieniem nazwiska oszusta.

Aż do zmroku trafiamy na zagłębienia, z których bagnista woda niedawno dopiero znikła; gdzie niegdzie błyszczą jeszcze stęchła woda, a na wilgotnej ziemi zostają ślady nóg wielbłądzich. Wielkie, ciemne obłoki, przevalające się na widnokręgu, prują błyskawice; tuż nad



nieboskłonem krwawi się słońce, ponad niem unosi się wielka chmura, jakby podparta pręgami dwóch kolumn deszczowych, tworzących rodzaj olbrzymiej bramy, wzniesionej na chwałę zachodzącego słońca. Nad nami niebo jest czyste, tem wspanialsze w swej pogodzie, że kontrastuje z tą ogromnie daleką nawałnicą; jaśniej na niem księżyc i gwiazdy ukazują się jedna po drugiej: to noc, zawsze mile witana. Przodownik gubi dwukrotnie drogę: znika wówczas, by ją odszukać, a my czekamy, aż zawoła; wielbłądnicy odpowiadają i karawana rusza dalej w białą noc. Zatrzymujemy się na odpoczynek w miejscu pustem, ogołoconem z roślinności, pokrytem jasnym piaskiem. Ma ono tę zaletę, że nikt nie może zbliżyć się niezauważony. Toboły ułożone są w kształt koła; w środku tego koła spoczywam na swoim angrebie; wielbłądnicy wyciągają się na skrzyniach; jedni śpią, inni czuwają.

...O brzasku jesteśmy gotowi... Równina pokryta jest wysoką, żółką trawą, tu i ówdzie trafiają się kolczaste mimozy. Tuż przy drodze spogląda na nasz przemarsz gazela, ani zdziwiona, ani też przestraszona widokiem ludzi, jakby wiedziała, że dziryty jej nie dosięgnie. Na widnokreśgu ukazuje się pagórek, następnie drugi i trzeci, nakształt maleńkich kopuł, zagubionych w bezkresnej płaszczyźnie stepu. A ponieważ równina wznosi się i opada właśnie o tyle, by przesłonić osła, kopuły pagórków co chwila giną nam z oczu. Jak w ubiegłych dniach, spotykamy na drodze jedno czy dwa stada czarnych kóz, a prócz tego podróżnych: Arabów ze szczepu Baggara, pędzących woły na targ w Omdurmanie, ludzi na osłach, ubogich piechurów, a wszyscy są uzbrojeni we włócznie i zębate dziryty. Gdy nas znowu ogarnia pustka, rzekłbyś, że to jakaś nie-

urodzajna równina w naszym kraju, na skraju nędznych zagajników, kiedy ziemia pokrywa się żółtymi trawami. Złudzenie, że znajduję się w jakimś zapadłym kącie mojego kraju, potęguje się jeszcze na postoju południowym. Tego dnia urządzamy go pod osłoną niewielkich, ale gestych drzew, pod którymi rośnie trawa, prawdziwa trawa zielona, krótka, tuż przy ziemi, ale prawdziwej ziemi, brunatnej, wilgotnej i pachnącej, jak ziemia naszych ogrodów. Nieduże drzewa stoją jedno przy drugim, niektóre z uszlęmi koronami, inne ubrane w liście, które wydają się pasorzytniczymi lianami; rozrzucone na chybił trafił, z powykręcane pniami i rozwichrzonemi gałęziami, przywodzą na myśl jakiś stary, oddawna już opuszczony sad w moim kraju. Kruki kraczą melancholijnie, dzikie gołębie gruchają bez końca, i tyle w powietrzu owadów, ptaków wśród gałęzi i białych baranków na niebie, że wydaje mi się, iż jestem w głębi jakiegoś starego ogrodu na Zachodzie, pachnącego wonią liści umarłych i wilgotnym oddechem ziemi...

Lecz oto nadchodzą moi ludzie; na ich torsie obnażonym powiewają draperje. Przed sobą pędzą wielbłądy, zabierają się do umacniania na ich grzbiecie juków, aby karawana mogła krok za krokiem wędrować dalej wśród bezkresnych stepów Kordofanu... Wtem słyhać głuchy łoskot woddali, łoskot ten rośnie, nabrzmiewa..., między ziemią a niebem zasłanem chmurami pędzi szara zasłona... Wielbłądnicy rzucają się pod skrzynie, ja czem prędzej nakrywam się kocem: deszcz leje jak z cebra i zatapia wszystko. Gdy po dziesięciu minutach przestaje padać, znajdujemy się wśród małego, płytkiego jeziora, i trzeba będzie godziny czasu, aż ten stawek zniknie. Rozkazuję przodownikowi, by natychmiast zwinął obóz. Odpowiada,



że zaraz ruszymy, i nie rusza się z miejsca. Przypominam, że moskity pojawiają się z nadejściem nocy, a z niemi febra, tak straszna dla Europejczyków. Jeden z wielbłądników krzyczy na głos:

— Jakież to piękny kraj ten Kordofan!

Zachowanie się mych ludzi jest trochę wyzywające. Od wczoraj wyzbyli się, jak się zdaje, bagażu grzecznościowych zwrotów, tak bogatego u ludzi Wschodu. Gdy wydaję rozkaz, uśmiechają się szyderczo. Wielbłądnik, przydzielony do mej osoby, skarżył się gorzko wczoraj wieczorem swoim towarzyszom na dodatkową z tego tytułu pracę. Zażądali wtedy, a żądanie to równało się zbyt wyraźnie rozkazowi, bakszyszu w wysokości 15 piastrów (3,25 fr) dla zakupu barana. Zgodziłem się. Po krótkim przystanku nad ranem kupili kozę, ugotowali ją, najedli się rzetelnie, i zdaje się, że ta uczta dodała im wprawdzie odwagi, nie wzbudziła jednak żadnych uczuć wdzięczności. Na przystanku wieczornym przodownik oświadcza mi, że z wymarszem należy poczekać, póki księżyc nie stanie dość wysoko — i oddała się. Przywołuję go, by mu wyrazić swe niezadowolenie, i nie przychodzi. Usadowieni za skrzyniami wielbłądnicy pokpiwają sobie z mej osoby. A potem zabierają się ponownie do jedzenia. Po wieczerzy układają hałaśliwie tłomoki i gotują się do przenocowania. Dowcipkują i cieszą się widocznie z mej porażki. Przodownik zwraca się ironicznie do mego sługi:

— Powinieneś mu teraz przygotować herbatę!

— Ale, niechże mi to powie! — brzmi wyzywająca odpowiedź. I udaje się z jednym z towarzyszy do sąsiedniej osady, żeby sprzedać skórę z kozy. Wracają, śpiewając ze wszystkich sił, upili się zapewne merysem gruntowniej

jeszcze od swych kolegów, pogrążonych już w głębokim śnie. Sługa mój, leżąc z podciągniętymi do brody nogami, śpiewa w dalszym ciągu. Towarzysz jego odmawia na głos modlitwę. Potem zapadają w równie ciężki sen, jak ten, który ogarnął całą moją eskortę. Do serca mego wkrada się niepokój, gdy pomyślę o tej gromadzie dzikusów, którzy odslonili nagle nieprzyjacielskie swe zamiary, i czuwam przez całą prawie noc...

„W imię Boga miłosiernego i wielkiego proroka!“ woła, wstając, mój służący Abd el Dafer. Jest godzina 2 minut 30 rano. Księżyc już zniknął, migocą tylko gwiazdy. W ciemnościach nocy nie unosi się już wilgotny i ciepły oddech ziemi. W zbliżającym się chłodzie poranka słychać jeszcze złowrogie bzykanie moskitów. Wszyscy są już na nogach i pakują toboły, niezręcznie i powoli, jakby odurzeni jeszcze po wczorajszym pijaństwie i obżarstwie; i choć Abd el Dafer powtarza bardzo głośno, pobudzając wielbłądy do wstania: „W imię Boga miłosiernego i naszego władcy proroka!“, robota idzie tak marnie, że ruszamy dopiero po półtorej godzinie. Pochód otwiera Abd el Dafer, i niewiadomo, czy z umysłu, prowadzi tak niezdarnie mego wierzchowca, że o włos nie rozdziera mi twarzy o kolczaste gałęzie mimozy. Wypadek ten wywołuje radość wielbłądników. Lecz ujrzawszy, gdy się rozjaśniło, na twarzy mej niezadowolenie, zaczynają hamować się, pomyślawszy sobie, że mogliby utracić umówiony u kresu podróży bakszysz: „w tym jednak tylko wypadku, gdy będę zadowolony“. Potem z poza małego drzewka na niezmiernej równinie wynurza się żołnierz, kontrolujący sygnalizowane karawany i podróżnych, sam jeden i bez broni, murzyn w dodatku, którego jedyną oznaką



jest tarbusz<sup>1</sup> i czerwona opaska, i widok jego napawa Arabów zbawiennymi myślami: zaprawdę, chrześcijanin jest panem tego ogniska fanatyzmu muzułmańskiego, jakim był Kordofan! Kilka lat zaledwie po zburzeniu państwa mahdystów Europejczyk może po tym kraju podróżować sam bez broni, spotykając zaledwie, po wielu dniach marszu, samotnego i bezbronnego żołnierza, ale to już wystarcza, by zapewnić bezpieczeństwo na pustyni.

...Przed nami ta sama wciąż bezkresna równina; widoczne od wczoraj na widnokregu kopuły trzech pagórków rosną nam w oczach i przybierają rozmiary gór; pojawił się nawet jeszcze jeden; u ich to podnóża mamy zamiar najbliższej nocy ułożyć się do snu.

Postój południowy odbywa się w cieniu krzaków, jakie bodaj że widziałem gdzieś w moim kraju; rosną one bezładnie, na chybił trafił, jak w bardzo starym i opuszczonym ogrodzie. Pomiędzy gałęziami, które dotykają niemal ziemi lub zwisają jak długie draperje, prześwieca równina, pokryta wysoką, żółtą trawą, jakby dojrzałem zbożem, i upstrzona małymi mimozami, przypominającemi kształtem nasze jabłonie. Gonią się białe motyle, ptaki dzwonią radosnym śpiewem w błękicie, dzikie gołębie nawołują się od czasu do czasu; muchy i owady brzęczą, jak u nas w pełni lata; znany mi krajobraz ożywia się wyczerowanymi przed oczyma duszy drogiemi twarzami, i uwierzyłbym, że znajduję się o tysiąc mil stąd, gdyby nie ci ludzie o ostrem wejrzeniu, z wyrazem okrucieństwa na ustach, uzbrojeni w długie miecze z pochwami w kształcie kopystki, którzy w tej chwili zniewalają wielbłądy do klękania, przygotowując karawanę do dalszej drogi po

---

<sup>1</sup> Czerwona czapka w rodzaju beretu, z granatowym kwastem.  
*Przyp. tłum.*

równinie bez końca. Teraz, gdy ich przestałem traktować jak towarzyszy podróży i traktuję jak sługi, służą mi poputnie.

...Krok za krokiem zbliżamy się do góry... Stajemy u jej podnóża po zachodzie słońca; wspinamy się na pierwsze piętro wielkiej kopuły rozsiadłej w samym środku stepu i wtedy, w poświęacie księżycowej, roztacza się widok tak nieprawdopodobnie daleki, że trudno poprostu uwierzyć, że to nie cały wszechświat stworzony. Schodzimy po zboczu. Wpobliżu szarzeje łańcuch niskich pagórków. Idziemy naprzód całymi godzinami wśród krzaków... Na etapie stajemy późno w nocy.

Z brzaskiem ruszamy w drogę po nieskończonej równinie. Za nami giną woddali kopuły gór Tiu i wkrótce także łańcuch małych pagórków. Te nagłe wzniesienia gruntu na tej równej, bezkresnej płaszczyźnie wydają się czymś anormalnem, monstualnem nawet, zadziwiają jak przykre zniekształcenia. Skąd się biorą? Jakim sposobem? Dlaczego? Poco zjawiają się nagle, jak obcy, na równinie? Precz z naszych oczu, niesamowite twory! Do nas należy ta ziemia, na której jedną tylko odnajdziesz przeszkodę, niedosięglą linję, która ziemię tę stapia z niebem! Przed nami otwiera się teraz już tylko przestrzeń zasłana krzewami i krzakami, wiecznie ta sama, powtarzająca się niejako, tak że wkońcu rodzi się pytanie, czy my w istocie posuwamy się naprzód, czy też wykonywamy tylko ruchy posuwania się. Od czasu do czasu niewielka kałuża z mętną wodą, która nie wyschła jeszcze po niedawnych opadach, a dzięki której piaszczysty grunt, przezierający przez trawy i krzewy, wydaje się jeszcze suchszy. Na przystanku przewodnik wielbłądników wycina sobie z konara



maczugę, gdyż, jak powiada, na drodze, którą jeszcze musimy przebyć, nie brak złodziei. I każe napelnić skórzane worki w pobliskiej kałuży, ponieważ dopiero nazajutrz natrafimy na wodę.

Długo w noc trwa nasza wędrówka w łagodnym świetle księżyca. Równina pozbawiona jest wszelkich krzewów. Wydaje mi się, że kroczymy wśród olbrzymich łąnów łąk bez końca. Obozujemy na ścieżce, gdyż trawy pełne są kolców. Porwałem się ze snu na nogi, zbudzony głośnym tupotem i okrzykami: o kilka kroków ode mnie biegnie jakiś człowiek, wywijając włócznią, której ostrze błyszczy w promieniach księżyca; za nim, tratując trawy z łomotem, pędzą woły o potężnych rogach. Ludzie moi wołają: „Ya! Baggara! co za stado! ileż liczy głów? — Dwieście pięćdziesiąt!” — poganiacz pędzi je z równin na południu na targ w Omdurmanie.

Budzę się na równinie, pokrytej, jak okiem sięgnąć, wielkimi żółtymi trawami. Nad ranem ruszamy ścieżką wydeptaną przez racice wielbłądów, rysującą się długiemi pręgami czerwonej ziemi wśród nieskończoności zeschniętych traw. Od czasu do czasu rodzaj wysokiego i smukłego janowca przypomina sylwetę nędznych cyprysów, strzegących grobów naszych cmentarzy. Na tej olbrzymiej równinie trawiastej co jakiś czas widać te janowce, których cień jest jak cień grobów. Równina bez granic jest cmentarzyskiem zasianem janowcami bez kwiatów, sobowtórami cyprysów wyrosłych nad cieniem grobów, cmentarzyskiem ogromnem jak świat, na którym rzesze umarłych żywią swem ciałem zwiędłe trawy. Mijają godziny, a niesamowita wizja trwa: słońce się wznosi i pożera cienie. Jak okiem sięgnąć, nic tylko pustynne łąny

twardych i zwiędłych traw, niezmierna równina, upstrzona drzewkami cmentarzysk. Chwilami janowce te rosną gęściej i sięgają wyżej; zdaleka tworzą niemal zwartą ścianę, jakby kraj lasku, w którym, być może, znajdziemy nieco osłony przed słońcem, ale gdy się zbliżyć, lasek się rozprasza, jak znika zwodnicza woda miraży: są tylko pojedyncze janowce, stojące to tu, to tam, u głowy umarłych, w gęstych kłosach spalonych traw. Jednakże około południa ukazało się wdali, na złotej równinie, coś w rodzaju białej zjawy, jakby kształt człowieka olbrzymiego wzrostu, i zaraz potem okazało się, że to Arab siedzący na wielbłądzie, który, owinięty aż po oczy w białe zasłony, jedzie ku nam po ścieżce czerwonej, wytyczonej krokami wielbłądów w bezkresach złocistej równiny. Zoczyliśmy również dwukrotnie w niewielkiej odległości gazelę, nieruchomą i ciekawą przechodniów. Gdy wreszcie słońce osiąga najwyższy swój punkt i pokazują się znowu pierwsze kolczaste drzewa, zatrzymujemy się bardzo zmęczeni. Jest bardzo gorąco, choć dmie silny wiatr. Cień daje mi raczej rozwieszony koc, niż zeschłe prawie gałęzie drzewa. A słońce zdaje się pożerać pracowicie tę okruszynę cienia, przesuwać go, aby padał ukośnie, kurczył się, jakby było zazdrosne, że ktoś ucieka przed jego zapalczywością, i chciało go za wszelką cenę osiągnąć. Przynoszą mi letnią wodę z worka, napelnionego w dniu wczorajszym w ostatniej kałuży błotnistej na naszej drodze.

Pod noc docieramy do zbudowanych nakształt uli chat jakiejś wioski i do studni.

Posuwamy się wolno naprzód przez pokrytą żółtymi trawami równinę, na której rosną kolczaste drzewka i nędzne janowce... A później, jak okiem sięgnąć, aż hen po wid-



nokrąg, pole dury. Na wijącej się wśród ciemnozielonych kęp ścieżce spostrzegamy niesłychanie długą karawanę, liczącą chyba z dwieście wielbłądów, i niebawem zaczynamy ją mijać: to oddział czarnych żołnierzy zmienia garnizon; maszerują swobodnie po bokach kolumny wielbłądów, rodziny ich — żony i dzieci — siedzą, z zapasami i skromnym dobytkiem, na grzbiecie zwierząt; wygląda to tak, jakby kilka wiosek ruszyło na wędrówkę. Znikają za nami. Ogromne pole dury skończyło się. I znowu równina złocistych traw z kolczastymi drzewkami i nielicznymi janowcami; rzekłbyś, że to jakaś wydma piaszczysta, to znowu, że idziemy przez pola dojrzałych zbóż, upstrzone tu i ówdzie jabłoniemi. Ukazują się wreszcie stożkowate chaty jakiejś wioski, strzechy wyglądające jak ule, kobiety obnażone do pasa, które stoją w ogonku przy studni, dzieci pędzące stada kóz i baranów, i żołnierz opasany czerwoną przepaską, który kontroluje przechodzące karawany. Wszystko się dzieje, jak na zwykłym przystanku: wielbłądy, z których zdjęto juki, szukają samopas żywności, tłumoki leżą na ziemi, mój angreb stoi w cieniu jakiegoś drzewa; obok pnia ludzie moi drążą szybko ziemię w kształt litery *T*, niecą ogień, przyrządzają herbatę. Tubylcy wychodzą z chat i stają wpobliżu, ukrywając niezręcznie ciekawość swą pod pozorami sztucznej obojętności; kobiety nadchodzą z mlekiem, biorą mąkę z dury od wielbłądników, ażeby ją ugotować; kiedy wstaje, dzieci, zdjęte strachem, uciekają...

I znowu maszerujemy krok za krokiem po niekończącej się równinie, pod ukośnemi promieniami słońca. Niebo po krótkim deszczu wczorajszym jest niepokalanie czyste. Znikły obłoki, które zdobiły, jak w naszych krajach, błękitną nieskończoność, skończyły się burze, rzucające na

widnokrąg sine plamy i ognie błyskawic. Niebo jest stale przeczyste: jest ono już tylko jednolitem tłem, na którym wieczór roztacza bogactwo swych odcieni, refleksy bez konturów, róż bezbrzeżny, turkus bez granic, i inne jeszcze barwy, które powstają i nikną niewiadomo gdzie i nie zdają się być trwalsze od snów. Już błyszczy księżyc na wysokim niebie, a tam, gdzie słońce zapadło pod ziemię, drga wielka gwiazda. Maszerujemy długo w chłodną noc, wśród rzadkich drzew, zwiężających jednak do tego stopnia nasz widnokrąg, że staje on się tylko wielką, wędrującą razem z nami polaną; potem znowu przez morze płowej trawy poprzetykanej janowcami. Ogniska jakiejś osady czerwienią się pod drzewami; pod wioską widać zalane poświęcą księżycową pola dury. I znowu wchodzimy w zagajniki: ruchoma polana posuwa się razem z nami aż do chwili, gdy eskortę zaczynają pełnić znowu zeschnięte trawy równiny bez końca. Obozowisko rozbito na samej ścieżce; wielbłądnicy owijają się od stóp do głów w swe wielkie płachty z surowego płótna i grzeją się, przed zaśnięciem, przy ogniu buchającym z wydrążonej w kształcie litery *T* ziemi. Jest zimno. Pora suszy rozpoczęła się na dobre. Po krótkim deszczu wczorajszym dwa koce wystarczają mi od biedy, a przedtem obywałem się bez żadnego. Termometr, który wskazuje  $36^{\circ}$  w cieniu o godzinie pierwszej w południe, spada na  $18^{\circ}$  przed wschodem słońca.

Wstajemy o świcie. W rowku, wydrążonym na środku drogi, jeszcze pełgają czerwone refleksy ognia, podtrzymywane przez strażnika nocnego, a wielbłądnicy, owinięci kilkakrotnie w swe płachty z surowego płótna, grzeją się przy nim, poczem dopiero wkładają juki na wielbłądy.



Chłód daje się we znaki nie na żarty... Niezadługo jednak staje się już wspomnieniem tylko, gdyż słońce wznosi się szybko, darząc równinę swym światłem i ciepłem... Równina, jak okiem sięgnąć... Ku północy, z prawej strony, wznoszą się wprawdzie jakieś górki o kształcie stożków, ale tak małe, że przypominają raczej piramidy niezmiernie dalekie, wzniesione przez ludzi jakby w roztargnieniu, a zarysowane tak delikatnie, o niebieskawym odcieniu tak wypłowiwałym, że uwierzyłbyś snadnie, iż to gra światła, zabawa natury, rzucającej tam cień tylko rzeczy, by nas nowym omamić mirażem. Wiecznie ta równina, której długie dni podróży nie potrafią pokonać: tu pokryta laskami, które zwężają widok i tworzą wędrującą z nami polanę; dalej zaś nic, prócz nieobjętego okiem i jałowego kobierca żółtych traw — traw cienkich, ostrych, sztywnych, uzbrojonych w kolczaste kuleczki — a niekiedy, ale bardzo rzadko, przesunie się janowiec, nakształt cyprysu naszych cmentarzy, którego wąski cień podobny jest do cienia grobu... Nagle wyrastają przed nami pola dury, ule zamieszkałe przez ludzi, a pod kępką drzew widać jakby ludek zgromadzony: murzynki z dzieciarnią, angreby i mizerny dobytek, ogień kuchen w ziemi wydrążonej w kształcie litery *T*, czarni żołnierze, pięćdziesiąt wielbłądów, słowem, oddziałek wojska, który nadszedł z El Obeid i przystanął w tem osiedlu. Wizja już znikła! Jesteśmy znowu w objęciach równiny, ogarniającej nas swym płowym bezmiarem. Idziemy wciąż naprzód, jak opętani szaleńcem, że pokonamy to, co się nie da pokonać, i że jesteśmy jedynym ludem tej pustyni.

Nazajutrz.

Całe przedpołudnie wędrujemy przez rodzaj lasu z niedużych drzew i kolczastych krzewów: nad ziemią zasłaną,

jak zawsze, zwiędłą trawą zwierają się gałęzie w zbitą gęstwinię. Droga jest szeroka, piasek na niej rdzawy: wije się, jak zablakana aleja w opuszczonym parku angielskim. Tam, gdzie las rzednieje, widać coś, jakby murawę, której nie utrzymuje żaden ogrodnik i której trawa wybujała usycha na słońcu. Raz tylko po jednej stronie drogi las się przerywa i w wyrwie tej rozciąga się olbrzymi czworobok prosa: wysokie i szorstkie łodygi, podobne do sito-wia naszych stawów, zakończone są kłosem, różniącym się tylko barwą jaśniejszą od tych, które rosną w stojących wodach naszych krajów i tak się podobają dzieciom. Pole prosa, tak obszerne, że zajmuje sporą część widnokręgu, jest równie bezludne jak las. A las, jeszcze gęstszy, rozpoczyna się natychmiast na nowo. Gąszcz pożera nawet drogę, która już nie jest ową piękną aleją parkową o zgrabnych zakrętach, lecz staje się znów dziką i nędzną drożyną, nieregularną i niewyraźną, broniącą się z trudem przed zaborczością lasu. Lecz w chwili, gdy nam się zdaje, żeśmy w samym sercu kniei, las urywa się nagle i przechodzi w otwartą przestrzeń, na której usadowiło się miasteczko Bara w wieńcu uprawnych pól. Łany prosa ciągną się aż po czarną smugę lasów na widnokręgu. Wpółrodku pól wznosi się cała masa chat w kształcie uli o stożkowatych, krytych czarną słomą daszkach. Jeśli pominąć dwa oficjalne budynki, zbudowane z kamienia, a pokryte blachą cynkową, to mamy przed sobą typowe miasto, położone w głębi czarnego kontynentu: śpiczaste chaty, sporo stożkowatych, pola prosa, ogromną równinę pod ogromnym niebem. Sąsiadują tu wszakże formy architektoniczne, właściwe plemionom Afryki centralnej, z formami będącymi w użyciu na północnym skraju Sudanu. Idąc przez Barę, zauważyłam kilka domków z ziemi brunatnej; domy to niskie, z pochylonemi ścianami i wą-



skiem i wejściami, takie jak w Górnej Nubji, — jakże zbliżone do starożytnego typu egipskiego. W *suku* stoją składy, z podcieniami na kwadratowych kolumnach z gliny, zupełnie jak w Omdurmanie, w Szendi, Berberze, El Damer, Abu Hamed, ale jest to nieznaczne ustępstwo na rzecz upodobań okolic północy, przeciw którym buntuje się gromada małych, okrągłych, stożkowatych chat o architekturze murzyńskiej. Chaty tworzą grupy, otoczone ogrodzeniem z zeschniętych cierni. Po obu stronach ulic ciągną się regularne kwadraty takich płotów. Za opłotkami widać dzieci nagie, przyglądające się z ciekawością przechodzącej karawanie, kobiety w krótkich tunikach, zajęte gospodarstwem domowym, oraz leżących w cieniu na angrebach mężczyzn, których wygląd wymownie świadczy o krzyżowaniu się dwóch ras, gdyż bardzo często mają twarze Arabów i kręcone włosy murzynów.

Wydostawszy się za miasto, wkraczamy znowu w strefę zalesioną: niskie i rzadkie zagajniki, janowce rozsiane na równinach pokrytych cienką trawą, niemal białą, jakby łany owsa, i te same wciąż łaski wśród wysokich traw, z szeroką, rdzawym piaskiem znaczoną aleją, wijącą się kapryśnie po parku opuszczonym... Słońce zachodzi, z zorzy wieczornej wykwita płomienna gwiazda, i księżyc, w całej swej mocy i piękności, wstępuje na niebo... Na środku szerokiej drogi, jedynej w pustym lesie, kłęczące na płowym piasku wielbłądy, stopy tłumoków, ludzie pogrążeni w śnie, ogień, który przygasa...

...Księżyc, wciąż równie jasny, wędruje jeszcze po niebie, i choć zbliża się już do widnokregu, wszystko nasiąka zimnym blaskiem bladego jego światła, zagajniki rozsiane po wertepach, wielbłądnicy kładący juki na zwie-

rzęta, nawet ostatnie błyski ognia w środku samotnej alei. I w mgnieniu oka niemal wschód się obleka w purpurę. Karawana już sunie między rzadkimi zagajnikami, rozsiałymi wśród wątlých, białawych traw, drżących na wietrze, jak głuchy owies... Na widnokregu ukazują się dwie kopulaste górkę: maluteńkie, błękitnawe, lekkie jak mgła, złudzenie z pewnością, a może to garby wielbłądów, pasących się w urojonej, nieskończonej dali. I prawie zaraz potem drugi, rzekłbyś, wybryk natury: rodzaj pagórka śpiczastego, o bardzo szerokiej podstawie i bardzo łagodnych zboczach; tym razem pagórek to rzeczywisty, widzimy, że ma barwę brunatną i upstrzony jest niewielką ilością drzew. Sąsiaduje on z El Obeid, kresem tej długiej wędrówki po równinie, której nie możemy żadną miarą pokonać. Zoczywszy pagórek ów o ostrym szczycie i łagodnych zboczach, zatrzymujemy się na odpoczynek południowy w pobliżu potwornych pni baobabów...

...Minęliśmy właśnie tę nędzną góreczkę zagubioną w bezbrzeżnej płaszczynie, gdy zaskakuje nas noc; ukazują się teraz inne górkę, z lewej i z prawej strony, śpiczaste lub garbate, jak szczątki okrętów na bezkresnym oceanie stepów. Z płaszczyny traw i krzewów wynurzają się także niekiedy wielkie drzewa o okrągłych czubach, przypominające orzechy naszych pól; lecz gdy się zbliżamy do jednego z nich, zdumienie nas ogarnia na widok potwornej grubości pnia i konarów, a skąpego listowia, tak jakgdyby kilka drzew złączyło w jedno pnie i konary, a jedno tylko dostarczyło ozdoby swych liści: to rzadkie baobaby, zabłąkane na tej równinie, bezwątpienia świadkowie jakiegoś zaginionego, wielkiego lasu. Noc spędzamy w pobliżu, powiedzmy, stawu, który powstał w ten sposób, że w niewielkiem zagłębieniu zebrała się woda po niedaw-



nych deszczach: w stawie tym kąpią się drzewa, inne pochylają się nad swem odbiciem w śpiącej tafli wody, otoczonej gęstemi krzakami. Jakże dziwną niespodzianką jest to jezioro, podobne do kunsztownie urządzonych stawów w naszych parkach, i jasne jego lustro, w którym się księżyc przegląda!

Ostatni i krótki, dwugodzinny etap. Równina wydaje się więcej niż kiedykolwiek obrazem nieskończoności. Niewielkie, maleńkie raczej góry, oddalone jedna od drugiej, stoją tu, zdaje się, tylko po to, aby tem silniej uwydatnić potęgę i majestat nieporównany tego nieruchomego jakby oceanu. Jedna z nich, bardzo blisko nas, podobna jest dzięki ostremu szczytowi, trzem graniom i regularnym zboczom, do piramidy ręką ludzką wzniesionej. Ale już są poza nami, jakby obrazy zapomniane: przed nami zaś tylko równina bez końca, jakby jej cały świat nie mógł ogarnąć, i nic na niej nie można wyróżnić prócz kilku okrągłych czubów samotnych baobabów. Wkrótce potem widać czarniawą jakąś smugę: „El Obeid!“ — krzyczą wielbłądnicy. Najpierw rozpoznajemy ostry i biały stożek męczetu, potem zbudowaną z cegieł *mudirje*,<sup>1</sup> wreszcie czarniawy pas rozbija się na stożki o szerokiej podstawie: to szczyty zamieszkaných przez ludzi uli. Posuwamy się naprzód pośród pól prosa i dury. Wysokie i zżółkłe ich łodygi, muskane wiatrem, wydają ostre i krótkie dźwięki. Stożkowate, czarną strzechą kryte dachy chat wyglądają zdaleka jak dziwne pole nieznaných roślin.

---

<sup>1</sup> Biura i siedziba *mudira*, gubernatora.

## 2. El Obeid.

W odległości jednego kilometra od suku zgrupowane są biura mudirji, poczta, pałac gubernatora, domy oficerów angielskich, koszary żołnierzy i chaty zamieszkałe przez ich rodziny. Na drugim końcu tej pustej przestrzeni stoją w szeregu składy suku, osłonięte podcieniami na glinianych słupach, i kilka domów z suszonej gliny, w których mieszkają kupcy, przeważnie syryjscy, albo urzędnicy egipscy. Poza tą dzielnicą rozciąga się miasto tubylców: szerokie, proste drogi nadają mu wygląd szachownicy, przyczem każdy kwadrat otoczony jest płotem z uschłych cierni, za którym dopiero rozmieszczone są chaty. Na wielkich, piaszczystych i prażonych słońcem ulicach słomianego miasta niedużo widać przechodniów: tych tylko, którzy udają się do suku lub też na miejsce swych zajęć. Czasem, przy niskich drzwiach szałasów z zeschniętych gałęzi, widzieć można dziecko nagie, kobietę w tunice niebieskiej lub w paski czerwone, sięgającej od pasa do kolan, lub dziewczynkę, której ubraniem jest pasek skórzany, z którego zwisa cała masa wąskich rzemyków. Lecz najczęściej nie widać nic, równina bez granic gotuje się w ukropie słonecznym; każdy chroni się z konieczności przed brutalnością promieni we wnętrzu chat ze słomy *dokhnu*.<sup>1</sup>

Całe życie w El Obeid koncentruje się na suku. Schodzą się tu po nowiny i dla załatwiania interesów. Spotkać tu można surowych mieszkańców z wnętrza Afryki, murzynów Baggara z wielkich pastwisk na południu, murzynów Nuba z dalekich gór, którzy włosy swe spleatają w warkoczyki i rozmieszczają je na czaszce w ten sposób, że warkoczyki te biegną równolegle z przodu do tyłu gło-

<sup>1</sup> Proso.



wy. Przedewszystkiem jednak zdumiewa duża ilość żołnierzy i *gafirów*,<sup>1</sup> krążących po tych alejach handlowych: oto narzędzia niewidocznej władzy, tych kilku Anglików, którzy mieszkają o kilometr stąd — głowy, która myśli i rządzi. Tuzin urzędników egipskich pomaga im w nadzorze nad miastem; i wszędzie jest pełno żołnierzy. Miasto milczy pod jarzmem. Muzułmanie chronią się w swych słomianych mieszkaniach przed słońcem i panami. Nie wyrzekli się bynajmniej nadziei: czekają na swoją godzinę. Za żywoplotami z cierni roją się ule ludzkie, czarne ule. A szerokie ulice są pustkowieciem piasku i słońca.

Dziesiąta godzina wieczorem... Ulice są puste, domy pozamykane... Księżyc tylko wędruje samotny po alejach suku i po ciżbie stożkowatych strzech, podobnych do namiotów nieprzejrzanego obozu... Naraz słyhać głośnie nawoływania, przeciągłe okrzyki rozlegają się jak echo ze wszystkich stron miasta, jakby podawane z ust do ust hasło alarmu: to straż, które bronią się przed snem i nawołują wśród ciszy nocnej.

...Biała, księżycowa noc. Ogromny obóz jakby opustoszał, obóz słomianych namiotów, w których śpi armja umarłych. Tylko ponure nawoływanie straży nocnych rozlega się w El Obeid, po którym się księżyc samotny przechadza.

...Dziś, gdy nadchodzi *moghreb*,<sup>2</sup> niezwykle panuje w mieście ruch. Każdy uwija się jak może, by uporać się z robotą. Składy już zamykają. Na szerokich drogach, tworzących z mrowiska chat jakby szachownicę, roi się

---

<sup>1</sup> Gafir = policjant.

<sup>2</sup> Zachód słońca.

od białych turbanów. Za niskimi oplotkami, w drzwiach szałasów, kobiety i dzieci przygotowują w pośpiechu posiłek, i zewsząd rozbrzmiewają głosy. Nad równiną, na której biegnie wdal zakazana<sup>1</sup> droga do Darfuru, toczy się krwawa kula słońca. W chwili gdy znika, strzelają z armat: to sygnał zakończenia postu ramadanu. Niebo powleka się purpurą. A potem bladozłota zasłona opada hen daleko, gdzie nikną zakazane drogi na zachód. Zapada szybko noc. El Obeid rozbłyska jasnemi ogniami: spala się w tej chwili wszystkie niepotrzebne trawy i odpadki, na czarne strzechy śpiczastych dachów płomienie rzucają jakby ostatnie blaski zachodu. A w ciemnej nocy woła już tamtam, którego urywane i głuche dudnienie zlewa się z suchym warkotem innych instrumentów perkusyjnych. W odległej dzielnicy, między kolczastemi oplotkami, które otaczają grupę szałasów, czeka szejik derwiszów, aż wszyscy członkowie grupy odpowiedzą na wołanie bębenków. Siedzi na angrebie, a blask latarni oświetla ostre rysy arabskie jego twarzy; na głowie ma czepek z różnobarwnych materjałów, a na nim turban, z pod którego wyglądają foremny nos i dobrze osadzone oczy, a niżej rzadka broda. Niebawem zawarczały zdaleka krótkie, twarde i urywane dźwięki bębenków. Przesuwają się powoli z miejsca na miejsce, zatrzymują się w pewnym punkcie i mieszają z głosami mężczyzn i *ju-ju* kobiet, aby wybuchnąć radosnym koncertem religijnym w jasną, księżycową noc...

...Dookoła dwóch latarni leżą stosy skórzanych babuszy, pomarańczowych lub ciemnoczerwonych. Na słomianych matach, boso, podniecani przez szejika, przez

---

<sup>1</sup> Rząd zabrania udawać się do Darfuru. *Przyp. tłum.*



rosnący zapal doboszy, przez piskliwe *ju-ju* niewidocznych kobiet, przez niezmiernie słodką i jakby zoddali płynącą melodię jednego z nich, Arabowie skręcają na lewo i na prawo, przeginają się wtył, skacząc na miejscu, i krzyczą całymi godzinami: „*Allah! Allah! lah! lah! uh! uh!*“ W świetle księżycy delikatne ich sylwety większego jeszcze nabierają uroku: prawdziwi to Arabowie o ciałach giętkich i smukłych, o małych nogach i rękach, cienkich kostkach i przegubach; słodki wyraz ich oczu i twarzy, wywodzący się z krzyżowania z tubylcami, staje się, w szale religijnym, jakby odbiciem ekstazy.

...Ubrani w białe szaty, w jasnym świetle księżycy i w ciszy nocnej, krzyczą głosem coraz to chrapliwszym: „*Allah! lah! lah! ah! ah!*...“

W zakątku dzielnicy handlowej o dziesiątej rano.

Siedzę pod daszkiem kramiku, na stolku, którego nogi powiązane są nakrzyż dużą ilością rzemyków. Kupiec leży na rozciągniętej na ziemi macie słomianej. Rysy tego Araba są regularne i ostre, brodę ma krótką i rzadką; w twarzy jego, prawie czarnej, błyszczą wielkie oczy, zatopione w jakimś marzeniu tak nieuchwytnem, że sam nie potrafiłby go nazwać, od którego jednak odrywają się z szybkością błyskawicy, gdy przechodzień jakiś zażąda oliwy, cukru, soli lub ziarn, nagromadzonych w niewielkich kupkach na szmatkach, albo też gdy sądzi, że zdecydowałem się nareszcie dobić uciążliwego targu o sztylet z Darfuru. Przychodzę do niego po raz drugi, ale nie ostatni; ja mam ochotę na jego sztylet, a on za duży apetyt na moje pieniądze. Po drugiej stronie ulicy, w cieniu ciasných kramików, Syryjczycy, ubrani na modłę swego kraju w obcisłe kaftany, rozprawiają z kupującymi. Są

między nimi przybysze z dalekich gór na południu lub z równiny, murzyni Nuba, z włosami splecionemi jak za czasów faraonów, murzyni Baggara, którzy przybyli na wołach garbatych, osiodłanych i obwieszonych pakunkami: targują się o drzewce do włóczni i dziryków, o materjały na koszule i szale, o naszyjniki dla kobiet. Po jezdni przesuwają się żołnierze w mundurach albo też tacy, których przynależność do wojska poznać można jedynie po czarnem piórze zatkniętem na szczycie turbanu, policjanci opasani czerwoną przepaską, kobiety niosące na głowie kuliste naczynia z gliny, kosze i ciężary, z nieodłącznym dzieciakiem, siedzącym okrakiem na biodrze lub przywiązany nisko na plecach... Arab rozłożony na macie słomianej, obok kupek ziarn na czyściutkich szmatkach, pogrążony jest w nieokreślonem jakimś marzeniu. Nagle wbija we mnie pytające spojrzenie. A ja na to: — Do jutra, jeśli Bóg cię raczy natchnąć rozumem.

Mężczyzna. — Szeroką szatę z białego muślinu z purpurowym szlakiem zarzucił na siebie jak togę rzymskiego senatora. Spada ona z ramion aż do nagich stóp w skórzanym sandałach, tworząc liczne fałdy na piersi, gdzie jej końce krzyżują się i przerzucone są, jak dwoje skrzydeł, przez ramiona. Stoi z gołą głową, ma szerokie czoło i prosty nos, oczy wielkie i czarne, spojrzenie ostre, usta wydatne. Antyczny ten posąg ożywia się i powolnym gestem ściąga jeden koniec szaty z ramienia, tak że fałdy jej spływają harmonijnie ku ziemi. Stoi spokojnie, z pozą niemego Cicerona. Bronzowe jego ramię błyszczący na słońcu.

Dziewczyna. — Powiada, że ma osiem lat, ale nie wie tego dokładnie. U nas dziecko ośmioletnie byłoby tego



samego wzrostu. Ale ta dziewczyna jest już prawie kobietą, a jednocześnie laleczką. Stoi u wejścia do swego słomianego szałas, a obok niej maleńkie dziewczątka i nagusieńcy chłopcy. Ubranie jej stanowi fartuszek z wąskich, zwisających rzemyków, pomalowanych na kolor jaskrawoczerwony, który zczasem szernieje. Na torsie smukłym, prawie czarnym, spoczywa najpiękniejsza głowa, godna podziwu synów Grecji i Rzymu: czoło szerokie i gładkie, ciemne włosy, ucięte na dwa palce nad brwiami, potęgują piękność wielkich oczu, z których wytryska tajemnicze światło; nos ma krótki i prosty; tatuowane na niebiesko wargi tworzą grubą i ciemną ramę dla białych zębów; bujny włos, spleciony w liczne warkoczyki, spływa po bokach twarzy czarną falą aż do nasady szyi, jak to było zwyczajem w starożytnym Egipcie. Mówię do niej: „Jedź ze mną do mego kraju!“ Odpowiada: „Nie! nie!“ I spoglądając na stożkowate dachy słomianych chat, na opłotki z suchych cierni, ciągnące się wzdłuż piaszczystej ulicy, i na niezmierną równinę swego kraju ojczystego, uśmiecha się do nich. Słońce przegląda się w lśniących jej zębach okolonych kwitnącemi wargami i zdaje się pić w głębokiej krynicy jej oczu.

Bezksiężycowa, usiana gwiazdami noc. Na drgające koło derwiszy światło latarni rzuca migotliwe cienie. Rzucają się i naprzód i wtył, na każdy okrzyk szejka „Allah“ odpowiadają gardłowym charkotem, rodzajem chrapliwego oddechu zbliżonego do wycia. Szeik przyśpiesza tempo: głowy chwieją się coraz szybciej; zginają się kolana i gwałtowniej jeszcze przechylają się ciała; zadyszane charkoty zlewają się w jeden wielki ryk, potężny jak głos dzikich zwierząt. Jakgdyby lew krążył w pobliżu, za



5. Grupa palm.



6. El-Obeid. Sklepy.





7. El-Obeid, Targ zbożowy.



8. Obciążanie wielbłądów jukami.

śpiczastemi dachami chat, nic się nie słyszy prócz tego głosu w bezksiężycowej, gwiazdami usianej nocy. „Allah“ woła szejik, a w ciszy nocnej odpowiada mu potężne wy-cie. Krótkie i ostre dźwięki bębena skandują teraz i przy-śpieszają jeszcze rzucanie się ciał. Światło latarni oświetla krąg sylwetek białych i czarnych, miotających się w opę-tańczym szale. Nagle przesywa powietrze przenikliwy krzyk niewidzialnych kobiet, głuszac chrapliwy oddech gardzieli i warkot bębnów, i prawie natychmiast przyci-cha: w ciemnych bezmiarach ziemi i nieba słyhać znowu tylko głos dzikich zwierząt... W tej chwili, z poza opłotka po drugiej stronie ulicy, krzyczy jakaś kobieta:

— A cóż tu robi ten chrześcijanin? Wypędzić tego psa!

Zwracam się do stojącego obok mnie derwisza:

— Powiedz tej kobiecie, że, jeżeli się nie uspokoi, dam jej kopniaka!

..., „Allah“ krzyczy szejik, „Allah!“, przyśpieszając tem-po, skandowane urywanem i głuchem warczeniem bębnów. Jak na sabacie czarowników, miota się w szale upojenia krąg białych i czarnych widziadeł. Cisza nocy napęlnia się chrapliwym ich oddechem.

### 3. Na ścieżce wiodącej do Białego Nilu.

Pod koniec popołudnia wielbłądnicy decydują się ru-szyć w drogę. Spóźniają się w stosunku do ustalonego terminu o jeden tylko dzień, co jest, prawdę mówiąc, drobnostką. Chcąc sobie wynagrodzić niezwykle ten wy-silek, zatrzymują się przed upływem dwóch godzin drogi od El Obeid i odpoczywają. Wydostawszy się poza sferę pól zasianych prosem i durą, złożyli bagaże na drodze.



Przed nami rozciąga się znowu równina pusta i ogromna, a na niej krzaki i raz po raz baobab, podobny do starego orzecha u nas. Na widnokręgu rysują się profile kilku samotnych górek, jakby wyolbrzymione przez wyobraźnię gniazda termitów. Słońce znika w krwawym niebie. Już noc, gwiazdy, ciemność, samotność i cisza. Obecność tych wielbłądników, siedzących przy słabym ogniu, zwierzęta ich i tłumoki, te istoty i te rzeczy niezwykle równe budzą w tem miejscu zdziwienie, jak niewielkie góry, zagubione w niezmiernej równinie: nieskończoność pustynnej równiny i milczących niebios roztapia w sobie i wchłania w nieporównany swój majestat wszelkie inne obrazy. Pod koniec dnia równina zdawała się pochłaniać góry; a teraz, gdy nadeszła noc, żaden ogień nie zdoła odegnać ciemności, żaden tłum nie zaludni tej pustki, żaden głos nie zdoła zmącić ciszy i wzbić się pod strop niebieski. Jesteśmy nieskończenie daleko od ludzi, od istot żyjących, od wszystkiego, i jakby zawieszeni w otchłani bez granic, gdzie krążą światy, których złoty pył wypełnia przestrzeń nad nami światłem tak łagodnem, że leżąc na mym angrebie, ulegam prawie złudzeniu, iż marzenia uniosły mię w tajemniczy, przez ludzi niezamieszkany przybytek.

O piątej rano... — księżyc... fragment księżyca, wysoko jeszcze na niebie... pył gwiazd... ogień, który oświetla kilku ludzi owiniętych szczelnie w zawoje z szarego płótna... Jest bardzo zimno. Myślałbyś, że to głęboka noc gdzieś na Północy... Wkrótce rąbek horyzontu powleka się purpurą. Wielbłądy chrząkają. Wielbłądnicy ładują na nie tłumoki i z nastaniem dnia karawana rusza w drogę. Mija niewielki pagórek i zapuszcza się w nieskończoną równinę, otuloną ciemnym płaszczem krzewów, w samot-

ne, ciemnozielone krzaki rozrzucone wśród traw, których kłosa tworzą jakby mech białawy. Kilka łagodnych falistości gruntu... gdzieś daleko jedno czy dwa pola prosa, nawet kilka śpiczastych dachów chat jakiegoś osiedla — wszystko to przerywa zaledwie na chwilę przenikającą wszystko pustkę.

I tak jest całemi godzinami, aż do zwykłego południowego postoju, pod skrawkiem cienia, na brzegu napoły wyschniętej kałuży z pozostałą po porze deszczowej resztką zmaconej wody. Z bliskich, ale niewidocznych obozowisk przychodzą Baggarowie, by napęlić nią bukłaki na swych osiołkach; inni przypędzają do tego czasowego wodopoju krowy i barany. Dwu z nich, siedząc na piętach, w cieniu krzaka, narysowało na piasku rodzaj szachownicy, na której posuwają pionki z patyków; patyki odarte z kory oznaczają pionki białe, z korą zaś czarne. Gracze mają długie włosy, podzielone na wielką ilość warkoczyków, odrzuconych ku tyłowi głowy. Pytają mnie:

— Czy możesz nam dać zapalek? Bardzo nam są potrzebne.

— Jakże zatem rozniecacie ogień?

— Pocierając bardzo szybko i bardzo długo dwa kawałki drewna.

Daję im zapalki. Szczodrośliwość ta dochodzi bardzo szybko do wiadomości kilku rozproszonych w okolicy stawku Arabów i obudza ich pożądlivość. Gdy po niejakiem czasie siadam na wielbłąda, zbliża się jakiś człowiek z siwą brodą i żąda ode mnie 5 piastrów<sup>1</sup> za wodę wypitą przez mych ludzi i ich zwierzęta.

— Przenigdy! — odpowiadam. — Woda ta przecie nie należy do ciebie, lecz do wszystkich w okolicy i do wszyst-

---

<sup>1</sup> 1,25 fr.



kich przechodniów. A dlaczegoś to nie żądał niczego od podróżnych, którzy stali pod tem drzewem i wyruszyli przed chwilą?

Nie powiedziawszy ani słowa, odchodzi, wyprostowany i równie wyniosły w swej porażce, jak przedtem w domaganiu się. Przypomina sobie, że rzeczą jego słuchać. Chrześcijanin jest panem.

Nazajutrz.

Ta sama wciąż przestrzeń żółtych traw usiana drzewkami: są to drzewka o ostrych kolcach, które tylko żarłoczne wargi wielbłądów chwytają bezkarnie, i trawy zbrojne w kolczaste kulki, które wiatr rozsiewa na piasku ścieżki i które wbijają się nawet w skórzane obuwie. Niewrażliwi na to wielbłądnicy włożą gołemi nogami w te chwasty i rzadko tylko zatrzymują się na chwilę, by wyciągnąć kilka kulek kolczastych, tkwiących między stopą a podeszwą sandałów.

W miarę jak zbliża się południe, nierówności gruntu, dotychczas nieznaczone zgoła i rzadkie, występują częściej i wyraziściej, pojawiają się zaczątki dolin, na tyle akurat głębokich, że ukryć mogą drzewo: ale to próbki śmieszne i próżne, obiecanki zwodnicze, dzięki którym triumf równiny staje się tem wspanialszy. Minąwszy płaskowyż pokryty złotem dojrzewającego prosa, wspinamy się i schodzimy po tych nierównościach, biegnących napoprzek przez cały obszar, tak jakby morze po długim okresie spokoju zaczęło falować. W nocy kołysanie podłużne drogi, mówiąc językiem żeglarzy, wydaje się większe. Czujemy, że opuszczamy się przez chwilę nadół i wznosimy się potem równie szybko. Atramentowe plamy na jaśniejszym kobiercu traw to zapewne drzewa. Wznosimy się

widocznie coraz więcej, gdyż gwiazdy zakreślają co chwila dokoła nas coraz to szersze koło, i chłód się wzmagą, spływając z otchłani niebieskich.

...Na drodze leżą tłumoki. Na piasku płonie ognisko. Rzuca blaski na mych wielbłądników, którzy grzeją gołe nogi i ramiona, owinąwszy pierś i głowę szczelnie w płócienne szmaty. Siedzą na piętach i pilnują wrzątku, w którym gotuje się proso. Za nimi, w półkołu, wychylają się z cienia długie białawe szyje klęczących wielbłądów, a płomień rozjaśnia ich twarze poważne i pogardliwe. Patrząc na te harde stworzenia, nieruchome i nieme, o wyglądzie wrogim i bezmyślnym, możnaby sądzić, że uważają się za sędziów i odbywają posiedzenie. Odwracam się na mym angrebie, aby patrzeć tylko na gwiazdy. Lecz długie i głośnie ruszanie szczękami mówi mi, że obradują, a nieprzyjemna ich woń, że wyrok już zapadł.

Za chwilę wszędzie słońce. Chłód jest przejmujący: 14<sup>o</sup> zamiast wczorajszych 33<sup>o</sup> po południu w cieniu. Moi ludzie nie rozstają się z długą, owiniętą dokoła głowy i tułowia zapaską płócienną, jedyną osłoną przed zimnem nocy. I znowu wędrujemy poprzez falującą równinę. Kółysanie się wielbłądów staje się jeszcze dokuczliwsze. Ilekroć stajemy na grzbiecie fali, rozpościera się dokoła nas ten sam szeroki i daleki widnokrąg. Gdzie okiem sięgnąć, ten sam zawsze płaszcz z rudych traw, pocętkowany ciemnozielonemi drzewami. Zawsze ta sama pustka, potęgowana raczej pojawieniem się samotnego łanu prosa, spotkaniem, jakże rzadkiem, podróznego lub stada, widokiem chat jakiejś wioski, pustka rozkolysanej długimi falami równiny, wielka jak ziemia i niebo.

Gdy na niebo wstępuje zorza wieczorna, wzniesienie



gruntu, potężniejsze od innych, tworzy jakby barjerę umocowaną na obu krańcach niebios. Gdyśmy się wspięli na tę wyniosłość, roztoczyła się u naszych stóp nieskończenie rozległa równina. Schodzimy szybko z tej wysokiej fali, podobnej do fal miotanych przez morze na nasze wybrzeża; ziemia już wróciła do równowagi, a my jedziemy cierpliwie dalej pod gwiaździstym sklepieniem. Ziemia jest znowu spokojna, jak drzemiący w bezruchu ocean. Jest tylko jeziorem spokojnym, którego brzegów nikt nie zna. Bezwątpienia nie ma ona granic, jak wisząca nad nią kopała, po której od czasów, jakich wyobraźnia ludzka nie ogarnie, wędrują ciała niebieskie. Ileż dni i nocy minęło, a myśmy nic innego nie widzieli prócz tej nieuchwytej dla oka ludzkiego granicy między ziemią a niebem? El Obeid było fragmentem marzenia sennego. Zapewne przez całe życie składaliśmy, jak dzisiaj wieczorem, tłumoki na piasku drogi, a z gwiazd spływał na nas spokój.

Następnego dnia.

Na równinie... Trawy, wciąż niezmierzone morze kolczastych i żółtych traw, a tu i ówdzie ciemnozielone krzewy... A potem pola prosa, regularne grzędy kłosów, olbrzymi obszar ziemi, z której będzie chleb; za chwilę czarne stożki chat dużej wsi Um Dam z dwiema studniami, do których śpieszą i ludzie, i kozy, i karawany. I ta wizja szybko mija. Tylko szorstki i martwy kobierzec traw, samotne drzewa, milczenie równiny, pustka...

Innego dnia.

Piaszczysta, rdzawa droga wije się kapryśnie między bezkresnymi murawami wysokich, kolczastych traw. Kilka samotnych drzew wywołuje zdaleka złudzenie lasku. Lecz

nikt nigdy doń nie wejdzie: kraj jego ucieka stale przed podróżnikiem; gdy się zbliżyć, z lasku pozostało już tylko kilka na chybił trafił wśród kolczastych traw wyrosłych drzew, i nowy laszek mamy nas zdaleka, pełen obietnic i rozczarowań.

Widnokraż ten ożywia się tego dnia karawaną wracających z Mekki pielgrzymów: są to wędrujący pieszo biedacy, murzyni zamieszkujący dalekie kraje na południu, ich żony, maleńkie dzieci, a każdy coś dźwiga, mężczyźni luk i strzały, kobiety wodę i durę, dzieci zaś ukrytą w skórzanej okładce modlitwę. W dalszej drodze natykamy się na kroczącą powoli karawanę kupiecką. Potem widać osiedla jakieś, jeszcze dalej dwie ciekawie nam się przypatrujące gazy. Zniknęła krawędź zwodniczego lasku. I drzewa znikają. Krzaków coraz mniej. Pojawiają się zato tu i ówdzie maleńkie janowce. A wkońcu na równinie niczego już nie widać prócz ubogiej szaty krótkich i rzadkich traw. Gdyby nie chaty wioski Haszaba, możnaby sądzić, że nawet ta nędzna prerja się skończy...

We wiosce zatrzymujemy się na południowy postój, pod dachem kilku chat, zbudowanych przez *maghzen*<sup>1</sup> na użytek podróżnych. Na drodze z El Obeid do El Dueim znajduje się pięć czy sześć takich schronisk. Pytam moich wielbłądników:

— Jaki rząd wolicie — *maghzen* angielski, czy też *maghzen* mahdystów?

Odpowiadają błyskawicznie: — Anglików! Anglików!

— Mówicie tak, bo wiecie, że jestem Europejczykiem.

Ukrywacie przede mną swe myśli.

— Nie! nie! Anglicy są lepsi od derwiszów!

— A to dlaczego?

---

<sup>1</sup> Rząd.



— Derwisze byli zbójami i złodziejami. Zabijali mieszkańców i zabierali durę, pieniądze i wielbłądy. Obecnie pracujemy w spokoju; mamy nad sobą opiekę i nikt nam nie zabiera naszej własności.

— A zatem, — próbuję wysnuć wniosek, — chrześcijaństwo jest lepsze od islamu.

— Nie! — odpowiadają. — Lepiej być muzułmaninem, niż chrześcijaninem. Ale maghzen chrześcijański Anglików jest lepszy, niż maghzen muzułmański mahdyków.

Niechże i tak będzie! Ale wyższość chrześcijańskiego rządu zależy w dużej mierze od przenikających go zasad religijnych.

Przed świtem budzą się moi ludzie: „*Bism' illah' u rassul!... Bism' illah! Bism' illah!*... W imię Boga i Proroka! W imię Boga! W imię Boga!“ Jest to ich pierwsza myśl, pierwsze ich słowo, ich modlitwa; krzątając się około swych zwierząt, powtarzają wielkim głosem po dziesięć, piętnaście razy tę inwokację, która streszcza ich wiarę, utwierdza ją i umacnia.

Z księżyca ramadanu pozostał już tylko wąziutki sierp, którego zniknięcie oznacza koniec postu i rozpoczyna huczny okres bejramu. Wąziutki sierp roztapia się w purpurze wschodzącego słońca. Jesteśmy znowu na równinie. Cała równina jest ogromnym polem zwędłych traw, z którego wyrasta kilka janowców. Wysokie te janowce wyglądają jak cyprysy naszych cmentarzy, a cień ich rzuca na równinę cień grobów. Przez całe przedpołudnie przeprawiamy się przez to dziwne pole umarłych, nie dostrzegając jego końca. Jest tak rozległe, że zamieszkały tu chyba wszystkie ludy ziemi, a tyle jeszcze wolnego miejsca mię-

dzy janowcami, jakby to cmentarzysko czekało niecierpliwie na spoczynek pod jego umarłemi trawami i tych, którzy żyją w innych stronach. Woddali wznosi się niewielki kurhan, jakby jedyny pomnik, w którym spoczywa najznakomitszy z ludzi. Wielbłądnicy krzyczą radośnie: „Dźebel Szue!“, gdyż wzniesienie to oznacza połowę drogi między studnią w Haszaba a studnią w Id el Yd. Wpobliżu kopca, który nazywają „górami“, pod dachem kilku chat wzniesionych dla podróżnych czekamy, aby ruszyć w dalszą drogę, aż słońce zniży się nad równiną żółtych traw, gdzie janowce grają rolę cyprysów cmentarnych.

...Za nami czerwieni się niebo moghrebu... Smukłe gazele, w płowej swej szacie, przebiegają gromadą tuż obok nas przez ścieżkę: zatrzymują się w trawach i patrzą na nas... Rojąca się od nieznaných światów noc zlewa szybko ukojenie na melancholijną równinę, na której spokojne gazele pasą się w cieniu grobów. Kępki janowców rozpoznajemy zaledwie po ciemniejszym ich zabarwieniu. Nadeszła chwila uroczysta, jaką każdego wieczora darzy nas rozbłyskująca niedostępnymi światami noc. I, jak co wieczór, wielbłądnicy śpiewają jej swą radość po trudach dnia. Jest to rodzaj monotonnego zawodzenia, którego rytm wybijają nogami. Jeden z nich wysuwa się na czoło, ze wzniesionem ramieniem, jakby podtrzymywał w wyobraźni amforę. Inni krocą w szeregu za nim i uderzają w dłonie. Wszyscy śpiewają i klaszczą w takt, z piersią naprzód podaną, z podniesionemi ramionami, a przy każdym kroku przysiadają lekko na dotykającej ziemi nodze. Potem przyśpieszają rytmiczny tupot, skandując go teraz już tylko gardlanemi dźwiękami, jakby chrapliwym szczekaniem. Nagle rozbrzmiewa ostry krzyk i radość ich kona w milczeniu. Po niej jakim czasie zaczynają



odnowa, tak że chwilami monotonne refreny, chwilami rytmiczne uderzenia sandałów, to znowu szczekanie nieznanych zwierząt zamąca spokój nieprzenikniony, w którym krążą gwiazdy.

I znowu upłynął jeden dzień...

Przed karawaną rozciąga się równina zwiędłych traw, janowce tworzą na niej tu i ówdzie nieruchome kępki. W naszym marszu kierujemy się widocznym na dalekim bardzo widnokręgu pagórkiem. A potem znów pojawiają się nieduże drzewa, mnóstwo drzewek, podobnych do jabłoni, w olbrzymim, zarosłym chwastami sadzie. Pasą się w nim wielkie stada baranów pod nadzorem pastuchów, uzbrojonych w dziiryty i włócznie.

Na wysokości pagórka, gdy po przeciwnej stronie karawany ukazuje się jeszcze jeden pagórek, wytyczając jej drogę, drzewa znikają, ustępując, jak daleko okiem sięgnąć, płowym trawom prerji: ani jednego krzewu, tylko kobierzec złocistych traw, na którym porusza się stadko gazel, obramowany na widnokręgu migotliwą smugą zwodniczych wód mirażu.

I wszystko jest kłamstwem: płowe żniwo chwastów, sięgające, rzekłbyś, w nieskończoność, znika po kilku godzinach i odsłania się nowy widok z nielicznymi drzewami, przechodzimy obok pola dury, co wskazuje na bliskość osady, i docieramy do pięciu czworokątnych chat z gałęzi i płótna, tak niskich, jak otaczające je krzewy kolczaste. Chaty te należą do wioski Id el Yd, szczęśliwej właścicielki sadzawki i studni.

Ciemno jeszcze. Mamy przed sobą ostatni i krótki, godzinny może kawałek drogi. O brzasku wyłania się

równina bez końca, pozbawiona traw, drzew i krzewów, i nic nie wskazuje na to, że przez tę dolinę, oddzielając krainę Sennar od Kordofanu, płynie Nil. Uprowadzony o jego bliskości, nie dziwię się wcale, że gdzieś daleko wznosi się ponad czarną ziemią coś, co podobne jest do zakrzywionej rei na feluce. Niebawem też ukazują się zarysy niewielkich domów w El Dueim.

Gdy słońce wznosi się ponad widnokrąg, docieram do kresu mej wędrówki i wkraczam do miasta, rozbrzmiewającego radością z powodu bejramu, t. zw. *Aid el Soghaier*. W południe skończy się ramadan. Już na ulicach rozlega się warkot bębnow; pochód z zielonemi sztandarami idzie przez suk, w którym wszystkie sklepy są pozamykane; na ulicach widać tylko tłum rozradowany i przybrany w najpiękniejsze swe stroje: turbany, gallabye,<sup>1</sup> wyprane i wyprasowane szarfy. Ramadan już się kończy!

...W nocy bębniarki wygrywają swoją pobudkę: tańczy się w świetle gwiazd, a nieco dalej, derwisze, zebrani wokoło latarni, wykrzykują, jakby wyli, imię Allaha...

#### 4. El Dueim.

Ledwie świta... Przecieram oczy... dochodzi mię głos z poza muru: „Chwała Bogu, Panu stworzenia!“ Pod niebo, roziskrzone jeszcze tysiącami gwiazd, ulata pierwsza modlitwa nowego dnia. I prawie zaraz potem słyhać warkot szybkimi pałkami bitych bębnow, głoszących miastu, że oto nastał dzień wielkiego święta i że należy pomyśleć o zabawie.

Radość tak bliska jest łez, że nic tak nie jest podobne

---

<sup>1</sup> Rodzaj długiej koszuli. *Przyp. tłum.*



do dni smutku, jak dni wesela. El Dueim obchodzi święto, a miasto jakby opustoszało. Składy soku są pozamykane. Na ulicach niema nikogo, wyjąwszy kilkoro dzieci i nielicznych przechodniów. Na brzegu rzeki również pustki.

El Dueim rozłożone jest wzdłuż brzegu; trzy czy cztery równoległe do rzeki ulice stanowią całą jego szerokość. Połowa miasta zbudowana jest z namułu, druga zaś ze słomy dury; ponieważ jednak wysepki domków opasane są murem glinianym, wydaje się, że po obu stronach ulic biegną domostwa takie, jak w Omdurmanie lub w Górnym Egipcie. Trzeba, rzuciwszy regularne i jednostajne ulice, przedostać się do tych wysepek, a wtedy widok życia sudańskiego przypomni niezwykle żywo El Obeid, miasto o stożkowatych chatach, położone gdzieś tam ku moghrebowi, w głębi zarosłych płowemi trawami równin, na drogach ku zakazanemu Darfurowi.

Po południu, w czasie odmawiania modlitwy *asr*, wzmaga się warkot wzywających do radości bębnów. Na wielkiem podwórzu domostwa, w którym urządziłem się na te dni odpoczynku i zabawy, słyszę, jak wśród śpiewów i gwaru tłumu wołają, że trzeba już iść. Nuże, mój biały, obszerny a lekki stroju sudański! Ażurowa koszula, wcięta w stanie, *gebbah*, która rozszerza się ku dołowi i dotyka niemal ziemi, a której szerokie i długie rękawy zachodzą na ręce! do tego turban, związany w ten sposób, że dwa jego końce rozchodzą się jak wachlarz! a wkońcu wielki szal z surowego muślinu z purpurowym jedwabnym szlakiem, który krzyżuje się na piersi i powiewa u ramion jak dwa skrzydła!

Na ulicy, między wysepkami opasanych glinianym murem domków, biały tłum otacza tancerzy, tłum już

setnie rozbawiony i pijany merysem. Jeden z tych amatorów kieliszka, zoczywszy mnie, podchodzi szybko i całując mnie w rękaw, powiada: „Jesteś szeryfem!“ A ja na to: „A ty pijaczną! Wynoś się!“

Dookoła muzykantów kręcą się pary. Trzymają się w pas; mężczyzna wznosi ramię triumfalnym gestem; posuwają się bardzo wolno naprzód, drobiąc szybko nogami i przytupując zręcznie w takt rozhulanych uderzeń tamburynów. Nagle widzowie biorą wysoką nutę i głosy ich spływają gwałtownie opadającą gamą, aby skończyć tonem pełnym smutku. Wtedy tancerze, ze wzniesionymi w wyciągniętych ramionach laskami, ruszają naprzód krokiem szerokim i szybkim, i wokół muzykantów snuje się korowód niebieskobiałych par, kobiety drobne, skromne, strachliwe w swych niebieskich zasłonach, mężczyźni biało ubrani, z błyskami radości w oku, z triumfalnie wzniesionem ramieniem.

Tuż obok tańczą, jak w Darfurze, taniec śpiewany. Zwarty szereg nieruchomych kobiet, owiniętych szczerline w niebieskie zasłony, uderza w dłonie w takt powolnego, monotonnego refrenu; śpiewają półgłosem, a zawodzenie ich jest jakby przyciszonym dalekim poszumem, bardzo smutnym i bardzo słodkim, jak lękliwe wołanie synogarlic w głębokim lesie. A przed nimi, dla kontrastu, skacze mężczyzna z kobietą; zwróceni do siebie twarzami, podskakują zawzięcie, coraz mocniej, coraz szybciej, coraz wyżej, a czynią skoki tak giętkie, że wyglądają jak pociągane za niewidoczne sznurki marjonetki.

W innej grupie mężczyźni i kobiety stoją naprzeciw siebie w dwóch szeregach; górna część tułowia i głowa ani drgną, biodra natomiast i nogi pracują zapamiętale, wykonując bez przerwy szybkie i rytmiczne ruchy. Bęben



przyśpiesza takt, a śpiewny szept, który mu towarzyszy i odpowiada, jest jakby protestem miłosnym przeciw zbyt nagłemu zakończeniu...

Nadeszła noc, a z nią rośnie zapal do uciechy. Muzyka, śpiewy i tańce przeciągają się w ciepłe wieczora i ciszy gwiazdzistych przestworzy. Wszystko jest tu kontrastem: ta noc, jakby stworzona nato, by duszę wznieść ponad poziomy, a rozedrgana szałem całego miasta; rozbrzmiewający na cichych równinach radosny gwar; gwałtowna, upajająca i zawrotna muzyka, a głosy dyskretne i słodkie; rytm bębnów macony co chwila przerywanym taktem; taniec szalony a spowity w bezruch; wstydliwie udrapowane w zasłony kobiety, których oczy żarzą się pożądaniem pod czołem zdobnym w złote klejnoty; tłum tańczący taniec miłości, a jednak pozbawiony bezwstydu, i śpiewający, jakby szeptał modlitwę...

Tak będzie do połowy nocy. I choć słońce zaszło dopiero przed dwiema godzinami, dochodzi do tych kontrastów jeden jeszcze, może jeszcze dziwniejszy: żołnierze i policjanci, pijani merysem i zmieszani z tłumem, nad którym mają czuwać. Jeden z nich wali w bęben, drugi zaś tańczy, dodając do zwykłych ruchów tysiące ekscentryczności, które sobie przypomina z czasów, gdy mieszkał jeszcze w zapadłym jakimś kącie nieznanego Sudanu. Inny znowu twierdzi, że czas już iść do domu; zabiera się do rozpędzenia jakiejś grupy, która na to wybucha śmiechem, a wtedy on, śmiejąc się jeszcze głośniej, aranżuje taniec, podaje takt i rozpoczyna bal. Jakiś czarny żołnierz, z orderami na piersi, ścisną serdecznie dłoń wszystkim przechodniom. Dwóch policjantów tańczy taniec wojenny; wygrażając sobie laskami, to nacierają na siebie, to cofają się, zgodnie z taktem tamburynów.

Potem klóćą się na dobre. Jakiś effendi<sup>1</sup> usiłuje sprawę załagodzić i nikt niczego nie rozumie. A trwa to przez całą godzinę. Chwilami wygląda to tak, jakby wśród tego tłumu Arabów i mieszańców, a nie brak między nimi ładnych twarzy, miało dojść do awantur; lecz i tu spotykamy się z kontrastem, wszystko się kończy jak najlepiej. Ktoś mię objaśnia: „Oni wszyscy są tak zadowoleni! Proszę zważyć: każdy wypił merysu za dwa *sous*,<sup>1</sup> a to starczy! Wszyscy są pijani i szczęśliwi, i to za dwa *sous*!“.

...Zaczyna znowu świtać, a bębny już wzywają do radości. Ponawiają swe wezwanie, gdy zbliża się południe. I jeszcze po godzinie modlitwy *asr*. Niestrudzeni Sudańczycy wciąż tańczą. Albo też udają się do domków, na których powiewa biała chorągiewka, ażeby napić się szczęścia za dwa „*sous*“. Prowadzą mnie do większego jakiegoś domu. Okrągłe jego ściany są z namułu; na środku stoi słup drewniany, podtrzymujący słomiany dach. Zgromadziło się tam cztery czy pięć turbanów w towarzystwie dwóch tarbuszów na głowach effendich: rządzeni i rządzący pogodzili się dookoła litrówki z konjakiem i licznych skorup z merysem. Rozmawiają prawie przytomnie, siedzą na miejscu, by nie stracić równowagi, i walczą jeszcze skutecznie ze snem. Otaczają z braterską troskliwością dwóch srodzej dotkniętych przyjaciół: jeden z nich wyciągnął się na ławie z gliny; drugi, osunąwszy się na podłogę, obejmuje serdecznie próżną prawie butelkę od konjaku. Podnoszą im głowy i wlewają

---

<sup>1</sup> Pan. *Przyp. tłum.*

<sup>2</sup> Dwa *sous* = 10 centimów. *Przyp. tłum.*



im napitek do ust, tak jak się dzieci poi mlekiem. Za ścianą muzyka szaleje, głosy mruczą słodki bardzo śpiew, a tancerze i tancerki, nie ruszając się prawie z miejsca, tańczą taniec brzucha, poruszając zapamiętałe nogami. Radość ich jest mało hałaśliwa i ci, których nie wytrzeźwia męczący wysiłek, zapadają w sen. Szczęśliwy ludek dzieci!

Czwarty dzień bejramu.

Już tylko pod wieczór słychać głos tamburynów. Tancerze zjawili się dopiero w nocy, i to nieliczni. Czuć zmęczenie po czterech dniach święta. Pod bramami miasta śpiewacy utworzyli koło, wtórują sobie klaskaniem w dłonie i pochylają się w takt; oczy im błyszczą radością; światło latarń uwydatnia delikatne ich rysy pod szerokimi turbanami. Niedaleko od nich tańczy się taniec *tuza*: otaczając zwartem kołem muzykantów, mężczyźni i kobiety nucą melodję o opadającej gamie; tworzą wielkie koło, nogi ich drepcą zapalczywie na miejscu, a ciała kołyszą się w przyśpieszonym rytmie.

Uroczystość angielska.

Całe miasto przystrojono na rozkaz w chorągwie, staniem i na koszt mieszkańców. Na rozkaz ustawiają się na brzegu rzeki na powitanie *sirdara*<sup>1</sup> — wszyscy ci przynajmniej, którzy nie są zajęci sprzętem dury na polach lub nie pochowali się w swych mieszkaniach. Wszystkie składy suku są pozamykane, na ulicach niema żywego ducha, tak że możnaby sądzić, iż cała ludność wyległa

---

<sup>1</sup> Głowa rządu sudańskiego.

na spotkanie swego pana. Ale od jego statku do siedziby gubernatora niema nawet 200 metrów, a po obu stronach połowy tej drogi nawet na dwa rzędy nie starczyło ciekawych. Gdy sirdar wysiada na brzeg, jeden z urzędników daje znak i rozlegają się okrzyki powitania, oklaski i *ju-ju* kobiet. W miarę jak sirdar posuwa się naprzód, szeregi, które już minął, rozsypują się i ustawiają się sprawnie na drugim, pustym do tej chwili odcinku. Podczas oficjalnego przyjęcia w gmachu gubernatora drużyna tych figurantów udaje się, stosownie do rozkazu, na główną ulicę suku, przez którą orszak ma przechodzić; drużyna ta podzielona jest na trzy grupy i w miarę jak sirdar dochodzi do jednej z nich, krajowcy według zgóry ułożonego planu przyłączają się do orszaku, biegną po jego bokach lub też wyprzedzają go, by się w innym miejscu zgromadzić na nowo i wywołać złudzenie, że ludność z miasta nie puciekąła.

A wieczorem już niema tańców.

Po moghrebie słyhać wprawdzie bęben, lecz jest to bęben „nuby“ derwiszów. Udają się na ową nubę. Szeik derwiszów, widząc mię w białych, powiewnych szatach i turbanie, bierze mię za kogoś innego i podchodzi do mnie:

— Niech ręka Boga czuwa nad tobą! wita mnie i zaprasza, po zwykłych formułkach grzecznościowych, abym usiadł obok niego na koziej skórce. — Z jakiego jesteś kraju? — zapytuje. — Z Mekki?

— Nie, jestem maghrebinem.<sup>1</sup>

— Ja także.

— Naprawdę? A z jakiego miasta? Z Fezu? Marakeszu? Algeru? Tunisu?

---

<sup>1</sup> *Maghrebini* = mieszkańiec krajów zachodnich.



— Ojciec mój przybył z tamtych stron. Ja jednak urodziłem się w Egipcie... A jak się nazywasz?

— Abdallah, sługa Boży.

— Przybywasz z Chartumu?

— Tak.

— A dokąd się udajesz?

— Tam na południe, bardzo daleko... jeśli Bóg da...

Nadchodzi dwóch derwiszów, posłusznych wezwaniu warczących bezustannie bębnów, i po ucałowaniu ręki szejka kłaniają się po raz wtóry i mnie też całują w rękę. Gdy wstaję, aby się pożegnać, przed rozpoczęciem pobożnych ich ćwiczeń, żegnamy się słowami nakazanymi przez religję: „Idź ścieżką zbawienia“.

Zaledwie świta, a już z poza muru dochodzi mię głos modlitewny: „Bądź pochwalon, Panie, władco wszystkich rzeczy!... Ty jeden, ty jeden jesteś wielki!...“ Pierwsza modlitwa budzącego się zaledwie dnia...

Miasteczko powróciło do normalnego, codziennego swego wyglądu. Wszystkie składy suku są otwarte. Pracuje się w nich w milczeniu; klienci, siedzący na progu, rozmawiają pocichu. Schroniwszy się przed słońcem pod daszkiem na glinianych kolumnach, rozmawiam ze znajomym kupcem:

— Tak, tak — powiada — wszystko było lepiej za czasów Mahdiego, gdyż nie pito merysu, którego Sudańczycy stale teraz nadużywają; nie było tych tańców swawolnych, jak podczas ostatnich świąt; ani wyjących derwiszów; modlitwa, tylko modlitwa, jak za czasów Mahometa...

Inny znajomy kupiec zaprasza mię, abym usiadł

na jego angrebie przed składem, w cieniu, i odzywa się do mnie:

— Powtórz za mną, że Bóg jeden jest Bogiem, a Mahomet jego prorokiem.

Odpowiadam mu:

— Powtórzę za tobą chętnie, że jeden jest tylko Bóg. Nie mogę jednak powiedzieć o Mahomecie, że jest prorokiem Bożym.

A on mi na to:

— Za czasów Mahdiego, ktokolwiek nie chciał powiedzieć: *la illaha ill' Allah, Mohammed rasul' Ullah*, temu ucinano głowę.

— Mahdi był zbrojem. Gdzie dusza jego, Bóg jeden wie. A czy ty wiesz, gdzie jego ciało?

— Oczywiście w ziemi, pod kubbą,<sup>1</sup> którą zbudowali mu wierni w Omdurmanie.

— Co, do tego stopnia jesteś ciemny?... Posłuchaj: gdy Anglicy pobili mahdystów i zdobyli ich stolicę, zniszczyli kubbę, wyjęli z grobu ciało Madhiego, który był mordercą tylu ludzi, i rzucili je do rzeki!

— Oh, to straszne — woła Arab, odwraca głowę ku pałacowi gubernatora i spluwa kilkakrotnie w jego kierunku. A potem odzywa się ze smutkiem: — Gdybyś powiedział, że Mahomet jest prorokiem Bożym, wszyscy bardzoby się tem uradowali; byłbyś mężem doskonałym, i dzięki temu, a także dzięki twej brodzie, turbanowi, w którym ci tak dobrze, białej gebbah, szalowi ze szlakiem z czerwonego jedwabiu indyjskiego, zrobilibyśmy cię naszym szeikiem i szanowalibyśmy narówni z szeryfem...

---

<sup>1</sup> Grobowiec muzułmański zbudowany jako kapliczka. *Przyp. tłum.*



...Po zachodzie słońca, o godzinie *asze*,<sup>1</sup> gdy, leżąc na angrebie na dziedzińcu mego domu, pod baldachimem nieba, patrzę na błyszczące na wysokościach gwiazdy, dochodzi mię głos z drugiej strony muru: „Chwała tobie Boże, władco świata!... Ty jeden jesteś wielki!...” głos odmawiający ostatnią modlitwę tego dnia.



---

<sup>1</sup> Dwie godziny mniej więcej po zachodzie słońca: wtedy należy odmówić piątą i ostatnią modlitwę dnia.

### ROZDZIAŁ III.

## NA BIAŁYM NILU.

### 1. W drodze do Kodoku.<sup>1</sup>

Z nastaniem nocy rozpięto żagiel. Mocno zbudowana łódź opuszcza wybrzeże El Dueim i zaczyna posuwać się w górę rzeki...

Wyjazd ten poprzedziły długie pertraktacje. W ciągu kilku dni umawiałem się o cenę, wybierałem statek i załogę. Zachłanność i przewrotność Arabów opóźniły mój wyjazd. Po podpisaniu umowy zmuszony byłem czekać niejedną dzień jeszcze, nim ukończyli przygotowania i zdecydowali się na odjazd.

Wreszcie jednak ruszamy. Szeroka i krótka łódź, zbita z ciężkich tarcic, płynie pchana wiatrem z północy po szerokim Nilu. Na wodach lśni księżyc. Linję brzegu znaczy jakby żywopłot z krzewów, a ponieważ na zakrętach rzeki wszędzie podobne krzewy rosną, niewiadomo doprawdy, czy jest tam ujście, czy płyniemy po rzece, czy po jeziorze. Tu i ówdzie wynurzają się z wody smugi nagiej ziemi i kępy wielkich traw: poziom wody opada i niezadługo rzeka powróci do węższego łożyska.

Woda, zielone i niskie brzegi, jasny księżyc, gwiazdy, sen...

---

<sup>1</sup> Faszoda.



Z nadejściem dnia feluka zbliża się do Kawy. Zarośnięty kępami trzciny Nil wygląda teraz jak szeroko rozlany staw. Wzdłuż piaszczystego brzegu ciągnie się szereg ubogich domków z suszonego błota. Trzy czy cztery łodzie drzemią na kotwicy. Miasteczko jest tylko zbiorowiskiem nędznych chat słomianych dookoła ubożuchnego suku. Ale rejs i majtkowie mają tu przyjaciół, znikają więc, pozostawiając przycumowaną łódź wraz z podróźnikiem. Gdy czasem jeden z nich się pojawi, oddala się natychmiast na poszukiwanie obu innych i nie wraca. Miła ta zabawa trwa sporą część dnia. Zagrożenie policją i wstrzymaniem bakszyszu kładzie jej natychmiast kres, w ciągu pięciu minut wszyscy są na miejscu. Łódź odpływa. Jest czwarta po południu.

Feluka pruje pod prąd wody wąskiej i krętej odnogi, jakby opustoszałej i obrzeżonej sitowiem rzeczki. Brzegi wystają ponad wodę tylko dzięki sitowiu, którem są porośnięte. Są to brzegi pustynne, na których rozlega się tylko krzyk dzikich kaczek i ćwierkanie ptaków, gdzie sterczą wielkie szczudłaki, nieruchome i zamyślane; są to brzegi zwodnicze, urywające się co chwila, a wtedy za kurtyną sitowia widać tafłę sennej wody w dalekich i niskich ramach zielonych. Jest to jakby wielka równina wody i trzciny, z której wznosi się ku niebu jedynie krzyk melancholijny dzikich ptaków.

Potem rzeka się rozszerza. Na bezbarwne jej wody splywa światło dnia. Na wschodnim brzegu, który należy do międzyrzecza obu Nilów — Dżezireh, wyspa, jak ją nazywają Arabowie Kordofanu i Sennaru — poletka dury, skrzypiąca podnośnica, chaty jakiegoś osiedla dziwnie kontrastują z olbrzymią pustką, idącą od ziemi i rzeki i schodzącą z nieba; podkreślają beznadziejność

walki, staczanej przez człowieka z wybrzeżem zachodniem, któremu gęste zagajniki nadają piętno tajemniczości, a które należą do zamieszkanego przez arabskich pasterzy Kordofanu...

...Po bezbarwnych wodach Górnego Nilu, zarosłego kępami sitowia, ślizga się blade światło przedwiozera. Rzeka zwęża się dzięki kurtynie trzcin udającej wybrzeże; jest znowu tylko opuszczoną przez ludzi rzeką, płynącą wąskiem i krętym korytem, i na całym widnokregu ciągnie się nieprzerwana smuga zieleni; niewiadomo już, czy żeglujemy po rzece, po rzeczce, czy przejeżdżamy przez jezioro albo lagunę. Słońce owinęło się w złoto i znika poza zwartym gąszczem na brzegach Kordofanu, gdzie po stepach wędrują nieliczni pasterze arabscy... Na wody Górnego Nilu, na wody ciemne jak noc, olbrzymi księżyc zlewa białe swe światło.

Świt bieli niebo ponad dachami uli dużej wioski, zamieszkaney przez rolników, a większej, jak się zdaje, od miasteczka Kawy. Przed tą wioską zarzuciliśmy tej nocy kotwicę. Wioska budzi się już do życia, mężczyźni czynią na brzegu rzeki ablucje poranne, kobiety przychodzą czerpać z niej wodę. Jeden z przewodników pochodzi z tego kraju, mieszka tu jego rodzina, a on ma tu swój dom. I rejs ma tutaj znajomych. Już ich znowu niema, poszli odwiedzić krewnych i towarzyszy, zakupić żywności dla siebie i dla mnie, a także poszukać wiklin, by z nich zbudować rodzaj altany, gdzie będę się chronił przed słońcem. Aż do południa pozostajemy tak przycumowani między dwiema wysepkami porośłemi gęstem sitowiem.

A potem ciężka nasza feluka płynie z wiatrem pod



prąd. Nil jest jak rzeka usiana bukietami zieleni: ruchome wysepki trzcin i kosze sitowia płyną to z prądem, to z wiatrem, a czasem stoją w miejscu, jakby były przytwierdzone do dna; inne rozbijają się na brzegach i utrudniają dostęp do nich, tworząc pozorne wybrzeże. Nil Biały jest jak zarośnięte trzcinami jezioro. Lasy, schodzące na sam brzeg, przegładają się w spokojnych jego wodach. Nagle wynurza się z rzeki czarny i lśniący pysk przed dziobem łodzi, sapie głośno i daje nurka wśród spienionych bałwanów, wyglądających się natychmiast pod naporem drzemiącej i ciężkiej powierzchni wód. Nieco dalej hipopotam ukazuje się ponownie, sapie znowu i znowu daje nurka, przestraszony okrzykami rejsa, obawiającego się, że olbrzymie zwierzę mogłoby na swym potężnym karku podnieść łódź i wywrócić. Nad pustką wód i sitowia panuje znowu niezamącony spokój. *Bahr el Abiad*,<sup>1</sup> usiany wyspami, ciągnie się jak niepokazna rzeka wśród trzcin i lasów. Z pośród sitowia wznosi się głos dzikich ptaków i kumkanie żab. Wielkie ptaki czarno-białe z czerwonymi pręgami na końcach skrzydeł przechadzają się, dumne ze swych pióropuszków. W pobliżu zapędzonych na przybrzeżne bagna trzcin słychać niekiedy podejrzany szelest wśród traw lub pluśnięcie jakiegoś ciała do wody, co wskazuje na ucieczkę krokodyli. Jak skromna rzeczka ciągnie się teraz *Bahr el Abiad* między Kordofanem i innym brzegiem, który już nie jest wybrzeżem Dżezireh, międzyrzecza dwóch Nilów, lecz brzegiem wyspy Abba, wzdłuż której popłyniemy cały przeszło dzień.

...Na wody ciemne jak noc olbrzymi księżyc zlewa

---

<sup>1</sup> Rzeka biała, arabska nazwa Nilu Białego.



9. El-Obeid. Kupcy syryjscy ze służącymi z Sudanu przed kramami.



10. Porośnięte sitowiem i papyrusami brzegi Nilu Białego.





11. Denkowie spotykani wzdłuż Nilu Białego,  
w pobliżu Mellut.



12. „Palabre“ u Szylluków (palabre = narady).

łagodne swe światło, a w kępach sitowia i trzciny fosforujące owady migają w ciemnościach swemi lampkami.

Popychana wiatrem feluka, a od zachodu słońca dął on z całą siłą, zarzuciła po północy kotwicę przed miastem Goz Abu Guma. O pierwszym brzasku doleciał mi głos muezina, głoszącego kłamstwo islamu rzece samotnej, milczącemu miastu, przejeżdżającej barce i błyszczącym jeszcze gwiazdom, a moi przewoźnicy, budząc się z ciężkiego snu, w który zapadli po wczorajszej libacji i pracy nocnej, nie odmówili i tego dnia modlitwy, jakby ją zapomnieli. Zeszli na ląd; czekam, aż powrócą z suku i zapewne z jakiejś znanej im chaty, w której można uraczyć się zakazanym napojem. Wracają wprawdzie do barki, lecz ruszają natychmiast po zapasy; marudzą przy tej sposobności niezgorzej i gdy się zdaje, że wszystko gotowe do odjazdu, okazuje się, że trzeba jeszcze poczekać, aż się chleb upiecze. Nareszcie, około południa, barka jedzie znowu w górę Nilu. Miasteczko Goz Abu Guma, mniejsze jeszcze i nędzniejsze niż Kawa, niknie i ginie za drzewami i trzciniami. Zwązająca rzekę wyspa kończy się. *Bahr el Abiad* rozlewa się szeroką, beżbarwną tonią, obramowaną na całym widnokręgu nieprzerwaną linią drzew i sitowia. Przy brzegach unoszą się na wodzie okrągłe liście i kwiaty lilij wodnych. Na pływających wysepkach kwitnie różowy powój. Pusta równina wód zamknięta jest zewsząd ciemnozielonym żywopłotem.

Wiatr chwyta nas z boku, pcha naprzelaj przez rzekę i rzuca na drugi brzeg, w gęstą ścianę wędrujących wysepek. Manewrujemy długi czas żerdzią, odczepiamy się



od tej ściany, zaplątujemy się w niej na nowo, i wreszcie udaje się nam pochwycić korzystny podmuch wiatru. Zużywamy jednak sześć godzin, by dotrzeć do miasteczka Abbasiah, które przy sprzyjającym wietrze odległe jest o godzinę od Goz Abu Guma. A ponieważ wiatr zupełnie ustał, trzeba tu przycumować.

Przed świtem zrywa się sprzyjający nam wiatr, więc ruszamy, lecz niebawem musimy zrezygnować z dalszej jazdy i zarzucić kotwicę, gdyż wiatr zaczyna znowu dąć ze wschodu. Nie chcąc, aby statek, jak w dniu ubiegłym, rzucony został na brzeg Baggara i zaplątał się w ruchome trawy, czekamy na zmianę wiatru nawprost osady, do której przybyło na lekkiej pirodze dwóch Szylluków w celach handlowych. Przystroili się, na modłę kraju arabskiego, po którym podróżują, w szarfę, lecz przywożą z sobą do kraju Dżezireh oryginalną swą fryzurę: włosy tworzą rodzaj grzebienia, jak na hełmach, lub kaptur o szerokich brzegach; na ramionach noszą druty miedziane i szerokie bransolety z kości słoniowej. Upolowali krokodyla i ćwiartują go, aby się pożywić jego mięsem. Muzułmanie z wioski spoglądają na tych pónagich pogan, nie ukrywając swej pogardy, bynajmniej nie mniejszej od tej, jaką zazwyczaj okazują „cywilizowani“ względem „dzikich“.

Zbliża się południe. Wiatr dmie z północy. Feluka płynie, wśród nieustannego bulgotu fal, po pustej rzece. Biegnie wprost na pływające na wodzie wysepki i szoruje o nie bokami. Wszystkie te kosze sitowia, jakby rozluźnione pracą wody, płyną z prądem lub pod prąd, zależnie od splątania korzeni. Pokładają się pod podmuchem wiatru, a fale rzeki znowu je podnoszą. Feluka

sunie raźnie po kosmatej piersi Nilu. Rzeka, ścieśniona przez wyspy, to znowu rozlana szeroko między brzegami, otoczona jest ze wszystkich stron zielenią i co chwila zmienia kształty, tak że wydaje się czasem częścią stawu, a czasem wielkiem jeziorem. Nigdy nie wydłuża się w wodny szlak; nigdy nie zdradza, kędy płynie; jest ruchomą równiną, usianą kępami trzcin, z granicą lasów, która ucieka stale przed nami, równie nieuchwytna, jak złuda mirażu.

Na tej ruchomej pustyni ukazuje się wąska piroga. Jedzie w niej czterech Szylluków. Odważni ci podróżnicy przyплыnęli aż tutaj, daleko od swego kraju, który my zapewne zobaczymy dopiero po sześciu lub ośmiu dniach. Jeden stoi na przedzie i pracuje długą żerdzią, drugi wylewa z barki wodę, dwaj inni zaś siedzą z tyłu i zanurzają w wodę z obu stron krótkie, podobne do łyżek wiosła. Pod włosami, uczesanemi w grzebień hełmu antycznego, rysują się zaokrąglone profile ich czaszek. Mijają nas szybko i zieleniejące sitowiem wody są znowu niewymownie puste. Kąpią się w nich wielkie, żółto kwitnące krzaki. Na ich gałęziach, tuż ponad wodą, mały krokodyl, który nie zdążył uciec, grzeje się w słońcu, jak wielka zielona jaszczurka — pierwszy to krokodyl, którego widzę od czasu, jak podróżuję po rojącej się od nich rzece.

Dalej nieco wielkie szcudłaki odpoczywają na giętkich lodygach sitowia. Stratowane trawy świadczą o przejściu hipopotamów. Jeden z nich wynurza na środku rzeki cały swój czarny pysk i głośno parska. Kaczki uciekają tuż ponad wodą. Gdy się zbliżamy, przerażone krokodyle dają szybko nurka... W tej pustce żyją rzeczy martwe — woda, wiatr, przestrzeń, a także rośliny



i zwierzęta...; ale straszna to pustka, gdyż brak tu człowieka.

Pod wieczór ukazują się na widnokręgu trzy góry Dżebelein. Cały nieboskłon opasany jest wstęgą koloru różowej masy perłowej. Chmury małych, czarnych ptaków uganiają się tak liczne, jak armja szarańczy. Obok nas, w pobliżu wysokich traw, kąpie się bez obawy hipopotam, parska, zanurza się, wypływa. Wiatr zamienił się w powiew, otoczona ciemną zielenią rzeka jest jak jezioro, które zasypia. Ponieważ księżyc jeszcze się nie ukazał, głęboka ciemność zalega w krótkim czasie spokojną powierzchnię wód i wybrzeża. Od czasu do czasu słychać głośny oddech i nurkowanie hipopotama. Fosforyzujące owady zapalają swe migotliwe światelka w gęstwinie traw. Bzykają bezustanku tysiące owadów. Moskity brzęczą dookoła nas...

Feluka parła naprzód przez część nocy, potem wiatr ustał i zostawił nas przy pustym brzegu. Przez całą noc słychać brzęczenie moskitów. Kilkakrotnie jednak przysłusza wszystkie odgłosy pustkowia nowy głos: ryk bawołu w pobliskim zagajniku. Słyszymy go jeszcze, gdy zaczyna świtać. Gdy się rozwidnia, odsłania się naszym oczom wybrzeże, pokryte nieprzebytym gąszczem krzewów. Możemy jednak wysiąść na ląd i zrobić kilka kroków na małym skrawku ziemi bez krzaków; rośnie na nim krótka i pożółkła trawa, miejscami przybita do ziemi, a więc tędy wiedzie ścieżka, którą w nocy zwierzęta schodzą pić do rzeki. Tego rodzaju ścieżyny znikają w nieprzebytych gąszczach, uniemożliwiających oddalenie się od Nilu. W powietrzu unosi się ostry zapach dzikich zwierząt. Nie widać ani jednej żywej istoty,

lecz słycać tysiące odgłosów pustkowie, pełnego ukrywających się stworzeń: szelesty traw, brzęczenie owadów, krzyki ptaków podobne do płaczu dziecięcego, ptaki, gruchające jak gołębie lub śpiewające jak nasze słowiki, gwizdzące jak nasze kosy, ćwierkające jak nasze wróble albo powtarzające swoje „ku!... ku!... ku!...” melancholijnie opadającą gamą. Na rzece migocą bladeżółte i brudnoróżowe refleksy. Kosze sitowia, unoszone przez fale, płyną wolno z prądem. Nad równiną wodną i niezglębionymi lasami wznoszą się w pobliżu góry Dzebelein.

Dopiero około ósmej zaczyna wiatr znowu pełnić swą służbę. Pędzi nas ku górom Dzebelein, po szlaku wodnym o wyraźnych granicach. Do obu brzegów przylega gruba warstwa wysokich traw, jakby łąka rzeczna, zniesiona prądem wzdłuż wysokich brzegów i porzucona u skraju lasu. Nil, zmuszony przez poprzeczną barjerę gór do nagłego zakrętu, wraca dopiero powyżej tego miejsca do pięknej linii swego biegu. Owe trzy góry, utworzone z wielkich, skalistych i nagich ścian, najeżonych ogromnymi głazami, dziwnie wyglądają w otoczeniu równin wodnych, trzcin i lasów. Ukazują się nagle, nic ich bowiem nie zapowiada, tak samo jak góry w dolnym biegu rzeki, zwiastujące bliskość katarakt. Jedne i drugie stanowią resztki naturalnych tam, przerwanych przez rzekę, ale tamy te zmusiły ją do obrania drogi okrężnej, w której można dopatrzeć się jakby uznania dla walecznej obrony. Poza niemi toczy się znowu Nil wśród prostych brzegów: wody jego, wolne od wysepek pływających, ciągną się szerokim i lśniącym pasmem; wysokie trawy na wybrzeżu wyglądają jak muława na kraju lasów. Nasuwa się myśl, że to jakiś



tajemniczy i ogromny park, poprzez który ciągnie się miękki dywan rzeki, droga wodna, prowadząca do czarowanego pałacu.

Wiatr dzisiaj leniuchuje jak nigdy! Zmuszeni jesteśmy czekać na jego kaprys, by zechciał nas poprowadzić dalej. Zabiera się późno do roboty i z taką nonszalancją, że nawet wody nie marszczy. Łódź sunie naprzód w tak powolnem tempie, że dekoracja brzegów zdaje się prawie nie ulegać zmianom. Ludzie moi są w rozpacz, gdyż trzeba im będzie długo poczekać na nowy zapas merysu! Dziś rano upływają dwa dni, jak widzieliśmy ostatnie osiedle, i ani nam myśleć o tem, żebyśmy przy tak nieprzyjaznym wietrze tej nocy dotarli do Renck. Nie na darmo jednak badają wybrzeża. Dostrzegają na zachodzie około tuzina chat słomianych. I zaraz mi mówią:

— Napewno będziesz tam mógł kupić świeżego mięsa.

Odpowiadam im na to:

— Jestem pewny czegoś wprost przeciwnego i przekonany, że wy tam znajdziecie merys.

Powołują się na swą wstrzemięźliwość, której w dalszym ciągu zaprzeczam.

Przybijamy do brzegu. Kilku Szylluków osiedliło się tu, na skraju arabskiego terytorjum Selimów, na gruncie niezupełnie jeszcze stałym, na którym prócz nich nikt inny nie mógłby zamieszkać. Jest to rodzaj wielkiej łąki nadrzecznej, której sporą część skosili na swe chaty słomiane. Wdali widać okrągłe czuby drzew krainy Selim. Czterech Szylluków przybyło co dopiero na wąskim czólnie i rusza natychmiast na północ. Kupiec arabski z Dueim sprzedaje sąsiednim Selimom cukler,

herbatę i materiały. Ludzie moi zniknęli w jednej z chat, gdzie sprzedają sfermentowaną durę.

...Podmuch wiatru posuwa nas bardzo wolno naprzód. Z poza gęstej ściany traw i lasu dochodzą nas przeciągle nawoływania i okrzyki pastuchów, pędzących swe stada do rzeki. Potem już tylko kumkanie żab mąci ciszę... Wjechaliśmy w trawy niedostępnego brzegu i czekamy napróżno na łaskę wiatru.

...W chwili gdy słońce, dotykając krańca ziemi, maluje purpurą niebo i wody, dzięki czemu lasy wydają się ciemniejsze, podnosi się nieuchwytny wietrzyk i nadyma żagiel. Rejs mówi:

— Chwała Bogu! będzie dobrze wiało przez całą noc.

Omylił się rejs. Tej nocy nie jechaliśmy ani długo, ani szybko, ani daleko. Łódź przyczepiona jest do wielkiej kępy traw, uniemożliwiającej dostęp do brzegu: Kilka godzin po wschodzie słońca wstaje wreszcie wiatr, marszczy lekko wodę i wiezie nas ku granicom czarnego kraju. Nil wciąż pusty, obramowany zielenią naniesionych traw, które nie pozwalają dobić do brzegu. W głębi widać okrągłe i gęste czuby drzew, skąd przylatują do nas wielkie, żarłoczne i natrętne muchy. Na wschodzie zaczyna się kraj murzynów Denka, drugi brzeg wciąż jeszcze należy do Arabów Baggara.

Lasy stopniowo znikają. Równiny pokryte trawami i krzewami dochodzą aż do Nilu. A Nil i jego brzegi z sitowia ciągną się w nieskończoność pod niezmierną otchłanią niebios. Piękny, jak senne jezioro, odbija w sobie pożar nieba pod zachód słońca, a potem usianą gwiazdami noc. Nieprzeniknioną ciszę mąci tylko sapanie hipopotamów, leżących w kryjówkach z sitowia lub ką-



piących się na głębi. Później w kraju Arabów rozpalają się wielkie ogniska. Od podpalonych przez nich traw bije olbrzymi refleks purpurowy; kolumny dymu, czarniejsze od nocy, odbijają, jak ekran, ognistą lunę, rzucając odblask perłowy na śpiące wody. W ciemnościach płoną spokojnie trzy piece, tuż nad ziemią, jak kratery odniedawna czynne, i roztaczają nad krajem mahdystów arabskich Baggara krwawe swe światło.

Stateczek szedł całą noc. O świcie zarzucamy kotwicę wśród sitowia: tak samo wyglądał Nil za czasów dawnych faraonów w Egipcie.

Wybrzeże jest pustynne i nagie. Widać tylko kilka kęp drzewa i pola pożółklej dury. Wielka feluka stoi na kotwicy. Rozglądając się uważnie, widzę, nieco w głąb lądu, śpiczaste dachy osady Renck. Jest to miejscina nędzniejsza jeszcze, niż Goz Abu Guma. Nieliczne składy suku są własnością przybyłych z Omdurmanu i El Dueim Arabów, handlujących z Fongami z wnętrza kraju i z mieszkającymi nad rzeką Denkami. Nawet kilku Szylluków, przybyłych z dalekiego swego kraju, włóczy się od jednego do drugiego kramiku dookoła kwadratowego placu. Od tego miejsca ciągną się cztery szeregi bardzo starych chat i trzy długie puste ulice, wychodzące na pola dury.

W chwili gdy ruszamy, zrywa się nad Nilem silna wichura. Przez kilka godzin spiętrza na rzece długie fale, idące pod prąd z białą pianą na grzywach. Feluka zatacza się, wspina się po czubach fal lub chyboce między jedną a drugą. Nawałnica przycicha wreszcie i znowu jedziemy powoli dalej.

Ta sama ciągle dekoracja: szeroka roztocz wodna,

na brzegach wysokie trawy, ściana drzew lub krzaków; niewiadomo, czy to zasłona tylko, czy też głęboki las, kraj zamieszkały, czy bezludny? Na brzegu Denka grupa opuszczonych chat; na brzegu Baggara kolumna dymu: sąsiednie równiny to tylko nam zdradziły ze swych tajemnic w ciągu tego popołudnia.

Pod zachód słońca wiatr ustał i łódź przywiązaliśmy do kępy trzcin. Trawy tworzą gęstą łąkę, z której wylatuje armja moskitów, roznosicielei malarji. Łąka zarasta Nil do tego stopnia, że pozostaje tylko kanał o prostych jak strzelił brzegach, którego gładkie wody, mieniące się różowym odbłaskiem różowej chmurki, przypominają sztuczny basen jakiegoś parku. Za trawnikiem, którego nikt nigdy nie kosił, wznosi się gruby mur wysokich drzew, owiany melancholją parku wersalskiego. Wydaje się, że już się widziało tę dekorację i że ta architektura z wody i drzew to ulubiona architektura króla Ludwika.

Upłynęła jeszcze jedna noc.

Rzeka posiada tu wspaniałą szerokość. W pewnej chwili, przed nowym zakrętem, rozlewa się tak szeroko, że płaszczyna wód, zlewająca się na widnokręgu z niebem, przybiera rozmiary wychodzącej na Ocean zatoki. Lecz niebawem, co za dziwny kaprys przyrody, rozległe łąki wysokich traw schodzą aż do środka Nilu i już, już jesteś pewny, iż zamkną drogę wodną, gdy ukazuje się wąski i krótki przesmyk. Przeplływamy go i roztocz wodna wraca do olbrzymich swych rozmiarów. Woddali wynurza się wzgórze, to Dżebel Ahmed Agha: płyniemy w jego kierunku całemi godzinami, wśród bezludnych zawsze brzegów. Jeżeli dwukrotnie ukazała się kolumna dymu



nad krajem Baggara, to kraina Denka nie uraczyła nas choćby widokiem opuszczonego osiedla. Były tu jednak podobno kilka lat temu wioski nadbrzeżne, których mieszkańcy musieli się wycofać do wnętrza kraju. Chaty, po których niema śladu, wznosiły się, być może, na spotykanych gdzieś niegdzie miejscach pozbawionych drzew, obok tych palm dum,<sup>1</sup> które stoją jeszcze w kilku szeregach nad samym brzegiem rzeki. Bawoły i słonie mogą teraz bez obawy gasić swe pragnienie na odludnym brzegu Nilu.

Po jeszcze jednej nocy.

Nieco dalej poza Dżebel Ahmed Agha wielkie wyspy dzielią rzekę na kilka ramion. Płyniemy rodzajem wąskiego, jak małeńka rzeczka, kanału. Od kilku godzin zdradzała kolumna dymu na jednej z wysp obecność wioski Szylluków, wysuniętej aż tu awangardy dalekiego ich kraju. Widzimy wprawdzie na wolnej przestrzeni, u skraju lasów, ich chaty z żółtej słomy, niepodobna jednak odkryć przejścia poprzez szeroki pas wysokich traw przybrzeżnych, któremby można dostać się na ląd. Dojście do osiedla znajduje się zapewne na drugiej odnodze rzeki, tam gdzie wyspa wydaje się niezamieszкана. Z tej strony, skąd widać osadę, dojście jest uniemożliwione przez rosnące w wodzie trawy; wąskie i lekkie pirogi krajowców mogą z łatwością pokonywać tę przeszkodę, a wąski kanał ułatwi im w razie ataku ucieczkę. Przemyślnie te sposoby, zmierzające do zapewnienia bezpieczeństwa, podyktowane są jeszcze wspomnieniami niedawnych czasów, kiedy to muzułmanie z Egiptu i Sudanu wysyłali do czarnego kraju wyprawę murzyńskie dla łowienia niewolników.

---

<sup>1</sup> Duma, rodzaj palmy rosnącej w Egipcie i w Arabji.

Przez cały poranek płyniemy wzdłuż wyspy Szylluków, poczem, na jej krańcu południowym, wpływamy na drugie ramię Nilu. W miejscu, gdzie łączą się ramiona, olbrzymie bagna, które rzeka w okresie wielkich wód zalewa zapewne w całości, odgradzają szerokim pasmem rzekę od ściany lasów. Gdy bagna się kończą, krzewy i drzewa dochodzą znowu do rzeki. Na widnokregu wznoszą się dymy, których, z powodu zakrętów Nilu, niepodobna umiejscowić ani na brzegu Szylluków, ani na brzegu Denka. Ale po kilku godzinach jazdy widzimy, że wznoszą się z kraju Denka, z poza skraju lasów, do których trzciny bronią dostępu. Nil zawraca teraz ku zachodowi, wskutek tego wiatr uderza na nas z boku i unieruchamia nas pod ścianą gęstych traw. Wielka bagnista łąka oddziela nas od gęstych drzew, wśród których ukryta jest może jaka wioska: kolumna dymu wznosi się ponad okrągłymi wierzchołkami, a niepodobna dotrzeć do niej poprzez płataninę trzciny, tworzącą grząski grunt, na którym krokodyle i hipopotamy znajdują bezpieczne schronienie. Ponieważ wiatr słabnie, trzeba statek popychać żerdzią aż do kolana rzeki, gdzie znowu można z korzyścią posługiwać się żaglem. Lecz wiatr słabnie jeszcze więcej. Na uspione wody schodzi noc. Czerwony odbłask wznieconych w lasach pożarów bije aż pod niebiosa i pochyla się nad zarumienioną rzeką. Na zachodnim brzegu jest tylko jedno ognisko, ale tak potężne, że duża połać równiny stoi jakby w płomieniach. Na przeciwległym brzegu doliczyć się można siedmiu do ośmiu tych ognisk, kilka w głębi łądu, inne na samym brzegu rzeki, naprzeciw nas. Zbliżamy się powoli do tego miejsca i przepłynąwszy Nil, widzimy tylko samotne płomienie, wzniecone przez nieznaną ręce, jak



wiją się kapryśnie przez wąską równinę i pożerają zeschłe trawy. Barjera wysokich sitowi zatrzymuje nas. Zarzucamy przy niej kotwicę na noc. Słysząc tylko bzycanie owadów i rodzaj szmeru metalicznego, dwa tylko tony powtarzające się bez końca, podobne do słabiutkich uderzeń o kowadło albo też do dźwięku, dobywanego przez dzieci z harmoniki; a także, od czasu do czasu, chrząkanie hipopotamów w trzinach lub w wodzie i nieustające ani na chwilę brzęczenie moskitów.

## 2. U Szylluków.

Nadedniem wstaje pomyślny wiatr i barka puszcza się w dalszą drogę. Ale natychmiast prawie rozkazują ją zatrzymać. W pewnym punkcie wybrzeża, gdzie z powodu braku trzin można przybić do lądu, grzeje się przy słabym ogniu około piętnastu Szylluków. Przyjmują nas gościnnie. Oni to dnia poprzedniego podpalili prerję, inni Szyllukowie wzniecali pożary w dalszych stronach, te, których ognie pędziły tańcząc po obu wybrzeżach. Murzyni, których spotkaliśmy, przybyli tu ze swych wiosek na polowanie i zabili wczoraj bawoła; poćwiartowali go, pokrajali mięso w wąskie paski i suszą je na gałęziach. Dwu myśliwych chwyta dziryty i oddala się o jakie sto kroków: stoją na czatach, wśród traw miejscami spalonych, gotowi do rzutu. Dzirity przesywają powietrze. Myśliwi przynoszą nam za chwilę dwie duże perlice.

Barka nasza rusza dalej. Około południa spostrzegamy pierwszą wioskę Szylluków, której okrągłe chaty słomiane stoją za szerokim, trzinami zarosłym błotem. Za nią, bardzo blisko, stoi druga, trzecia i dalsze jeszcze,

około dziesięciu, jedna tuż obok drugiej, i tak dalej, aż do wielkiej wsi Kaka, w której mieszka jeden z krajowych kacyków. Za tą wsią jeszcze kilka osiedli, bardzo blisko jedno od drugiego. Wszystkie zbudowane są zdala od rzeki, na wysokim brzegu, który panuje nad bagnami nadbrzeżnymi. Ziemia, na której stoją, pokryta jest spalonymi przez słońce trawami; las zniknął, zostały tylko odosobnione drzewa lub kępy drzew. Choć zaaklimatyzowani w kraju febry, Szyllukowie starają się w miarę sił o jego asenizację. Przez tę żółtą prerję wędrują za stadami kóz i baranów. Wśród trzcin, gdzie brzeg jest dostępny, stoją łodzie wąskie a długie, z powiązanych sznurami desek, których równowagę utrzymują jedynie siedzący nieruchomo na dnie ludzie i zręczni wiosłarze. Wiosłarze ci posługują się małymi wiosłami, które zanurzają naprzemian z lewej i prawej strony, jakgdyby czerpali łyżką wodę. Na brzegu suszy się kilka tratw, których murzyni używają dla przepławiania się na drugi brzeg Nilu. Jest to zwykły pęk sitowia, ściętego ztyłu pod kątem prostym, a z przodu połączonego w ten sposób, że tworzy wystający wgórę dziób. Wydaje mi się, że zmieści się na takiej tratwie najwyżej dwóch lub trzech ludzi. Na łakach nadbrzeżnych przechadzają się dostojnicy, przybrani w kawałek materiału przeciągniętego pod pachą i związanego na przeciwległym ramieniu; ubranie reszty składa się wyłącznie z naramienników z kości słoniowej lub plecionej trawy i cienkiego sznurka w pasie. Wyglądają jak szczudłaki rodzaju ludzkiego, gdyż są rośli, wąscy w ramionach, szczupli, kończyny mają cienkie, a nogi bardzo długie. Płaskie ich twarze i wystające policzki upodobniają ich do ras azjatyckich. Afrykanami zaś są dzięki czarnej barwie skóry i kędzie-



rzawym włosom. Włosy te są przedmiotem drobiazgowych starań, uczesanie bowiem, współ z rozmaitemi ozdobami, stanowi składową część ich ubrania. Gołą oni włosy lub strzygą bardzo krótko, wyjąwszy czubek i tył czaszki: włosy w tych miejscach, w miarę jak rosną, zaprawiają ziemią i tłuszczem i układają w ten sposób, aby tworzyły niejako brzegi okrągłego kapelusza; koło karku czepek ten nie ma formy kolistej, lecz wycięty jest w kształcie serca na kartach do gry; ponieważ włosy są zmierzwione i zmieszane z rozmaitemi substancjami, nabierają odcienia czerwonego i podobne są w wyglądzie i w dotyku do rodzaju filcu. Patrząc wprost na Szylluka, ma się wrażenie, iż nosi zarzucony na tył głowy kapelusz, otaczający czaszkę ciemnym nimbem. Tak przynajmniej przystraja głowę znakomita osoba. Niektórzy jednak układają włosiany filc tak, że tworzy jakby grzebień hełmu, który biegnie falistą linią przez całą głowę, zaczynając się na szczycie czoła, a kończąc na karku. Tak uczesany Szylluk nie może spać inaczej, jak kładąc szyję na specjalnej podpórce; w tym celu szuka w lesie gałęzi, z których wyrastają dwie gałązki, jedna obok drugiej, a nieco dalej trzecia jeszcze; z gałęzek tych pozostawia tyle tylko, ile potrzeba na przekształcenie ich w trójnóg, któryby, gdy kark opiera na gałęzi poprzecznej, kunsztowne uczesanie utrzymywał w wystarczającej od ziemi odległości. W tak zbudowaną fryzurę zatyka Szylluk niekiedy kilka długich piór, a na czaszce kładzie obręcz z metalu lub szkielek, idącą od ucha do ucha i stanowiącą jakby podstawę dla wysokiej kryzy włosów z pióropuszem. Na szyi nosi kilka różnej wielkości naszyjników, skręconych z włosów żyrafy, z nanizaną na nie kulką szklaną. Powyżej łokcia umieszcza

jeden albo kilka naramienników ze sznurka, szeroką bransoletę z kości słoniowej lub też kawałek skóry, której jeden koniec, porośnięty włosami i wycięty w kształcie ucha, powiewa swobodnie; na przegubie bransoletę z pięciu lub sześciu nałożonych jeden na drugim drutów miedzianych, albo, jeśli to biedak, bransoletę ze szkiełek, a nawet ze zwyczajnych sznurków; w pasie jeden lub kilka sznurów szklanych paciorków. Wielu z nich ozdabia uszy kolczykami. Każdy dzierży w ręku jedną lub kilka włóczni albo dzirytów, a co najmniej pałkę lub oszczep z drewna stwardniałego, z rękonością ozdobioną obrączką skórzaną z uszkami.

...Wiatr spycha nas poza okolicę wioski. Brzegi są znowu zalesione, pokryte trawą i bezлюдne. Przez chwilę widać samotną, dużą wieś. Słońce rumieni rzekę ostatnimi błyskami i zapada noc.

Nazajutrz.

Biały Nil zatacza tutaj pętlę, przez którą niełatwo przedostać się żaglowym łodziom. O tej porze roku wiatr dmie wyłącznie z północy, bieg rzeki zaś kieruje się wprost na zachód, aż do Melyt, żeby potem zwrócić się znowu ku południu. Umiarkowany wiatr pozwala nam przez godzinę posuwać się naprzód, wzdłuż pustego, złożącego się zeschłymi trawami wybrzeża, na którym, tuż przy wodzie, pasie się spokojnie kilka antylop, nieprzestraszonych bynajmniej naszym widokiem. Następnie jednak wiatr zaczyna dąć z wielką siłą, gna nas na ruchome trawy łąk wodnych przeciwległego brzegu i unieruchamia nas aż do schyłku dnia. Korzystając z nastającej wtedy ciszy, możemy, posługując się żerdzią, dojechać do Melyt, pobliskiego ośrodka administracyjnego. Śli-



zgamy się powoli po martwych wodach, w których obraz nieba odbija się tak wiernie z odcieniami wszystkich tonów, łączących nieznacznie róż zachodu z błękitem nocy, że powiedziałbyś, iż rzeka i niebo są jedną i tą samą przestrzenią, gdyby nie oddzielała ich cieniutka linja zielonego brzegu. Ale ta linja sitowia jest tak wąska i tak długa, nad nią zaś ciągnie się delikatniejsza jeszcze smuga gubiącej się perspektywicznie równiny żółtych traw, że nie oddzielają już nieba i wody, lecz łączą je, tak jak zwora łączy dwie skorupy jednej muszli.

Dzień później.

Melyt jest dużą wsią, w której kilka szeregów chat stoi za dwoma niedużymi budynkami z cegły: siedzibą administratora angielskiego i pocztą. Ludność nie składa się ani z Szylluków, ani z Denków: stanowią ją nieliczni czarni żołnierze, kilku kupców arabskich i pewna ilość murzynów, przybranych dziwacznie w znoszone uniformy urzędnicze lub żołnierskie.

Ruszamy dalej, holowani mozolnie zapomocą liny, pod wiatr, wzdłuż pustego brzegu, usiłując dotrzeć do niedalekiego kolana rzeki, zmieniającego ponownie kierunku Nilu Białego na południowy, co pozwoli nam korzystać z żagla. Po półgodzinnej mitrędze, kilkaset kroków zaledwie od zakrętu rzeki, nie możemy już z powodu traw holować barki, a przeciwny nam wiatr, wstający każdego rana, by się uspokoić ku wieczorowi, zmusza nas do trwania na miejscu w oczekiwaniu zachodu słońca. Czyż strawimy aż dwa dni na pokonanie odległości, wymagającej właściwie dwóch godzin?...

Złożyło się jednak tak szczęśliwie, że na długo przed zachodem oswoodziła nas zupełna cisza! Przeplłynęliśmy

przez zakręt!... Na brzegu, zakreślającym długi, wypukły łuk, widać kilka wiosek. Strzechy ich skupiają się na żółtej, okolonej pięknym lasem prerji. Rozległe jednak bagna, przystrojone gęstem sitowiem, oddzielają wioski od rzeki i nie widać żadnego przejścia. Wybrzeże staje się następnie znowu bezludne: z jednej strony ciągną się błota kraju Szylluków, w których żaby koncertują bez przerwy, z drugiej zaś lasy kraju Denka, z których wznoszą się krzyki ptaków.

Wdrapałem się na połowę wysokości masztu, na szczyt mego słomianego schronu, i przez cały ranek patrzę na przesuujące się jedna za drugą wioski Szylluków. Są one jednak bardzo daleko, na granicy prerji i ciemnych lasów, oddzielonych od Nilu nieprzebytymi moczarami kilometrowej niemal szerokości. Na pewno są tu jakieś ukryte drogi, nic jednak nie zdradza ich obecności. Z bezludnego wybrzeża Denków, na którym znikły teraz lasy i nic już nie widać prócz nieskończonej równiny rudych traw, wzrok mój co chwila wraca na wybrzeże Szylluków i bada je daremnie.

W pewnej chwili, na rodzaju cypla stałej ziemi porośłego krzakami, spostrzegamy kilka strzech, przybijamy więc do brzegu: są to jednak tylko czasowe schroniska, sporządzone naprędce przez krajowców, którzy tam założyli przystań rybacką; kilka ścieżek wiję się jakiś czas nad rzeką, żadna z nich jednak nie prowadzi ku lądowi poprzez mur trzciny tak gęsty, że wysiłek przełamania go skazany jest z góry na niepowodzenie. Wsiadamy zatem z powrotem na łódź i korzystając z gwałtownego wiatru, płyniemy szybko ku południowi.

Stojąc na schronie, obserwuję wybrzeże. Wioski i za-



gajniki zbliżają się do rzeki. Pożółkle sitowie wskazuje na ustalanie się łąk rzecznych, podchodzi ono teraz aż do Nilu, połamane miejscami i stratowane nogami zwierząt i ludzi. Naraz z pośród tych żółkłych sitowi ukazuje się Szylluk, potem dwóch, wreszcie czterech. Od grząskiego brzegu, przy którym płyniemy, oddziela ich laguna. Ale pas podeschnięty, na którym stoją, dochodzi zukosa aż do rzeki, tam gdzie zauważyłem uprzednio obszar stratowanych traw. Na pewno jest tam droga. Wołamy ich. Wchodzą na małe wzniesienie i, stojąc na jednej nodze, przyglądają się nam. Z wielkim trudem, posuwając się pod wiatr zapomocą żerdzi i chwytając się sitowia, dojeżdżamy zpowrotem na miejsce, gdzie przypuszczalna droga powinna się kończyć. Wsiadam a ze mną dwóch ludzi z załogi. Przed nami otwiera się w gęstej i wysokiej ścianie pożółkłych trzcin wąska ścieżka, którą akurat można przejść. Miejscami ziemia jest rozmiękła, to znowu drożynę przecina jakby strumyk, pozbawiony jednak bieżącej wody; zapadamy po kostki w czarnem błocie i aż po kolana w stojącej wodzie. Kilkakrotnie przechodzimy przez miejsca niezarośnięte, kształtu kolistego, z wysokim w środku kopcem, z którego można obserwować i orjentować się; są to jakby drogi rozstajne z biegnącymi w różnych kierunkach ścieżkami. Niektóre z nich to ścieżki hipopotamów, których ślady rozpoznać można na gołej ziemi, inne są wydeptane przez Szylluków, jak o tem świadczą odbicia ich stóp; są ścieżki prowadzące do wiosek, ale są i takie, które giną w gąszczu traw lub schodzą do głębokich, napelnionych wodą legowisk krokodyli.

Mijamy kilka takich rozdroży, odnajdujemy ścieżkę, którą szli zauważeni przez nas Szyllukowie, ale Szyllu-

kowie znikli. Ścieżka kończy się nad głęboką rozpadliną, biegnącą równolegle do rzeki i napelnioną jej wodami. Ze szczytu jednego z kopców widzimy, że w pewnej odległości biegnie druga, podobna rozpadlina. Byłoby rzeczą niebezpieczną chcieć przeprować się bez łodzi przez te wąwozy, w których za dnia ukrywają się hipopotamy. Owi czterej Szyllukowie przepłynęli te laguny lub sunęli wzdłuż nich na swych leciutkich trzciniowych łódkach, a potem nieśli je na głowach po wąskich ścieżkach, zagubionych w gąszczach sitowia. Jeden z moich ludzi opowiada: Za czasów Mahdiego i Kalifa, jego następcy, gdy derwisze pustoszyli ich wioski, wszyscy Szyllukowie uciekali w te ogromne stepy i nie można ich było w tych kryjówkach dosięgnąć.

Jesteśmy zmuszeni do odwrotu; rozglądamy się od czasu do czasu ze szczytu jakiegoś kopca, aby nie zabłąkać się w tym labiryncie ścieżek; mimo to kilka razy zapuściliśmy się w fałszywym kierunku... Rozpinamy żagle.

Spędziliśmy noc pod wystającym z wody brzegiem. Za tym wąskim paskiem stałego gruntu rozpościerają się zielone łąki aż do wyżyny, na której wznoszą się wioski. Naliczyłem ich cały tuzin, a stoją tak blisko siebie, że się prawie stykają. Trzęsawisko wydaje mi się nie tak szerokie jak w ubiegłych dniach; trawa na niem jest niewysoka, jakgdyby na dnie mało było wody lub tylko ziemia bagnista. Próbujemy się przez nie przeprowić, lecz przy pierwszych krokach poza pasem ziemi stałej zapadamy po kolana, potem aż po pas, a ponieważ jest coraz głębiej i niema nawet śladu wydeptanej ścieżki, co gorsza, zauważamy kilka okrągławych miejsc,



gdzie, układając się do snu, hipopotam przygniół trawę, sądzimy, że pewnie będzie zawrócić.

Ujechaliśmy kawałek i stwierdzamy, że bagnista łąka zwęży się w dalszym ciągu. Ale ponowna próba nie jest szczęśliwsza: wąska i głęboka laguna — arabska jej nazwa brzmi *chor* — pełna trzciny, ciągnie się równolegle do rzeki.

Jadąc w dalszym ciągu wzdłuż brzegów Nilu, gdy mijamy mały cypel, zaskakujemy Szylluka, który siedzi między dwiema kępkami sitowia i przygląda się bacznie grubemu, zanurzonemu w wodzie sznurowi; sznur ten, jak mnie zapewnili moi Arabowie, zakończony jest mocnym haczykiem z przynętą na małego krokodyla. Murzyn zdradza chęć ucieczki. Rejs zapewnia go, że nic mu nie grozi. Barka przybija do brzegu i wysiadamy obok Szylluka. Ponieważ nie ma z sobą pirogi, przybył z pewnością z wioski przez błota: musi tu być zatem jakaś ścieżka. Obiecujemy mu nagrodę pieniężną, jeżeli nas poprowadzi do swego osiedla. Zapewnia nas, że nie narażamy się na spotkanie krokodyla ani hipopotama, i godzi się zaprowadzić nas za pięć piastrów<sup>1</sup> do swego domu, a potem zpowrotem do łodzi. Chce jednak zobaczyć pieniądze. Podaję mu je: dotyka ich, przygląda im się, a potem oddaje. Umawiamy się, że zapłacę, gdy zajdziemy do jego domu. Jeden z moich ludzi pozostaje na feluce jako straż, dwaj inni towarzyszą mi. Szylluk wkracza pierwszy na wąską ścieżkę, wydeptaną wśród wysokich traw wodnych i wychodzącą wprost na rzekę, a gdzie woda sięga nam po pas. Ja idę zaraz za naszym przewodnikiem, który pilnie zważa na to, by odchyłać przede mną sitowie. Po dwóch czy czterech zakrętach ścieżka

<sup>1</sup> Około 1,25 fr.

wodna kończy się w *chorze*, gdzie zapadamy po pachy. Bardzo słaby prąd ożywia wodę; dla zatrzymania przepływających ryb stoją w niej dwie silnie wyprężone sieci — dziś rano właśnie Szylluk chodził je oglądać. Za *khorem* prowadzi znowu wąska ścieżka pośród traw. Woda sięga nam to po kostki, to po kolana; nogi ślizgają się po błotnistym dnie; czasami zaplątujemy się w leżące na ziemi a smagające nas po nogach trawy; zamacamy wodę, na której powierzchni kwitną szerokie kwiaty lilij wodnych. Z trudem tylko nadążam za Szyllukiem, który na swych szcudłowatych nogach posuwa się naprzód równie łatwo jak po stałym łądzie, a czasem nawet biegnie. Ale gdy zauważa, że pozostajemy w tyle, zatrzymuje się i czeka, odgarniając trawy i trzciny, któreby mi mogły przeszkadzać, a które, mimo że to przecie ścieżka uczęszczana, często nam zawadzają. Potem w samym środku bagna domaga się swych pieniędzy. Otrzymawszy je, liczy je raz i drugi, przygląda im się, każe powtórzyć moim ludziom, którym widać szczególnie nie ufa, że otrzyma je w nagrodę za swe trudy, i wówczas, uspokoiwszy się, zwraca mi monety. Posuwamy się dalej z trudem. Przeprowadzamy się przez drugi *chor*. Za nim ścieżka staje się wygodniejsza; trawa jest niższa, a woda sięga tylko do kostek. Wreszcie, po godzinnych prawie wysiłkach, docieramy do linii drzew na stałym łądzie.

Pod pierwszym zaraz drzewem Szylluk zdejmuje zwiniętą na piersi szmatę wełnianą, siada na ziemi, zaprasza nas, abyśmy również usiedli, i prosi o swe pieniądze. Tym razem bierze i nie oddaje ich już, lecz zawija je w supełek swej draperji. A potem domaga się więcej pieniędzy. Protestujemy głośno:



— Otrzymałeś umówioną zapłatę! Zobowiązałeś się zaprowadzić nas do swego domu i odprowadzić na statki!

Szylluk jednak skarży się ostrym, płaczliwym głosem, dając wyraz swemu rozczarowaniu, i ani myśli ustąpić. Powtarza z dziecięcym uporem:

— *Grusz! Grusz!* piastrów! piastrów!

Unika naszych spojrzeń; z małych jego, ruchliwych oczu, w których zapalają się krótkie błyski, wзира podstęp i obłuda. Traktujemy go jak dziecko:

— No, idziemy! powinieneś być zadowolony! Nie odbywasz przecież codziennie przechadzki za tak świetną zapłatę!... Chodźże już! jesteś naszym przyjacielem i nie jesteś chyba zmęczony! Czemu się nie ruszasz?...

Klepię go po przyjacielsku po ramieniu. Biorę go za rękę i ciągnę: wstaje. Jest o wiele od nas wyższy. W jednej ręce trzyma swój zębaty dzirynt i oszczep. Trzymam go za drugą rękę, pociągam i prowadzę. Idzie za mną, krzywiąc się, przystaje, znowu robi kilka kroków, wydając ciche okrzyki odmowy i sprzeciwu i mamrocząc:

— *Grusz! Grusz!* Ale ja chcę piastrów!

Przekonawszy się wkońcu, że ich nie dostanie, rusza zrezygnowany naprzód.

Ścieżka prowadzi przez wielki las. Kilka kobiet, ubranych w skóry zwierzęce przewieszane przez ramię, schodzi do mokradła, z glinianem naczyniem na głowie, aby zaczerpnąć wody. Zobaczywszy nas, zbaczają na okrężną drogę. Wyszedszy z lasu, wchodzimy na uwieńczone wioskami zbocze, pokryte zeschlą i żółkłą od słońca trawą. Ziemia, naniesiona przez wodę, jest tłusta, czarna i urodzajna, lecz po ostatnich deszczach letnich już skruszała i popękała wskutek suszy i palących promieni

słońca. Na polach dury, leżących w pobliżu wiosek, została tylko nie nadająca się do żadnego użytku słoma.

Osada naszego przewodnika składa się z bardzo małej liczby domostw, ustawionych w kształcie koła. Każde z nich składa się z dwóch chat, połączonych płotem z sitowia, z małym podwórzem pośrodku. W jednej z chat znajduje się kuchnia, druga jest domem mieszkalnym. Panuje w niej drobiazgowy porządek i niemiejsza czystość. Jest wysoka i przestronna. Na okrągłym murze z gliny wznosi się na wysokości człowieka stożkowaty dach z sitowia, które od wewnątrz spojone jest licznymi obręczami z trzciny. Podłoga i ściany pokryte są delikatną gliną. Jedyne otworem są owalne, wąskie i niskie drzwi, przez które niepodobna przejść inaczej, jak zginając się w pałąk i kurcząc się. Na otwór ten zapuszcza się matę z bardzo cienkiej słomy, jakby storę, dzięki czemu można go dowoli zamykać, częściowo lub w całości. W mieszkaniu panuje cisza, cień i chłód. Skóra krowia rozciągnięta na podłodze służy jako łóżko. Siada się na skórze koziej lub wiązkach trzciny. Szyllukowie żują tytoń, to też obok gości widać łupinę kawonu, pełniącą rolę spluwaczki. Wzdłuż ściany stoją w szeregu naczynia gliniane z merysem i wysokie, brzuchate kosze z durą. Na sznurze rozwieszono są ubrania: skóry zwierząt domowych lub dzikich, w które przystrajają się niewiasty, materjały wełniane, któremi drapują się niekiedy mężczyźni. U nasady dachu tkwią w sitowiu naszyjniki i inne ozdoby, kłosy dury, wiązki grochu w strączkach i nawleczone na sznurek paski suszonego mięsa.

Przybywa do naszego gospodarza podczas naszego pobytu kilku sąsiadów, przybranych jedynie we fryzurę, naszyjniki i naramienniki, pozdrawiają nas, na sposób



arabski, słowami: „*Salamaleik! Taijibin?*“, wznosząc ku nam, zgodnie ze zwyczajem krajowym, dłoń. Ciekawość nasza bawi ich. Jednocześnie przyglądają nam się uważnie i zamieniają swe uwagi w języku głuchym, seplenając i bełkocąc, gdyż zęby sieczne dolnej szczęki mają powyrywane. Często gęsto dobywają z wiszącej na szyi gruszczeni szczypkę tabaki i zażywają jej. Kobiety i dzieci, zwabione tak rzadką obecnością przybyszów z obcych stron, gromadzą się na podwórzu i przyglądają się gościom przez małe owalne drzwi. Kobiety strzygą włosy przy skórze i niewiele noszą ozdób, o ile mają wogóle jakiegokolwiek. Tak jak mężczyźni palą potężne fajki, których palenisko jest z czerwonej gliny, cybuch z trzciny lub wydrążonej łądygi, ustnik zaś z łupiny jakiegoś owocu.

Ponieważ wioski oddalone są od siebie o kilkaset kroków, mogę ich z łatwością zwiedzić kilka. Kilku Szyluków z pierwszej osady towarzyszy mi do drugiej. Przystrajają się w tym celu w kawałek czerwonej materji, przechodzącej pod jednym ramieniem, a związanej na przeciwległym, i ubrają w jeden lub dwa oszczepy lub dziuryty i w pałkę. Wszędzie przyjmują nas równie gościnnie. Zapraszają, żebyśmy zajęli miejsce w kole siedzących mężczyzn, w cieniu drzewa lub mieszkania. Spora ilość tych murzynów mówi trochę po arabsku. Pytają, skąd przybywamy i z jakiego powodu. Odpowiadam, że z ciekawości. I powód ten, który żadnego muzułmanina nigdy nie zadowoli, im wystarczy! Wszyscy oświadczają mi, że powinienem pozbyć się brody, że to bardzo brzydki zwyczaj, i że oni bardzo starannie usuwają swój zarost.

Gdy wkraczamy do wioski, jest ona prawie zawsze

pusta: zwiedzamy ją w najupalniejszych godzinach, kiedy krajowcy kryją się w cieniu swych domów. Lecz prawie natychmiast ktoś z nich zauważa nas i zbliża się, po nim drugi, a wreszcie inni jeszcze. Żonaci wychodzą ze swych domów, kawalerzy z chaty czarownika, stojącej w środku wioski. U jej drzwi, obok dwóch wysokich i suchych gałęzi, na których wiszą fetysze, tkwią w ziemi ich dzidy. Podłoga tej chaty pokryta jest grubą warstwą popiołu z kału krowiego, którym przed wyjściem nacierają starannie twarz i całe ciało. Poza tem ozdabiają niekiedy twarz szerokimi kresami zapomocą czerwonej substancji: malują kreskę poziomą na policzkach i trzy kreski pionowe na czole, tak jak indyjscy uczniowie Sziwy.

Wracamy na statek w towarzystwie naszego przewodnika i sześciu innych Szylluków. Wybiegają oni poza ścieżkę wodną, między bujne trawy, mierząc dzirydami w siedliska krokodyli. Zapraszamy ich na naszą felukę i ugaszczamy herbatą. Po ich odejściu rozpinamy żagle, lecz wkrótce po wyjeździe wiosłarze stwierdzają, że ukradziono im siekiere.

Po dwóch godzinach jazdy wydaje nam się, że bagno jest jeszcze węższe i dostępniejsze. Nietrudno z pewnością będzie dostać się do wiosek, których cały szereg ukazuje się na wysokim gruncie prawdziwego wybrzeża, wśród żółtych traw, gdyż dwóch Szylluków stoi nad brzegiem rzeki i łowi ryby. Potwierdzają nam istnienie wygodnej ścieżki. Arabowie moi chcieliby odzyskać siekiere, więc jutro wybierzemy się na górę.

Rankiem rejs, jeden z mych ludzi i ja wychodzimy na ląd. Do pierwszej wioski docieramy w pół godziny,



przeprawiwszy się przez dwa *khory*, gdzie woda sięga nam zaledwie do kolan: wioski, któreśmy wczoraj zwiedzali, oddalone są niewięcej jak o godzinę drogi. Idziemy do nich. Gdy przybywamy do mieszkania naszego przewodnika, kobiety powiadają nam, że wyszedł. Siadamy w cieniu ściany. Nadchodzi kilku sąsiadów. Skarżymy się na kradzież siekiery. Idą po naszych wczorajszych towarzyszy, którzy na wiadomość o kradzieży udają głębokie zdziwienie. Nadchodzi niebawem nasz przewodnik: i on o niczem nie wie. Otaczają nas coraz to nowi krajowcy, kobiety i dzieci. Za każdym razem trzeba powtarzać opowiadanie o kradzieży, ku wielkiej ich radości. Po długiej naradzie jeden ze starców przestaje palić długą i ciężką fajkę. Z chwilą gdy podniósł głos, uczyniła się zupełna cisza. Mówi głośno i twardo. Jeden z Szylluków, którzy nam towarzyszyli do łodzi, siada wtedy przed nim i tonem pełnym szacunku tłumaczy mu, że ani on, ani tych sześciu innych nie wiedzą nic o rzeczonyj kradzieży. Starzec, dufny w autorytet nadany mu wiekiem, zbiera ową siódmkę na uboczu i wypytuje ich. Po długiej konferencji oświadcza nam, że nie mógł odkryć winnego: żaden z nich nie widział naszej siekiery. „Palabry“<sup>1</sup> trwały cztery godziny.

Faszoda.

Wczoraj wieczorem barka nasza podpłynęła pod Faszodę. Dzisiaj, wczesnym rankiem, dojeżdżamy do niej.

Z całego widnokregu znikły lasy. Wokoło nas olbrzymia równina, wznosząca się ponad Nilem na grubość stepów i bagien. Trawa zielona oznacza mokradła, żółta

---

<sup>1</sup> Palabry = narady, rozmowy.

zaś świadczy o tem, że grunt nabrał stałości. Niema niczego w pobliżu i woddali, coby nie było żółte czy zielone, lub też zmiennego koloru wód. Kilka kęp drzew, zębata linja śpiczastych dachów wiosek, niebo rozpalone: oto wszystko.

Faszoda, która oficjalnie nazywa się dzisiaj Kodok, zgodnie z dawną miejscową nazwą, jest stolicą kraju Szylluków i leży w jego środku. Rezyduje tu król Szylluków. Wzdłuż rzeki ciągną się budynki angielskie i chaty czarnych żołnierzy, a dalej, oddzielone wolną przestrzenią, miasto krajowców. Naprzód suk, gdzie są kramy Arabów i dwóch czy trzech chrześcijan; potem chaty, zamieszkałe przez Szylluków, murzynów mahometan i nielicznych Baggara, stoją w pięknym ordynku z obu stron szerokich, równoległych do rzeki ulic.

Za miastem ciągnie się żółta równina aż do bardzo dalekiej linji lasów. Przed miastem rzeka z wyspami trzcin, a na jej drugim brzegu bezbrzeżna równina, której nagość okrywa nieduża ilość krzaków.

I nic nie przypomina nazwiska Marchand'a,<sup>1</sup> ani też tego, że dzięki niemu kraj ten należał czas jakiś do Francji.

W dniu wczorajszym przygotowano na łodzi wszystko do drogi powrotnej; zwinięto żagiel i usunięto maszt; na pokładzie sterczy teraz samotny schron ze słomy, w kształcie altany. Idzie o to, ażeby wiatr, który przez całą zimę dmie z północy, napotykał na jak najmniej opór. Po nastaniu nocy i uciszeniu się wiatru feluka popłynęła z prądem. Przybyliśmy, walcząc z prądem,

---

<sup>1</sup> Oficer i eksplorator francuski -- przebył Afrykę z Sudanu do Etopji. *Przyp. tłum.*



ale popychani wiatrem; wracamy pod wiatr, ale nie-sieni prądem. Ponieważ wiatru niema zupełnie, zanosła nas rzeka odrazu spory kawał drogi, gdyż o świcie zbliżamy się do bagna, z którego czterej Szyllukowie, zdjęci strachem na widok naszych turbanów, uciekli, a przez które daremnie próbowaliśmy się wówczas przedostać. Gdy następnie wstaje lekki wiatr północny, jazda nasza idzie szybko, a gdy około godziny dziewiątej wiatr zaczyna dąć z całej siły, przestajemy posuwać się naprzód. Łódź stoi na miejscu, zwrócona bokiem do długich, poprzecznych fal, wznoszonych i rzucanych na nas przez wiatr. Widząc jednak, że wysepki sitowia płyną w dalszym ciągu wdół rzeki, każę felukę przymocować do jednej z nich. Ta masa sitowia, którego splecione korzenie oblepione są wielkimi bryłami ziemi, jest mniej więcej trzy razy tak wielka jak nasza łódź. Zwalniamy jej jazdę, lecz dzięki niej płyniemy jednak wdół rzeki, a ponieważ wytrzymuje pierwsze uderzenia fal, łagodzi znacznie, a nawet usuwa zupełnie nieprzyjemne kołysanie, którego byliśmy ofiarą.

Przed nami przesuwiają się znane już brzegi: równina bezludna i lasy kraju Denka, na przeciwległym zaś brzegu, bez końca, błota krainy Szylluków, z daleką linią lasów i żółtych traw, gdzie stoją jedna obok drugiej nieprzystępne wioski.

Nasz holownik wyświadcza nam inną jeszcze przysługę; jest to pływający ogród, połączony z domem pływającym, to też, od czasu do czasu, robię na nim małą przechadzkę. Niebawem jednak muszę wyrzec się tej przyjemności. Pod wieczór ogród holownik zdradza objawy lenistwa: płynie, czepiając się trzcin brzegu Denków, i manifestuje tak wyraźnie zamiar zatrzymania

się przy nich, że, korzystając z ustania wiatru, odłączamy się od wytworzonego wsteczника i powierzamy łódź naszą praktycznemu prądowi.

Dziś rano jest zupełnie cicho. Rzekę, podobną przed chwilą do masy nieruchomej rtęci, rozpala słońce wschodzące barwami zorzy wieczornej. Po chwili staje się Nil gigantyczną rzeką białego metalu, niosącą ku północy samotną barkę i kosze trzcin. Poranek jest tak spokojny jak schyłek dnia, a tak gorący jak najupalniejsze popołudnie, więc hipopotamy kąpią się hałaśliwie, jak to zwykły czynić, gdy już rzeka pod wieczór zasypia; dziś zabawiają się w wodzie, choć to poranek, gdyż rzeka jeszcze się nie obudziła. Na stepach Denków drzemiące blisko rzeki stado antylop, zaniepokojone naszymi głosami, ucieka w ogromnych susach. Na samym brzegu marzy wielki szczudłak, stojąc nieruchomo na korzeniach sitowia...

Mijamy Melut. Wiatr dmie łagodnie z północy i rzuca nas na bagna. By opłynąć zakręt, ludzie moi posługują się olbrzymimi wiosłami, umieszczonemi na rusztowaniu w kształcie trapezu, wystającym blisko dwa metry poza krawędzie łodzi. W ten sposób pozostajemy w prądzie. W nocy zatrzymujemy się w takim miejscu wybrzeża w okręgu Kaka, gdzie już można lądować.

☞ Dziś rano schodzę na ląd. Po godzinnym marszu w kierunku południowym jestem już poza ostatnią wioską okręgu Kaka. Po drugiej godzinie marszu docieram do pierwszej wioski w okolicy Melut. Bydło, wypuszczone z dużych szałasów-schronów, przywiązują do wbitych w ziemię pali. Dziecko jakieś doi krowę; mleka



daje ona niewiele, bo zwierząt nie karmi się należycie. Inni dzieciuch myje sobie ręce w jej urynie. Potem pasterze odwiązują krowy i pędzą je na żółty step lub do wodopoju; dzieci zbierają starannie nawóz i rozkładają go na słońcu, żeby wysechł przed spalaniem go; popiół dostarczy maści na ciało i włosy.

Mężczyźni darzą mnie gościna. Siadamy na ziemi w cieniu domu. Dołącza się do nas kilku młodzieńców. Włosy ich, przykrótkie jeszcze, zwinięte są w masę gałek, czerwonych od gliny i świecących od tłuszczu; kilku z nich podzieliło dłuższe swe włosy na kosmyki, opadające ze wszystkich stron, przyprawiwszy je w spodobny sposób; reszta nosi już na głowie kaptur z włosów, umieszczony zupełnie na tyle głowy i otaczający twarze ciemną aureolą. Wszyscy niemal, dzięki wydłużonym, płytko osadzonym oczom, wystającym kościom policzkowym i grubym wargom, przypominają Azjatów. Nie brak jednakże i takich, których twarz owalna, prosty nos, zgrabnie sklepione czoło, rysy delikatne i regularne mogłyby obudzić zazdrość w niejednym Europejczyku. Inni znowu zbliżeni są do typu murzyńskiego. Dwóch Szylluków prosi mię, abym zwiedził ich dom i napił się merysu.

Wracając, przechodzę przez różne wioski. Mężczyźni są zwykle zebrani w cieniu drzew. Robią koszyki lub pałą, zabawiając się rozmową. Jeden z nich, uzbrojony w dzidę i tarczę, raczy mię widokiem tańca wojennego. Nieco dalej spotykam dwóch Szylluków, którzy, opuściwszy we wczesnej młodości swój kraj, by służyć w armji anglo-egipskiej, przeszli na mahometanizm i wytrwali w nim. Syn naczelnika sąsiedniej wioski został porwany jako małe dziecko przez mahdystów, uprowadzony do

Omdurmanu i wychowany w islamie, któremu pozostał wierny. Jest to dziś młodzieniec liczący około osiemnastu lat, bardzo przywiązany do wiary w Boga, w proroka Mahometa i w karę ognia wiecznego dla wszystkich niewiernych.

Są zatem wypadki przenikania islamu do szczepu Szylluków, doniedawna odpornych na jego propagandę: tych kilku nawróconych może go przygotować do przyjęcia religji, do której rasy czarnej niemałą okazują skłonność. Przywiązanie poszczególnych Szylluków do wierzenia, przyjętego dzięki przypadkowemu zaciągnięciu się do wojska lub porwaniu, wskazuje zgoła niedwuznacznie na szybkie utwierdzenie się wiary muzułmańskiej w duszach nowych jej wyznawców. Zwykle przyczyny tej stałości, a mianowicie w kraju arabskim lub zarabizowanym autorytet rządu, jednoczącego w swych rękach władzę świecką i duchowną, nie cofającego się przed przymusem i groźbą, oraz publiczne praktyki, tak częste, że muzułmanin świecki jest czemś w rodzaju duchownego, a nawet mnicha, nie wywierają w tych wypadkach żadnego wpływu: wiara muzułmańska działa tu wyłącznie przez ukrytą w niej siłę, wywyższając człowieka przez prawdę a poniżając go przez zabobon; zamknięty między jedną i drugą, skazany jest na trwanie w swej wierze, tem droższej dla niego, że nie krępuje jego namiętności.

Niedaleka przyszłość wykaże, czy Szyllukowie wkroczą przez chrześcijaństwo na gościniec nieograniczonego postępu, czy też na manowce islamu. W chwili obecnej niepodobna jeszcze zauważyć, aby odczuwali chęć zerwania z prastaremi swymi tradycjami. Tradycje te wykształciło wiekowe ich doświadczenie. Jak wszyscy ludzie zdani wyłącznie na światło swego rozumu obserwo-



wali, zastanawiali się i wytworzyli wiedzę, która im dostarczyła prawideł postępowania w życiu materialnem, religijnem i moralnem. Mieszkając nad potężną rzeką, zostali przez sąsiedztwo wrogich i wojowniczych Baggarów zmuszeni do poprzestania na wąskim pasie nadrzecznym wzdłuż moczarów Nilu, to też myśl ich posuwała się omackiem po szlaku, który można, być może, odtworzyć. Świat skurczył się dla nich do tego wąskiego świata, którego byli więźniami, i myśl ich zamknęła się w jego obrębie. Niebo gwiazdziste nie dostarczy tworzywa dla czynności ich umysłu: to tylko ludy wędrownie odczuwały żywą potrzebę spoglądania wzwyż i wdał, żeby móc orjentować się w nieznanym stronach. Sprowadzenie życia na ziemi do działalności słońca stanowi już szerokie uogólnienie i uwarunkowane jest bogatym i różnorodnym doświadczeniem. Wiedza Szylluków będzie ograniczona jak ich terytorjum i jak ono uboga. Jedyne zjawiska wchodzące w jej skład to te, które stanowią życie rzeki i lasu. Rzeka i las ukrywają w swem łonie zwierzęta, któremi można się żywić i przeciw którym należy się bronić, to też występują jako moce życiodajne i śmiercionośne. Ponieważ ciągną się daleko poza obręb dla człowieka dostępny, wydają mu się potęgą niesłychanie go przewyższającą, a ponieważ gubią się w tajemnicy nieznanym i niedostępnym oddali, są dla niego zagadką najwyższą, przed którą należy bić czołem. W ten sposób czyni Szylluk duchy lasów i wód, zaludniające moczary i powietrze, przedmiotem swych adoracyj: kult jego zwraca się ku ostatecznym wnioskom jego wiedzy faktycznej.

Myśl jego jednak nie trzyma się wyłącznie idei ogólnych: naraziłoby ją to na zatracenie się w czemś nie-

określonem, a ponieważ Szylluk wzniosł się do uogólnień po drabinie faktów szczegółowych, zdaje sobie sprawę z ich znaczenia. Religja jego jest religją jego wiedzy, a wiedza ta opiera się nietylko na uogólnieniach, lecz przede wszystkim na szczegółach, kult jego zatem będzie odnosił się nietylko do ostatecznych uogólnień jego wiedzy, lecz także do niektórych w skład tejsze wchodzących pierwiastków. A ponieważ zwierzę, które udało mu się oswoić, mianowicie krowa, dostarcza mu najlepszej skóry i najlepszego mleka, a wobec tego wydaje mu się wyjątkowo dobroczynną, upatruje w niej czcigodny symbol zwierząt użytecznych, wyznacza jej w swych uczuciach miejsce tak niezwykle, że oddaje jej kult: staje się ona zwierzęciem świętem; zabicie jej jest zbrodnią; śmierć jej powodem żałoby powszechnej; za jej życia, cokolwiek od niej pochodzi, szczególną ma cenę; moczem jej zaprawia się pokarmy, a z wydzielin jej wyrabia się kosmetyk.

Nie wolno kraść i zabijać, przynajmniej w stosunkach Szylluków między sobą, gdyż inaczej wszelkie życie społeczne stałoby się niemożliwe, człowiek samotny bowiem nie może sobie wystarczyć. Wszystko inne jest dozwolone, gdyż jest podyktowane koniecznością. Cudzoziemcy mogą być przyjaciółmi i niema powodu, aby ich przyjmować niegościnnie; mogą być też wrogami, przeciw którym należy się bezwarunkowo bronić; potrzeba wojowników dla walk z Baggarami, funkcję tę pełnią młodzieńcy i dojrzały mężczyźni. Starcy rządzą, gdyż z wiekiem nabrali doświadczenia. Dorośli nauczają młodzież i, przekazując zdobytą wiedzę, przekazują również zaszczepioną na tej wiedzy religję. Czarownik jest jej



tłumaczem i poważanym, budzącym lęk stróżem. Teokracja świecka i naturalistyczna jest ustanowiona.

Poza religją objawioną każda społeczność przyjmuje z konieczności formę teokracji naturalistycznej, wierzenia zaś zbiorowe nie wytwarzają się inaczej niż u Szylluków. Warjanty, wprowadzone do tego tematu, są wynikiem swoistego temperamentu danego ludu, warunków materialnych jego istnienia i stopnia rozwoju, jaki nauka jego potrafiła uzyskać. Lecz droga rozwoju pozostaje zawsze ta sama: obserwacje narzucone potrzebami życia jednostkowego i zbiorowego; generalizacja, mniej lub więcej ścisła, faktów zaobserwowanych; wnioski tej nauki, uważane za prawdy społeczne, moralne, religijne, podniesione do godności dogmatu, będące przedmiotem kultu i przekazane bezwładnej tradycji. Czarownik kraju murzyńskiego jest lekarzem. Kapłani starego Egiptu są uczonymi. Magowie Persji astronomami i fizykami. U Latynów cieśle są kapłanami, ich wiedza dogmatem, praktyka tej wiedzy rytuałem. Grecy uważali poetów za uczonych, a nauka ich była poezją, bo kochali tylko piękno, nie przeczuwając, że w ten sposób wiedzę ludzką zrównali z marą senną, girlandą złudzeń. Nauka naszych czasów dąży, w ręku naukowców, do narzucenia się jako religja. Znałem matematyka, dla którego twierdzenie Archimedesa było modlitwą. Współczesnym naszym nie udało się rozwiązać zagadek świata na drodze badań naukowych, gdyż droga ta nie prowadzi do takiego rozwiązania. Łudzą się jednak, że prawda naukowa jest jedyną Prawdą i całą Prawdą, że rozwiązuje wszystkie zagadnienia i że, co za tem idzie, mieści się w niej polityka, filozofja, moralność i religja. Jakkolwiek nauka ich rozwinęła się niepomiernie, myśl ich nawróciła ku myśli

pierwotnej; wykonywają zawód czarowników i augurów; taki Haeckel lub Berthelot są tylko Szyllukami.

...Nadeszła noc. Pałą się gdzieś daleko stępy. Barka płynie, zdana na łaskę prądu. Woda jest tak spokojna, że trudno sobie wyobrazić, iż płynie. Nawet nie chce się wierzyć, że niesie nas rzeka. To raczej drugie niebo, na którym błyszczą inne gwiazdy. Jesteśmy jakby zawieszani między dwiema nieskończonościami, a granicę ich stanowi czarny, wąski pasek trzcin i różowy odbłask trawionych pożarami traw...

Nie omieszkaliśmy zatrzymać się tej nocy na drugim krańcu okręgu Kaka, niedaleko wioski, gdzie, jak nam obiecywano, Szyllukowie mieli wieczorem tańczyć. Lecz pod koniec dnia dowiadujemy się o śmierci sąsiedniego naczelnika i że z tego powodu zabawa się nie odbędzie. Po zachodzie słońca idę na górę, poprzez step, do chat, zgrupowanych wokół wielkiego drzewa. Dochodząc do wioski, widzę, jak krowy, otoczone do połowy płotem z sitowia, zwieszają wielkie, zamyślane czoła nad palikiem, do którego są przywiązane. Z podpalonych kupek suszonego nawozu wznosi się gęsty dym, chroniący ulubione zwierzęta przed moskitami. U wejścia do zagrody zebrali się mężczyźni; pozdrawiają nas słowami: „Witajcie!” Zostawiamy ich zajadających ciasto z dury w kwaśnym mleku, gdyż słabe i jakby niezmiernie dalekie tony jakiegoś instrumentu ciągną nas do głębi zagrody. Siedzi tam samotny Szylluk na trzcinach, szczypie struny gitary i uderza w bębenek. Monotonne i słabe dźwięki mieszają się z dyskretnymi i krótkimi uderzeniami. Od czasu do czasu pomaga sobie głosem, nucąc melodję niezwykle słodką i pełną melancholji, opowiadając kochanym krowom, w nieznanym



nam języku, rozkoszne sprawy zaprzatające ich marzenia. Nieruchome, ukryte napoły w dymie, zwieszają nad palikiem wielkie swe czoła, przez które snują się sny, dla nas na zawsze okryte tajemnicą. Słuchają, jakby oczarowane, Szylluka, który wkłada swą duszę w słodką muzykę swego głosu i swej gitary. Siedzi na trzcinach, podwinąwszy lekko jedną nogę; w cieniu majaczą bransolety z pereł okalające jego ramiona, zwieszane na pierś, jeden nad drugim, naszyjniki, a pod szeroką fryzurą, przystrojoną w wielkie pióra, widać delikatny jego profil: pochylił nieco głowę i patrzy na słup dymu wstający z ziemi, w którym widnieją jego bóstwa, nieruchome i marzące. Nie widział nas prawdopodobnie. Dla nich to, w poszumie muzyki i śpiewu idących jakby zdaleka, ciągnie opowieść o rozkosznych sprawach, przepelniających jego duszę...

---

#### ROZDZIAŁ IV.

### OD BIAŁEGO NILU DO NILU BŁĘKITNEGO.

Przed wymarszem z Renck.

Wpobliżu feluki, nad brzegiem Białego Nilu, stoją osiołki i czekają na pakunki. Co dopiero wstał dzień i rozprószył chmury moskitów, które przez całą noc czyhały na ofiary. Oślarze arabscy dzielą pakunki i mała karawana zapuszcza się truchcikiem w wysoką, zeszlą słomę łanów dury: idzie w kierunku drugiego Nilu, Nilu abisyńskiego, czyli Błękitnego.

Karawana nasza przechodzi tuż obok wioski Renck. Kroczy śladem wąskiej ścieżki, wrzynającej się w wysoką słomę pól; podróżni i wierzchowce znikają całkowicie w tym lesie grubych, żółtych trzcin, które ogołoczone z ciężkich kiści ziaren, wyglądają jak nowe złociste żniwo, czekające na nowych żniwiarzy. Co jakiś czas ścieżka prowadzi przez osiedla: kolo chat, na podłodze spoczywającej na czterech palach nad ziemią, gromadzi się zbiory, zapas chleba dla całej rodziny, ciężkie pęki dojrzalej dury. Uporawszy się z tą robotą, mieszkańcy wrócą na pola, żeby zebrać złociste łodygi dziwnie wysokiej słomy, żółte trzciny, w które dają nurka i w których znikają podróżni i drepcące ich wierzchowce.

Mija godzina prawie. Już nie widać zajętych pracą



ludzi ani uprawnych pól. Zaczyna się las, niezmierny las, rozciągający się między oboma Nilami: las krzaków i krzewów, rodzaj zagajnika z gęstemi, ale nagimi gałęziami, jakie widuje się u nas, gdy wiatr jesienny strąci wszystkie liście, nie pozostawiając drzewom na zimę ani szaty liściastej, ani ozdoby. Na ziemi sterczą zeschnięte trawy, w tych przynajmniej miejscach, gdzie nie szalał ogień, tam bowiem powstały jakby polany o ziemi czarnej, twardej i spękanej, jak u nas w czasie wielkich mrozów. Rzekłbyś, że to jeden z naszych terenów łowieckich albo lesiste u nas płaskowzgórzu. Możliwe, że to pora zimowa, i aby spotęgować złudzenie, wiatr dmie z północy, a obumarłe gałęzie szumią pieśń zimy, tak jak u nas wielkie zagajniki umarłe.

Ale to żar wiecznego lata zamienił tę czarną ziemię, spragnioną deszczu i chciwą rodzenia, w opokę i porzył ją szczelinami. Słońce spaliło te trawy, wysuszyło docna listowie, wiatr zaś, śpiewający wśród umarłych gałęzi melancholijną pieśń naszych lasów zimowych, zionie nam w twarz rozpalonem przez słońce powietrzem.

Ścieżka wije się wśród krzaków i gołych gąszczy. Nakryta płaszczem gałęzi rozśpiewanego i pustego lasu, równina wydaje się bez końca. Ścieżką, po czarnej, spękanej i twardej ziemi, albo po zwiędłych trawach posuwa się truchcikiem mała karawana. Upał najgorętszego naszego lata zalega lasy, tak podobne do naszych lasów wśród srożącej się zimy.

Dziś...

Oddaliśmy się od obozowiska poprzez umajony świeżą zielenią las. W tych okolicach Dżebel Gule grunt musi zawierać wodę, której źródła wytryskują u stóp góry.

Drzewa, a raczej wielkie krzewy, pokrywają się młodemi pękami, stroją się w młode liście, maleńkie i bladezielone. Roślinność ta tworzy gęste masy odradzających się zagajników. Na wielkich polanach wystrzelają mimozy nieprzejrzanemi szeregami smukłych pni, czerwonych jak krew, z szerokimi, pokrytymi żółtem kwieciem wierzchołkami. Zapach kwiecia przesyca powietrze. Gdzie niegdzie sterczą pośród świeżych liści i kwiatów nagie gałęzie, przypominając minioną właśnie zimę, konary spóźnione lub leniwe, albo też bardzo stare, które już nigdy się nie zazielenią. Po bokach ścieżki uciekają gazy; na polanach biegają stada pantarek... Wszędzie pełno pachnącego kwiecia i świeżego listowia, jak w naszych lasach, gdy wraca wiosna...

Na ścieżkę, biegnącą w prostej prawie linii z Renck do Dżebel Gule, schodzi noc. Od kilku już godzin, na samym końcu ścieżki, między podwójnym żywopłotem drzew, wznosi Gule ostry swój stożek. Ale noc nas zaskakuje, a Dżebel, gdzie czeka nas legowisko i woda, jest jeszcze daleko, ludzie zaś moi opowiadają, że pod osłoną ciemności lamparty schodzą z górskich swych kryjówek i wyruszają na łowy po lesie. Na gęste zarośla spływa przeraźliwie jasne światło księżyca niemal że w pełni. Szum wiatru w gałęziach budzi dziwny niepokój. Wpobliżu Dżebel wielkie pożary spustoszyły równinę, samotną górę otaczają szerokie przestrzenie osmolone ogniem, i po spękałej od pożaru ziemi, po drzewach napół spalonych i popiele wysokich traw ślizga się zniekształcające wszystko światło księżyca. Odgadujemy raczej, niż widzimy drogę. Osioł mój, czując zbliżający się postój, idzie raźniej. Wydaje mi się, że przede mną wychylają się na ścieżkę dwa zwęglone pnie. Lecz w od-



ległości niespełna dwudziestu kroków osioł rzuca się nagle w bok, przyczem o mało co nie wylatuję z siodła, staje jak wryty, i jeden z pni ucieka krokiem żwawym i przyczajonym: rozpoznaję okrągławy grzbiet dużej hieny i prawie w tej samej chwili słyszę smutne jej wycie. Idziemy, rozglądając się ostrożnie, przez wysokie, suche trawy, które oszczędził ogień. Gule ukazuje nam się całkiem blisko, jako kolosalny stos olbrzymich głazów, jaskrawo oświetlony zimnem światłem księżyca. Potem widać kilka baobabów, ostry profil chat jakiejś wsi, słysząc ujadanie psów, zbliżają się ku nam białe widma kilku Arabów i prowadzą nas do chaty przeznaczonej dla gości.

Słońce weszło nad górami Abisynji, które na południowo-wschodnim krańcu niezmierzonej równiny Sudanu znaczą się długą, niebieską linią. Przed wioską, zbudowaną u podnóża góry Gule, rozciąga się las: minawszy ostatnią chatę, już się trzeba wspinać na pierwszą skałę. Granitowy grzbiet gór ciągnie się ze wschodu na zachód. Pośród tych równin bez granic nic nie zapowiada zadziwiającej zjawy takiego potwora, dźwigającego się ścianą prawie prostopadłą, której czepiają się nieliczne drzewa, krzewy i długie smugi zeschniętych traw, takiego potężnego nagromadzenia olbrzymich, wspinających się ku niebu głazów. Głęboka rozpadlina, w której skały rozsiane są aż po sam wierzchołek, zaprasza do próby wejścia na szczyt.

Towarzyszy mi dwóch oślarzy, uzbrojonych w zębate dziryty. Wspinaemy się po głazach, pomagając sobie rękami, a wysiłkom naszym sekunduje wrzask stada małąp. Są jakby oburzone tem, że ktoś się ośmiela naru-

szać w ten sposób ich dzierżawy. Towarzysząc nam zdaleka, wyprzedzają nas, gdyż skaczą po drogach dla nich tylko dostępnych. Oślarz idący na czele i przeszukujący starannie dzirytem nieduże jamy pod skałami, na które mamy się wspinać, jest groźniejszym od lamparta wrogiem: po dziesięciu minutach oświadcza, iż droga jest coraz to gorsza i że nie zalecałoby się iść wyżej. Po krótkim rozkazie: „Naprzód!” idzie dalej. Naśladując małpy, które nas wyprzedzają i trzymają się w roztropnej odległości, pracujemy tyleż rękami, co nogami, czolgamy się pod głazami, wyzyskujemy najmniejsze nierówności, aby wdrapać się na blok kamienny, który zdaleka wydaje się zupełnie gładki, wchodzimy w przymierze z suchymi trawami i krzewami albo niskimi gałęziami nielicznych drzewek. Oślarz zatrzymuje się ponownie i oświadcza, iż niepodobna wspinać się dalej, ponieważ nad nami wznoszą się niedostępne, pionowe skały. Ostatni ten opór pokonywam energicznym „*Jalla!*”<sup>1</sup> i stajemy na grani.

Zbocze północne spada prostopadle ku równinie. Stado małp obsiada skały, zwisające nad biegnącym w kierunku prostej ścieżki z Renck grzebieniem, i zwrócone ku nam, obserwuje nas. U stóp naszych roztacza się na wszystkie strony pusta równina bez końca, okryta ciemną szatą lasów. Drzewa ich przystrojone są miejscami w rdzawe listowie naszej jesieni, to znowu w świeżą zielen naszej wiosny, miejscami zaś są gołe, jak u nas zimą. Niewielkie, tem mniejsze w tej odległości, podobne są trochę do traw wyschniętych bagien: przywodzą na myśl mokradło, w którym woda znikła, a którego sito wie skazane jest na śmierć. Nic nie wskazuje na to, aby gdziekolwiek były żywe istoty, ani na północy, ku kra-

---

<sup>1</sup> Naprzód!



inie arabskiej Dżezireh, ani na południu, gdzie Fonkowie i Denkowie mają swe terytorja między obu Nilami. Nil Biały można rozpoznać po jasnej smudze jego wód, jako dwa punkty orientacyjne zaś widać masyw Dżebelain w stronie Goz Abu Guma i masyw Dżebel Ahmed Agha w stronie krainy Szyluków, dwie samotne góry, u których stóp przepłynęła pewnego poranka samotna feluka po pustej rzece. Poza niewyraźną linią Białego Nilu ciemnieją głębie Kordofanu. W stronie wysokiej doliny Nilu Błękitnego wznoszą się nagle z równiny inne góry, równie nieoczekiwane jak Gule, i równie jak on ponure, pokryte nagimi skałami: są to jakby zagubieni w bezmiarach wysłannicy płaskowyżów abisyńskich, ciągnących się na południowym wschodzie długim, niebieskim wałem. Z tego szczytu widok jest bardziej niezwykły i wspanialszy, niż z jakiegokolwiek innego szczytu w górach: nigdzie na świecie oko ludzkie nie może ogarnąć szerszej przestrzeni. Szczyt, na którym stoimy, wydaje się małym, chaotycznym światem ze swemi dolinkami, jaskiniami, przepaściami, drzewami i krzewami, małym światem dzikim i świetlanym, zagubionym wysoko pod niebem, pośród ciemnej, bezludnej i wielkiej jak wszechświat równiny... Lecz człowiek nie mieszka na szczytach. Wznosi się na nie na zbyt krótkie tylko chwile. I zaczęliśmy schodzić...

Po jeszcze jednym noclegu w wiosce Gule.

Pozostawiliśmy poza sobą ostatnie chaty ze słomy i posuwamy się wzdłuż podstawy wydłużonej grani Gule, która dzięki małym przełęczom i niewielszym szczytom wygląda jak minjaturowy łańcuch górski. Z podnóża jej wypływają źródła, podtrzymujące świeżą zielen

murawy z małemi i puszystymi, jak w naszych ogrodach, palmami dum. Wszystko to, łąka u stóp szarych, wielkich skał poprzetykanych krzakami, palmy i małe drzewa, a obok nich wielkie, wznoszące bardzo wysoko pierzaste swe czuby i rzucające na ziemię kręgi głębokiego cienia, przenosi nas ze spalonego słońcem Sudanu, gołego i wyschniętego, do jakiegoś parku uroczego, urządzonego między górą a lasem.

Lecz wizja ta znika szybko... Ścieżka wije się wśród wysokich, żółtych traw, za niemi zaś rozpoczynają się znowu lasy. Gdybym nie wiedział, że to naprawdę ścieżka, nigdybym się nie zapuścił na ten ledwie widoczny trop, na którym tylko trawy są połamane, jak po przejściu łani. Na szczęście byłem uprzedzony o tej trudności, to też dnia poprzedniego poleciłem przewodnikowi oślarzy zbadanie drogi, tem więcej, iż przyznał mi się, że nigdy nie był w Roseires, dokąd wszelako zobowiązał się mnie doprowadzić. Choć mówiłem mu, wiedząc o tem od jednego z inspektorów angielskich okręgu, że do Nilu Błękitnego idzie się dwa i pół dnia, a po drodze jest jedna tylko studnia, on wolał polegać na łągarstwach mieszkańców Gule, którzy go zapewniali wczoraj, że wystarczy dwóch dni, a wodę znajdzie się wszędzie. Umówił się więc z oślarzami, którzy uważali, że śpieszę się zbytnio, i wobec tego, nawet popędzając objuczone bagażami i bukłakami zwierzęta, przybywali na postój z godzinę po nadejściu wierzchowych, i teraz oto idzie przede mną pieszo, żeby powstrzymywać mego wierzchowca. Poznałem się jednak w mig na tym podstępie. Nie lekceważę sobie oddalenia Nilu Błękitnego i skutków braku wody, więc każę mu wsiadać na osła i jechać za mną. Ja sam poprowadzę karawanę, nie troszcząc się o wymowne mil-



czenie bojących się mnie Arabów, ani też o pomruki jednego z Darfurczyków, który nie wyrzekł się jeszcze obyczajów, nacechowanych otwartą wrogością, i nie sądzi, abym władając tak niedołącznie jego językiem, rozumiał go jednak, lub nie rozumiejąc, odgadywał.

Cały dzień prawie jedziemy przez las mimoz. Jest to las wiosenny, pełen kwiecia, ale bez cienia, las, na który po orzeźwiającym chłodzie nocy splywa żar gorejącego słońca. Jak w dwu pierwszych dniach, urządzamy postój w skąnym cieniu bezlistnych gałęzi. Spłoszone naszym zbliżaniem się wielkie stado gazel oddała się na odległość rzutu oszczepem i obserwuje nas, gotowe do ponownej ucieczki. Ponad niewielkiem drzewem ukazuje się głowa żyrafy, osadzona na długiej szyi: spogląda ciekawie i znika pocichu jak zjawa.

...Na rzadki zagajnik schodzi wieczór. Ziemia pokryta łąkami pachnących traw. Zaskoczony strusie mkną woddali...

...Jak okiem sięgnąć, zagajniki jesienne przez cały dzień: drzewka o rdzawym listowiu, rozległe łąny traw czerwonych; uciekające pantarki, strusie i gazy. Żyję w ciągłej obawie, że w workach może zbraknąć wody, jeżeli ludziom moim pozwolę na bezmyślną i leniwą włóczęgę po tej odludnej, nieznannej im ścieżce; to też, żeby ich zmusić do przyśpieszenia kroku, wyruszyłem sam na czele.

Pod wieczór ukazuje się ponad drzewami skalista góra, cała skąpana w słońcu. Poziom gruntu obniża się, zielone trawy nurzają się w wodzie. Wśród pól dury sterczą śpiczaste dachy chat, wznoszą się rozłożyste baobaby i lesisty łańcuch Dżebel Agadi ciągnie się na

niewielkiej przestrzeni, tworząc sześć skalistych grup, ozdobionych palmami dum.

Wpobliżu źródeł stoi schronisko dla podróżnych, grupa chat otoczona płotem: zastaję tam dwóch żołnierzy Szylluków, przybranych w mundury i tarbusze, którzy po odbyciu służby wrócą jako wysunięte placówki islamu do czarnych wiosek, nieobeznanych jeszcze z tą religią nienawiści. Niedaleko od schroniska rozsiane są domki wioski arabskiej na zboczu jednej z gór, wśród palm i głązów. Żadna oaza po przebyciu piasków pustynnych nie wywołuje silniejszego wrażenia gościnności i szczęścia, niż przy wyjściu z suchego lasu ten zakątek zielonej ziemi, w ciasnej kotlinie świecących skał z rozpostartymi wachlarzami palm. A gdy wspiąłem się na skały, z których roztacza się aż do krańców świata i aż do wysokiego muru płaskowyżu abisyńskiego widok na ponury, odludny i wrogi las, zdawało mi się, że u stóp tych granitowych gór zgromadzone są wszystkie składniki szczęścia: woda, zieloność, zboże, skały, góry, zapomnienie, a w pieczarach Dżebel zwierzę mniej groźne od człowieka, lew.

Nad ranem...

Na zboczu Dżebel Agadi toczy się jeszcze czerwona tarcza księżycy w pełni, gdy ponad ciemnym, ku wschodowi rzuconym kobiercem lasów wznosi się krwawa tarcza słońca. Las baobabów o gigantycznych pniach ciągnie się wzdłuż skalistego masywu, którego zbocze najeżone jest śpiczastymi dachami wioski. Ścieżka prowadzi nas naprzelaj przez równinę, w las mimoz.

Po kilkugodzinnym marszu wkraczamy w las o poźółkłych, jakby to była jesień, liściach. Niekiedy nie-



równość gruntu tworzy rodzaj dolinki, zacienionej zieleńjącymi drzewami, palmami i krzewami, gdzie w porze deszczowej płynęła woda, zaoszczędzając słońcom z sąsiedztwa wędrówki aż do rzeki Błękitnej. Gdy zbliżamy się do Nilu, dolinki takie co chwila przecinają nam drogę, zarosnięte baobabami, palmami i krzewami, o wegetacji tak bogatej, że siłą kontrastu przypomina się uschnięty las, przez który maszerowaliśmy całymi dniami.

Bahr-el-Azrak<sup>1</sup> toczy zimowe swe wody w głębi wąskiego koryta. Wody jego opadły, a koryto zwężają jeszcze ławice piasku. Wije się wśród bardzo wysokich brzegów, zacienionych lasami baobabów, palm i zielonych drzew. Na drugim brzegu, ukryte w lasach, wznoszą się chaty Roseires.

#### Roseires.

Budynki mieszkalne stoją na rodzaju esplanady, na której rozsiane są nieliczne baobaby i wielkie drzewa zielone; wśród gałęzi fruwają ptaszki z czerwonym jak krew lub turkusowem podbrzuszem. Bogata roślinność tej urodzajnej i wilgotnej ziemi napiera ze wszystkich stron na mieścinę: trawy, krzewy, krzaki, palmy dum, baobaby grożą najazdem, otaczając ją zwartym pierścieniem. Z Roseires, leżącego na wysokim prawym brzegu rzeki, daleki rozciąga się widok, nie sięga jednak poza barjerę niezmierzonego lasu o rdzawym kolorze, jaki widać u nas, gdy jesień się kończy. Bahr-el-Azrak, w którym spłynęły wysokie wody pory deszczowej, płynie teraz na samym dnie koryta pomiędzy wysokimi brzegami, wynurzając się z niego szerokie ławice piasku, i jest tylko wartką rzeką, po której feluki już nie krążą; u stóp

---

<sup>1</sup> Nazwa arabska Nilu Błękitnego. *Przyp. tłum.*

Roseires Nil zatacza duży łuk wśród lasów. Z miasteczka schodzi się do niego ścieżynami, zagubionymi wśród traw i krzewów, baobabów i palm, jakby przez spadzisty park czy ogród o niezwykłym wyglądzie, gdzie wyobraźnia przyrody takie roztacza czary, że człowiek staje się niepotrzebny.

Roseires ma niewielu mieszkańców. Arabowie, przybyli z północy, stykają się tu z murzynami i mieszają się z nimi; w dzieciach krew czarna bierze górę, lecz zato zwycięża duch religijny Arabów; murzyni, którzy przywędrowali z południa, ulegają wpływom środowiska muzułmańskiego. Każę im się powtarzać: „*La ilaha ill' Allah, Mahommed rassul'ullah*“, dokonywa się na nich obrzezania, ubiera w tarbusz, mówi im się, że „posiadają księgę“, t. zn. księgę Boga, koran, że dlatego pójdą do nieba, a wszyscy inni ludzie wrzuceni będą do ognia wiecznego — i tak stają się więźniami islamu na zawsze. Jedynie Fonkowie, mieszkający w lasach między Roseires a granicą abisyńską, nawrócili się, jak fama głosi, pozornie tylko. Można ich zobaczyć w Gule lub w suku w Roseires, dokąd przybywają po drobne zakupy. Włosy ich splecione w długie i cienkie warkocz, okręcone na czubku głowy, tworzą rodzaj mitry. Lecz murzyni, którzy przybywają Białym Nilem, pozyskani są całkowicie dla nowej religji. Potęga islamu wzrasta w ten sposób bezustannie, bo Afryka centralna dostarcza jej bez przerwy rekrutów, i niebezpieczeństwo, jakie islam stwarza, staje się coraz większe. Rządy pochodzenia chrześcijańskiego udają, że nie widzą tej groźby, i nic nie czynią dla jej zażegnania.

---



## ROZDZIAŁ V.

# NA BRZEGACH NILU BŁĘKITNEGO: W KIERUNKU CHARTUMU.

### 1. Poprzez lasy.

Spędziwszy noc nawprost Roseires, na samem wybrzeżu, pod drzewami, na których dokazywało stado małą, dosiadamy naszych osłów.

Ścieżka ginie wśród wysokich traw i wysokich łądyg dury; na brzegu ciągną się one wąskim pasem, wciśniętym między Bahr-el-Azrak i pagórki, na których kończy się las. Mijamy jedną wioszczynę i drugą, a wtedy ścieżka oddala się od rzeki i gubi się wśród lasów. Grunt zasłany jest grubą warstwą słomy, zwiędłych traw i umarłych liści. Tylko w wyschniętych łożyskach potoków i w ich pobliżu pojawia się znowu nieco zieloności i sztywny wachlarz palm. Bardzo mało uczęszczana ścieżka zarosnięta jest do tego stopnia trawą i kolczastymi krzewami, że co chwila grozi zbłądzenie i poszarpanie ubrań na strzępy. Po południu przeprawiamy się przez liczne depresje gruntu, nieduże parowy, wypełnione bujną roślinnością. W środku lasu stajemy bezradni wobec rozwidlania się drogi. Zbadawszy zgrubsza oba rozgałęzienia, decydujemy się na ścieżkę, na której trawy są najsilniej stratowane. Niebawem jednak odnoga ta urywa się nad brzegiem wodopoju, odwiedzanego przez



13. „Pirogi“ Szylluków (piroga = wąskie czółno, wydrążone w pniu drzewa lub wyrobione z kory.)



14. Wioska Gebél Goulé.





15. Główna ulica w Roseires.



16. Sennar nad Nilem Błękitnym. Kobieta niosąca wodę z rzeki.

zwierzęta, gdy w czasie deszczów gromadzi się w zagłębieniu woda. Stwierdzamy wszakże, że ścieżka gubi się wprawdzie jakiś czas w wysokich trawach, ale następnie znaczy się zupełnie wyraźnie. Jesteśmy jakby w wielkim lesie podzwrotnikowym: łąka traw wodnych, zielona jeszcze, choć laguna w tej chwili już wyschła, otoczona jest zwartą ścianą drzew. Ścieżka okrąża brzeg mokradła, wzdłuż splątanych roślin zielonych, lian, krzewów i palm, a nad nieprzebytym tym gąszczem panują rozłożyste czuby wysokich jakichś drzew. Potem idziemy przez pagórki i wąwozy, aż w pewnej chwili, na widok tafli wód między drzewami, krzyczymy z radości: „*Bahr!* rzeka!“ Tu przewidziany jest odpoczynek; wodę zabraną z Roseires wypito podczas postoju południowego; wioska Diza, w której mamy nocować, zapewne już niedaleko!

Zejscie do zacienionego wybrzeża trwa niedługo: znajdujemy się na dnie okrągławej zatoki, będącej bezwątpienia jakby bocznym zalewem rzeki. Gęsty i zielony las schodzi aż do piasku, opasującego stojącą wodę. Olbrzymie krokodyle, drzemiące w słońcu, wślizgują się do wody na odgłos naszej rozmowy; na powierzchni wody widzimy całe tuziny jakby prętów, których czarne linje posuwają się w pewnym kierunku lub znikają. „*Timsah!* Krokodyle!“ — objaśniają moi ludzie. Chwilami wystawiają hipopotamy zdaleka olbrzymie swe paszcze, parskają hałaśliwie i zanurzają się pod wodę. Oślarze poją swe zwierzęta, lecz w obawie przed krokodylami, które mogą nagle wynurzyć się z błota, skoczyć do pyska osiołka i wciągnąć go za sobą, stają tuż obok niego z podniesionym dziurytem, wpatrując się w mętną, tajemniczą i niepokojącą powierzchnię błotnistej wody. Niepokój nasz, wywołany zgubieniem drogi, potęguje głę-



boka cisza tej pustki, przyczajone w milczącym lesie i uśpionej lagunie niebezpieczeństwo i zapadający zmrok. Dwóch oślarzy wyrusza w kierunku północnym, gdyż w tę stronę zdążamy: nie odkrywają żadnego śladu stóp na piasku i ziemi wybrzeża. Zwracają się w kierunku przeciwnym, gdyż zobaczyli tam świeży trop osła, i znikają. Długo czekam na ich powrót. Za godzinę będzie ciemno: pozostać na tem miejscu to zdać się na łaskę straszliwych mieszkańców nieruchomej wody i milczącego lasu; zawrócić znaczy dotrzeć z nastaniem nocy do rozwidlenia ścieżki, pośród wysokich traw i zwartych gąszczy, kryjących w sobie groźne niespodzianki...

Oślarze wracają na szczęście z dobrymi nowinami. To, co mamy przed sobą, jest dużym *khorem*, rodzajem jeziora, połączonego z Nilem tylko w okresie wysokiego stanu wody: po odpływie wód pozostaje w khorze wielkie mnóstwo ryb, jak w stawie rybnym, zwabiając całą masę krokodyli. Na drugim brzegu zalewu ludzie moi spotkali wśród pół kilku Arabów, widzieli zupełnie zbliżoną rzekę i dostrzegli na szczycie pagórka chaty wioski Diza, odległej o niecałe pół godziny drogi. Stosując się do ich wskazówek, idziemy wzdłuż brzegu laguny, po której pływają czarne grzbiety krokodyli, przechodzimy przez liczne ścieżki hipopotamów, gubiące się w trawach, i docieramy do pół uprawnych. Jezioro, otoczone półkolem ciemnego lasu, znajduje się teraz całe poza nami. Poza polami uprawnymi Nil, wyschnięty prawie do dna, wygląda jak rzeka zasypana piaskiem. Dalej nieco lśnią się znowu jego wody; kierujemy się ku stromemu brzegowi, najeżonemu stożkowatemi dachami wioski Diza.

Z wysokości cypla, na którym stoi osiedle, wzrok wybiega hen daleko na dolinę Nilu Błękitnego i rozległy widnokrąg lasów, gubiących się w równinach na północy. Rzeka zatacza tu wielki łuk. Na drugim brzegu, prawie nawprost Dizy, widać samotne osiedle na skraju lasu. Z osady tej dochodzą nas, gdy księżyc wytoczył się na niebo, skoczne dźwięki bębenków, wybijających rytm taneczny *delluki*, głosy Arabów i murzynów, tańczących i śpiewających.

Jak zwykle, jesteśmy na nogach już przed świtem, gotując się śpiesznie do wymarszu, podczas gdy z bezludnych wybrzeży rzeki płyną ku nam urywane ryki lwów. Gdy wstaje dzień, las powraca do swego niepokojącego milczenia, a z kolei budzi się wioska: słychać pianie kogutów, ryczenie osłów i głosy ludzkie. Szeik odprowadza nas aż do ginącej w gęstwinie drzew ścieżki.

Chłód, który panował od północy aż do brzasku, ustępuje ożywczej wilgoci rzeki i krzewów. Po dwóch czy trzech godzinach słońce zacznie prażyć niemilosernie. Po długim marszu pośród mimoz napotykamy znowu nieduże, wypełnione bogatą roślinnością jary. Z trudem tylko trzymamy się ścieżki. Trawy i kolczaste krzewy zacierają jej ślad, a drzewa i palmy zmuszają nas co raz do ich okrążania. Kilka razy głowimy się na rozstajnych drogach, którą z nich wybrać: oślarze przypatrują się uważnie ziemi i decydują się na ścieżkę, na której odnajdują świeże tropy osła. Jeżeli się pomylą, będziemy bez wody i dachu nad głową; ani nam myśleć o tem, aby obozować nocą w tych lasach, pełnych dzikich zwierząt; kilkakrotnie pokazali mi moi ludzie, badając ścieżkę, świeżutki ślad lwich pazurów.



Podczas postoju południowego rzucają się na nas w większej niż zazwyczaj ilości chmary żarłocznych i zawziętych muszek, które wpadają do oczu i wpijają się w brzegi powiek, by ssać z nich wilgoć.

Na przedwieczeru, zbadawszy jeszcze jedno rozwidlenie ścieżki i wybrawszy właściwą, docieramy do małego osiedla, zbudowanego na wąskim pagórku, okolo- nego z trzech stron wysokimi trawami i drzewami. Aby się zabezpieczyć przed nocnymi napadami drapieźców, mieszkańcy otoczyli je silnym, na trzy do czterech metrów wysokim płotem. Na wschód ciągną się łany dury, kończące się na urwistym i wysokim brzegu rzeki. Wody Nilu Błękitnego, wijącego się wśród lasów, sączą się w wąskim i głębokim łożysku, zawalonem szerokimi łachami piasku.

Zapadła ciemna noc; księżyc po długim dopiero czasie rozedrze gęste ciemności. Ledwie można dojrzeć sylwetę płotu, strzechy, wierzchołka wysokiego drzewa, pod którym mamy spać, i cienie ludzi, zebranych wokoło dymiącego potężnie ogniska. Ciszę mąci tylko nieustanne ćwierkanie szarańczy i szept rozsiadłych przed drzwiami chaty słomianej kobiet. Jakże się czuję daleki od wszystkiego! Od tych wszystkich, tam w kraju...

...Nad lasami wypływa zniekształcona tarcza księżycy. Siedzące na ziemi kobiety, w niebieskich zasłonach, uderzają w bębni, klaskają w dłonie i śpiewają bardzo słodką melodję. Obok nich stoją mężczyźni, przybrani w wielkie szare szarfy. I w niepewnym świetle tej nocy niebieskie i szare kształty tańczą *dellukę*. Potrzęsając dzirytem lub pałą, jeden z mężczyzn wstępuje w środek koła, zrywa się i skacze z pochyloną głową, jakby rzucał się na nieprzyjaciela. Wraca potem na swe miej-

sce, a z kolei wstaje jedna z kobiet. Odrzuca niebieską zasłonę z głowy i twarzy: fruwią warkoczyki, okolone wieńcem z czerwonych szkiełek. Owinięte szczelnie w białą szarfę ciało przegina się wtył, coraz mocniej i coraz niżej, tak że kark dotyka prawie wzniesionych łądźwi. Z podaną naprzód piersią kroczy wolnusiętko, kołysząc głową i wydymając gardło, jak stroszący swe pióra indyk; krok za krokiem, z głuchem gulgotaniem, obiega koło mężczyzn, zatrzymuje się przed wybranym, przegina się jeszcze bardziej i jeszcze niżej, zgina kolana i klęka; warkoczyki tancerki powiewają nad wzniesionymi wysoko łądźwiami, a ona, z piersią podaną naprzód, kołysze rytmicznie głową i wydyma gardło z wdziękiem zakochanej indyczki. Mężczyzna wyrzuca rękę wysoko, na znak triumfu, bębny szaleją, a kobiety wybuchają radosnem *ju-ju*.

Niepewne światło księżyca mży w głębinach nieba i nad tajemnicą lasu. Rzeźbi cień chaty słomianej, udrapowane postaci mieszkańców wioski, skaczącego mężczyznę, przeginającą się kobietę, płot, który izoluje i broni, drzewo, pod którym będą spał. Jakże się czuję daleko od wszystkiego i od wszystkich tych, których kocham...

Przez całe przedpołudnie przedzieramy się na naszych osłach przez zwarty gąszcz ciernistych krzaków. Trawy, krzewy i drzewa tworzą poplątaną i gęstą masę zieloną, wypełniającą sąsiadujące z rzeką parowy. Dziki mieszkańców tych wądołów, ukrytych w sercu gęstwiny, nie pragniemy wcale poznać: przechodzimy prędko i w milczeniu, niepokojąc się trzaśnięciem gałęzi lub szelestem trawy. W południe obozujemy w nędznem,



opuszczonem osiedlu: cztery czy pięć zniszczonych chat broni się nieudolnie przed najazdem lasu zapomocą żywopłotu z suchych cierni, nie dosięgającego wysokości człowieka. Bagnista łąka, o tej porze roku bez wody, dzieli nas od Nilu Błękitnego. Ponieważ czeka nas kawał drogi, nim poprzez odludne lasy dostaniemy się do następnej wioski, opuścimy marne to schronisko dopiero jutro.

Pod wieczór zlatują się ptaki na noc i obsiadają wysokie umarłe drzewo, wznoszące w pobliżu żywopłotu z cierni wyschnięte swe konary; przybywają zewsząd bezszelestnym lotem, siadają gęsto, jeden przy drugim, na wszystkich gałęziach, oblepiając całe drzewo niesamowitem czarnem listowiem. Otula nas noc. Śmiertelna cisza kładzie się na nas swym ciężarem. Ludzie moi rozgościli się w chatach. Wyciągam się na mym angrebie, ustawionym na dworze o dwa kroki od niskiego żywopłotu, na łasce włóczących się drapieźców, i zasypiam pod gwiazdami, pod Boską opieką.

...Przed świtem budzą mnie ryki lwów: odzywają się wzdłuż brzegów rzeki jeden po drugim, jakby się nawoływały. Podczas suszy nie staje wody w dołach wśród lasów: wszyscy ich mieszkańcy, myśliwi i ich ofiary, chcąc ugasić pragnienie, muszą schodzić do Nilu, — drżące, gotowe do panicznej ucieczki gazele, zgłodniałe i straszne lwy. O świcie słychać ostatni ryk w gąszczach przy obozowisku. Potem wszystko milknie. Niezadługo wschodzi słońce, a moi ludzie, będący już od dwóch godzin na nogach, nie zdążyli jeszcze ułożyć juków na osłach. Przynaglam ich; siedzą w dalszym ciągu na ziemi i, zdjęci strachem, tłumaczą mi: „*S'bu*“ lew! Lew

jeszcze nie wrócił do swego legowiska". Ale jeżeli nie ruszymy natychmiast, zaskoczy nas noc, nim dotrzemy do wioski. Daję im pięć minut czasu do nałożenia siodeł jucznych i spakowania się. Po pięciu minutach nie są jeszcze gotowi, więc ruszam sam. Niema innego sposobu, by ich zmusić do marszu. W tych dzikich stronach samotnemu podróżnikowi grozi niebezpieczeństwo, a jeśli oślarze nie przejmują się moim losem, to boją się o swego osła, na którym jadę.

Wjeżdżam na ścieżkę i posuwam się przez gąszcze w jary nieprzebytego lasu, nie śpiesząc się jednak, żeby drużyna moja mogła za mną podążyć. W dwadzieścia minut po mym wyjeździe dogoniła mnie. Na kurzu ścieżki widnieją tropy uzbrojonych w pazury łap. Połamane trawy wskazują gdzie niedzie na przejście zwierząt-olbrzymów. Zbliża się południe. Na wilgotnym gruncie wądołów widzimy co chwila wielkie, okrągławe tropy słońi.

Wisi nad nami inna jeszcze groźba: na postoju oświadczam mój boj, że nie może naparzyć mi herbaty, gdyż zabrakło wody. Moi ludzie wypili po drodze przeznaczony na cały dzień zapas: worek płócienny, *zemzemia*, w którym była moja porcja, jest próżny, bukłaki — *dzerba* — są prawie puste. Popelnili rażącą tę niedorzeczność widocznie za poduszczeniem Darfurczyka, lenia, blagiera i warchoła, przeżartego nienawiścią muzułmańską, która w krainie jego obrała sobie siedlisko. Zapowiadam moim ludziom redukcję bakszyszu, a jeżeliby się to miało powtórzyć, to oddam ich w ręce pierwszego napotkanego posterunku policyjnego. I rozkazuję bojowi, aby mi, jak zwykle, podał herbatę i tyle wody, ile jej pijam podczas każdego posiłku. Skutek jest taki, że oślarzom zostaje



tak mało wody, że jeden z nich postanawia wyprawić się z Darfurczykiem aż do rzeki, oddalonej o pół godziny drogi, by napełnić jeden z bukłaków. Ta nadprogramowa wyprawa poprzez splątana i niebezpieczną gęstwinę, i to w czasie przeznaczonym na spoczynek, tem konieczniejszy, że dzień jest rzeczywiście męczący, jest słuszną karą za ich przewinienie. Pouczony doświadczeniem, postanawiam, że odtąd *zemzemia*, z zapasem wody dla mnie, przytroczona będzie do siodła na mym osle.

Przez całe popołudnie widać coraz liczniejsze ślady słońi. Widnieją one albo na samej ścieżce, albo przecinają ją co chwila. Mijamy łąki, na których potratowały trawę i na których odpoczywały. Zbliżający się wieczór napa- wa mnie obawą, gdyż maszerujemy przez zwarte gą- szcze, wioski są daleko, a na ziemi mnożą się odciski olbrzymich stóp. Oślarze moi nigdy przez te okolice nie szli. Orjentują się na podstawie informacji, zbieranych po drodze i zawsze niedokładnych, oraz badając ścieżki, a to tylko za dnia jest możliwe. Słońce zaczyna znikać za widnokregiem, gdy schodzimy do doliny, którą deszcze letnie zamieniają na lagunę; wielki kocioł bagnisty po- łożony między tą doliną a wybrzeżem rzeki pełny jest jeszcze wody. Widzimy wpobliżu tego *khoru* łąny dury, wioska więc, sądzimy, musi być gdzieś blisko, choć do- mów jeszcze nie widać. Przewodnik oślarzy pochyła się nad ziemią i stwierdza tropy stada krów. Idziemy dalej w tym kierunku. Lecz robi się zupełnie ciemno, nie mo- żemy się już orjentować według tych wskazówek, ścieżka zaś nadobitkę gubi się w trawach *khoru*. Znajdujemy się z całą pewnością niedaleko od wioski, niemniej przeto nie ulega wątpliwości, że nie możemy już myśleć o do- tarciu do niej. Brak nam pół godziny światła dziennego,

zmarnowanej dziś rano, gdy ludzie moi opuścili obozowisko pół godziny dopiero po wschodzie słońca.

Co robić? Obozować w tem miejscu to narazić się na spotkanie z hipopotamami, które w nocy wychodzą z *kohru*, aby żreć trawę, i ze słoniami, które nocą wychodzą z lasu, by gasić pragnienie w *chorze*. Trzeba nam zatem wrócić na ścieżkę z Roseires do Singa i nie zbaczać z niej. Ale niema większego niebezpieczeństwa niż marsz w nocy: niesposób prawie nie natknąć się na polujących mieszkańców lasów, na trąbę słonia schodzącego do rzeki lub nagły napad zaczajonego drapieżcy. Postanawiam maszerować przynajmniej przez pierwszą, najmniej niebezpieczną godzinę nocy; natrafimy, być może, na ścieżkę wiodącą do wsi, a jeśli nie, to będziemy obozować pod opieką Boską.

Gdyśmy powrócili na główną ścieżkę, oślarze skwapliwie uszeregowali się za mną, pozostawiając mi pierwsze, honorowe miejsce. Brniemy przez las traw, w ciszy i w ciemnościach. Niebawem staje się jasne, że znajdujemy się na wysokości wioski: szczekanie psów dochodzi aż do nas. Lecz w ciemności nocnej nie dostrzegamy żadnej ścieżki, któraby odgałęziała się od naszej. Chwilami grunt ścieżki jest zryty przez słonie, a po bokach trawy leżą pokotem.

Idziemy tak z godzinę: możemy już minęli wioskę? Rozsądniej będzie rozłożyć się obozem. Wąska łąka z zeszlęmi trawami, stratowanemi przez gruboskórców, otoczona jest niezbyt gęstemi zaroślami. Dwóch oślarzy, uzbrojonych w zębate dziryty, przeszukuje ją w pośpiechu: nie zauważają żadnego podejrzanego szelestu. Brniemy przez trawy, dochodzimy do dwóch drzew, składamy toboły na ziemi i pętamy osły.



— Dałby Bóg, — mruczy przewodnik karawany, — aby tej nocy słonie tędy nie przechodziły.

Zachowujemy się bardzo cicho, by nie zdradzić swej obecności. Ludzie moi, rozłożeni w trawie, z utkwionemi obok w ziemi dzirytami, dają pilne baczenie. O obiedzie nie może być mowy, gdyż nie wolno rozniecać ognia:

— Gdy słonie spostrzegają ogień, — powiada przewodnik oślarzy, — przybiegają z obawy, żeby nie zajął się las i nie spalił ich samych, rzucają się na ognisko i tak długo wdeptują je w ziemię, aż je ugaszą!

Nie mając broni, nie widzę innej rady, jak wspiać się dla bezpieczeństwa na jedno z drzew, pod którymi kryje się zaimprovizowane obozowisko.

Z wysokości mej kryjówki przeżywam kolejno wrażenia bezpieczeństwa, malowniczości, śmieszności, a wkońcu niewygód, związanych z nocowaniem na gałęzi. Mieć jako krzesło i podnózek ostry kąt, utworzony przez dwie gałęzie, i po dziesięciu godzinach jazdy za dnia trzymać się w tej arcyniewygodnej pozycji przez dziesięć godzin w nocy, z pustym żołądkiem i nie mrużąc oka, jakież okrutny los gotujecie mi, o słonie!

Mija jedna godzina: jeden z moich ludzi wyciąga się na mym angrebie i zasypia. Mija druga godzina: drugi kładzie się na mych matach i pogrąża się w śnie.

Po jeszcze jednej godzinie prosi mię szeptem przewodnik oślarzy, bym go obudził w razie najłżejszego podejrzanego szelestu, i kładąc się na kozich skórkach, zasypia także. Odwróciły się całkowicie role, ja teraz mam czuwać nad ich spokojem!... Słyszę tylko niegroźne ćwierkanie szarańczy. Wschodzi księżyc i wędruje po niebie zniekształcone jego oblicze. Sielski i kojący chór

owadów pobrzękuje w dalszym ciągu, i jego monotonja rozprasza niepokój, dzięki któremu opierałem się zaśnie-  
ciu. Co chwila ogarnia mię senność, niepowstrzymana  
i nieodparta, i czuję, że kiwając się na gałęzi, skoczę  
głową naprzód na grzbiet osła, który pod mem drzewem  
duma spokojnie. Aby uniknąć tego niebezpieczeństwa,  
staję na jednej gałęzi i opieram się piersią o drugą, wyż-  
szą gałąź, przez którą przerzucam ramiona. Ale drętwieję  
ze zmęczenia. Brak ruchu i cisza obezwładniają mię,  
to też chwilami zapadam nagle w krótkie marzenia sen-  
ne, wywoływane obawami i zwidzeniami niewyraźnych  
kształtów nocy i klejącą me oczy niemocą: na łączce,  
stratowanej przez olbrzymie zwierzęta, wysepki nienaru-  
szonej trawy wyglądają na chaty jakiegoś osiedla, wiązka  
suchej trawy i gałąź udają człowieka śpiącego w hamaku,  
pień skręcony drzewa biorę za poruszające się zwierzę,  
listowie mego drzewa wygląda w dalekiej perspektywie  
jak zwichrzona gromada, gotowa do ataku. Za każdym  
razem potrząsam głową, odpędzam nawiedzające mnie  
przez kilka sekund widziadła i odzyskuję kontakt ze  
światem rzeczywistym: utwierdzam się wśród gałęzi i sły-  
szę, wśród niezmiernej ciszy nocnej, która trwać będzie  
chyba wiecznie, niepozorny, słodki i kojący śpiew sza-  
rańczy... Nagle odlatują wszelkie majaki senne: po czte-  
rykroć odzywa się głuche stękanie w gąszczach okalają-  
cych naszą łączkę, szeleszczą zeschnięte badyle traw i ga-  
łęzie pod krokami niewidzialnego grubego zwierza...  
Nadchodzi świt: w dalekiej wiosce koguty zwiastują  
dzień...



## 2. Przez równiny.

Po godzinnej zaledwie jeździe wydostajemy się z gęstego lasu. Wkraczamy na rodzaj jednostajnej wyżyny, na której obszerne polany i lany dury upstrzone są niewielkimi kępami drzew.

Przed południem docieramy do dużej wioski na brzegu rzeki, gdzie się zatrzymamy na dłuższy z konieczności postój. Przyjęcie, jakiego tu doznaję, kontrastuje bardzo mile ze źle ukrywaną niechęcią mieszkańców Kordofanu i zgodne jest z tem, co mi opowiadano o łagodniejszych obyczajach Arabów z nad górnego Nilu Błękitnego. *Faki*<sup>1</sup> udzielił mi z miłą chęcią gościny pod słomianym dachem, spoczywającym na dziesięciu słupach, i zawiesił wielką zasłonę płócienną, aby mnie lepiej osłonić przed skośnemi promieniami słońca; żona jego przyniosła mi mleka, za które nie chciała przyjąć żadnej zapłaty. Spora ilość mieszkańców przybyła na powitanie podróżnego, wycofując się dyskretnie, gdy miano mi podać herbatę. Islamizm tych ludzi trzyma się ściśle koranu: obowiązek nienawidzenia chrześcijan ukrywa się z pewnością pod maską obowiązku gościnności względem podróżnego. Boją się, oczywista, rządu i szanują go, znając przemożną jego siłę, i to im ułatwia ukrywanie żywej w głębi serca nienawiści pod gładkimi formami grzeczności. Stanowczość brytyjska narzuciła szacunek dla kapelusza chrześcijańskiego tarbuszom i turbanom muzułmańskim w krainach obu Nilów. Nie znają tu turystów, każdy hełm korkowy biorą bez wszystkiego za hełm urzędnika angielskiego, względy więc, jakimi mię

---

<sup>1</sup> Coś jakby wójt. *Przyp. tłum.*

otaczają, tłumaczą się również pewnem nieporozumieniem. Nieraz w miasteczkach dolnego Białego Nilu albo w ich pobliżu krajowcy przerywali na mój widok robotę lub też wstawali, i zarówno kobiety, jak mężczyźni i dzieci, kłaniały się po wojskowemu. Na drodze do Dżebel Gule nieliczni piechurzy, których spotkałem, schodzili ze ścieżki, abym mógł przejść, zatrzymywali się, stawali na baczość i prezentując dzidy, oddawali mi honory wojskowe. Dzisiaj, na ładnej i krótkiej drodze, która prowadzi z wioski mego postoju południowego do Abu Naama wśród zielonego lasu, odgradzonego od rzeki łąką, przejeżdżający Arabowie zsiadli ze swych osłów, jak tylko mię spostrzegli, i salutowali, nim zdołałem się z nimi zrównać. Na tych niezmiernych obszarach, gdzie srożył się fanatyzm, mord i kradzież, grabież i wojna, Europejczyk zapewnił panowanie pokoju; garstka administratorów angielskich, choć dalekich i zazwyczaj niewidzialnych, ugruntowała poszanowanie dla osób i ich mienia oraz karność.

Przeciwny brzeg Nilu wznosi się stromo w górę. Aluwjalna jego ziemia pokryta jest lasami, wśród których sterczą tu i ówdzie wioski z parasolami dachów, jakby rodziny grzybów w trawie. Pod Abu Naama zatacza Bahr-el-Azrak wielki łuk: olbrzymie ławice piasku walczą o lepsze z opadłą, coraz płytszą wodą, o łożysko, wciśnięte między wysokie brzegi z tłustej ziemi; osady rozsiane są kępami dachów w kształcie pieprzniczek na skraju lasów, rozpostartych na całym widnokregu. Powracający ze swego pola Arab pozdrawia mię i uprzejmie składa mi w darze pęk kukurydzy, którą niósł do domu.

Angreb mój ustawiono wśród chat, między siedzibą



szeika i *medreseh*.<sup>1</sup> Wpatruję się w zapadającą na wioskę i lasy noc. Dzieci wchodzą do podwórka przy szkole, ogrodzonego suchemi cierniami, rozniecają wielki ogień i siadają dookoła; trzymając w ręku tabliczki z alfabetem lub modlitwami, uczą się przy świetle ogniska głosek lub wierszy koranu, usiłując, każde dla siebie, zapamiętać lekcję, wykrzykując ją na całe gardło, przy czem półnagie ich torsy kiwiają się tam i zpowrotem. Gdy nadchodzi pora modłów, nauczyciel daje znak: milkną nagle, ustawiają się w szeregach za nim i wspólnie odmawiają modlitwę, piątą i ostatnią tego dnia.

Dzisiaj nad ranem, około trzeciej, budzi mnie ze snu kakofonia dziecięcych głosów z dnia wczorajszego. Dzieci powróciły już do szkoły, siedzą dookoła wielkiego, jasnego ognia, buchającego w samym środku chaty, gdzie chronią się przed chłodem poranku. Z tabliczką w ręku, kołyszając rytmicznie przepasane szarfą torsiki, wykrzykują, co sił starczy, lekcję cienkimi swemi głosikami. Ale o świcie, na dany znak, uciszają się nagle, ustawiają się w dwóch szeregach i, naśladując postawę i słowa nauczyciela, modlą się razem z nim, odmawiając pierwszą modlitwę rozpoczynającego się dnia.

Słońce ukazuje się ponad lasami przeciwległego brzegu. Osły dźwigają już juki. Szeik przychodzi pożegnać się i towarzyszy mi aż do drogi.

Przed nami, aż do Chartumu, ciągną się teraz równiny Sennaru, zarośla, wioski i pola uprawne. Przecho- dzimy przez wielkie lasy mimozy i porozrzucane wśród nich obszerne polany, na których słońce doreszty wy-

---

<sup>1</sup> Szkoła.

suszy jałowe trawy i słomę dury. Wioski stoją blisko siebie. Skończył się wielki las, ścieżyny wspólne dla ludzi i zwierząt, zniknęła obawa zaskoczenia przez noc, zanim się dotrze do jednego z rzadkich osiedli, przyczajonych na brzegach górnego Nilu Błękitnego.

Pozostajemy na południe w wielkiej, nadbrzeżnej wiosce i, jak zwykle, szejik umieszcza nas w gościńcu dla przejezdnych gości i czuwa nad tem, aby nam niczego nie zbrakło.

Po krótkim marszu docieramy następnie nawprost Karkoi, jeszcze przed zachodem słońca. Wobec tego zapuszczamy się nieco dalej po krętej ścieżce, wśród lasków zdobiących brzeg Nilu. Zbliżamy się do błękitnych jego wód i złotych, piaszczystych wybrzeży na coraz częstszych jego zakrętach. Wysokie, cieniste brzegi ciągną się jak groble wzdłuż wąskiego łożyska, Z nastaniem nocy kładziemy się do snu na wzniesieniu, z którego widać podwójny w tem miejscu zakręt rzeki.

I znów jedziemy przez całe przedpołudnie, to przez lasy, to przez równinę pokrytą zeschlą trawą, lub wśród pól zasłanych słomą dury. Czasem ukazuje się wioska na zakręcie rzeki, zbliżającym naszą drogę do jej jasnych wód, w których się niebo przegląda, do wielkich, złoconych słońcem plaż, do czarnej ziemi brzegu i rosnących na nich lasów.

Nareszcie w południe ukazuje się Singa, stolica prowincji Sennar, jej chaty i jej suk, gdzie sprzedają maty słomiane, sławne z bogactwa barw i rysunku.

Oślarze moi z Rencku opuszczają mię tutaj i wracają do domu. Od wczoraj toczę na suku długie pertrak-



tacje, gdyż trzeba mi trzech ludzi i czterech osłów. Dziś rano zgłasza się czterech ludzi, każdy z osłem, z którym, jak twierdzi, niepodobna mu się rozstać. Muszę się poddać ich żądaniom. Mógłbym zażądać interwencji *mahmur'a*,<sup>3</sup> ale musiałbym w takim razie czekać na otwarcie biur, a wymarsz odłożyć do popołudnia.

Gromadka moja rusza z miejsca przy akompaniamencie jednego z oślarzy, wyśpiewującego hymny na cześć Mahometa. Ruchliwa droga gubi się wśród wysokich, żółkłych traw równiny, urozmaiconej miejscami laskami lub rzadkimi zaroślami. To znowu jedziemy wśród obszernych łąnów dury, z której została tylko słoma; widocznie niedaleko jest jakaś wioska.

Silny wiatr północny łagodzi upał. Po drodze mijamy licznych Arabów na małych osiołkach. Po niedawnych jeszcze, niepewnych czasach pozostał im zwyczaj, że nigdy nie puszczają się w drogę bez dzidy w rękę.

Oślarze moi zapewniali mię, że w ciągu dnia robią dziesięć godzin drogi, z czego na przedpołudnie przypada sześć godzin. Ale już po trzech godzinach zapytują, wskazując na jakąś wioskę: „Zatrzymamy się tam?“ Sam więc będę naznaczał przystanki i wymarsze, radząc się tylko mojego zegarka.

W południe zatrzymujemy się w jakiejś wiosce. Muezin nawołuje do modlitwy. Oślarze przestają jeść i powtarzają za rozlegającym się w powietrzu głosem formułę wiary, zrywającą wszelką więź między społecznością muzułmańską a resztą ludzi. Choć przyjmują mnie gościnnie, wysilają się na grzeczności i akty kurtuzji, witają serdecznie i życzą szczęśliwej drogi, wszyst-

---

<sup>1</sup> Sędzia.

ko to jest tylko pustą formalnością: jestem chrześcijaninem, a zatem cudzoziemcem i wrogiem. Klęcząc na koźlej skórze, odmawia oślarz, który na równinie opiewał chwałę Mahometa, modlitwę nienawiści: na siebie tylko i braci swych w islamie wzywa dobroci i miłosierdzia Boga.

...Przewodnik schodzi z głównej drogi. Pytam go o powód.

— Bo następna wioska jest bardzo daleko.

— Jak daleko?

— Bardzo daleko!

Nie sposób uzyskać bliższych wyjaśnień. Ścieżka, na którą zapuściliśmy się, dochodzi do jednego z licznych kolan rzeki, gdzie Nil raduje oczy błękitem swych wód, płowym piaskiem, zielenią wysp i brunatną ziemią brzegów, ocienionych gęstymi lasami. Przewodnik skręca do jakiejś wioski.

— Nie przypuszczasz chyba, — mówię mu — że zgodzę się na spędzenie tutaj nocy, po półtoragodzinnym zaledwie marszu?

Namyśla się chwilę i odpowiada:

— Nie. To tylko dla napicia się wody.

— Napić się wody! Toć piłeś półtorej godziny temu, a zresztą, jeśli chcesz wody, to masz ją w tej *zemzemji*. Pij!

Moi ludzie wahają się, nie ruszają się z miejsca i spoglądają po sobie pytającym wzrokiem. Odzywam się przeto do nich:

— Chcecie iść do wioski, by napić się merysu! wiadomo!

Patrzą na siebie w milczeniu. Ale jeden z nich, usiłując stawić mi czoło, wyrывa się:



— Merysu? Gdzież tu jest merys?

— Dostyć tego! Znam was dobrze! Nie brak go w żadnym domu, i wszyscy muzułmanie są pijakami! Napijcie się tej wody, i jazda!

Trzech ludzi pije wodę, czwarty jednak, ten który opiewa chwałę Mahometa i nosi dzidę na dwanaście stóp długą, pognał już ku wiosce. Krzyknąłem mu na drogę:

— Będziesz się modlił do merysu! Nadeszła godzina *asr'u*.

Reszta chętnieby na niego poczekała: rozkazuję im iść dalej.

Kilka chwil potem spojrzałem za siebie, nie odwracając głowy, i stwierdziłem, iż mój sługa mimo wyraźnego zakazu idzie pieszo, jak to już był uczynił nad ranem;<sup>1</sup> oślarze siedzą w siodle. Nie odwracając się, wołam go:

— Mohamed! Bywaj, a szybko!

Gdy słyszę obok siebie odgłosy jego kroków, pytam go, nie patrząc na niego:

— Dlaczego jeszcze idziesz pieszo? — Wsiadaj natychmiast!

Po pięciu minutach zawracam nagle swego wierzchowca: Mohamed wciąż jeszcze idzie pieszo. Wskazuję mu na jednego z ośłów: — Siadaj tu! Oślarz ustępuje mu miejsca. Puszczam ich wszystkich przed siebie, aby mieć ich na oku. Słyszę, jak mruczą niewyraźne słowa, wśród których odróżniam tylko jedno, powtarzające się często, *nusrani*, chrześcijanin.

Gdy spotykają na drodze znajomego, przystają i prawią sobie grzeczności bez końca, tyle się troszcząc o mnie,

---

<sup>1</sup> Powinien zaoszczędzać sił na moje usługi podczas postoju; tylko oślarze mają obowiązek prowadzenia swych zwierząt.

jakbym wogóle nie istniał. Aby podtrzymać swój autorytet, baczę pilnie na to, by osioł mój ani na chwilę nie zwolnił kroku, dzięki czemu zmuszam ich do śpiesznego doganiania mnie. Ich sposób myślenia odsłania stan umysłów w całej tej dość gęsto zaludnionej prowincji, w której mieszka sporo kupców chrześcijańskich ze Wschodu, Greków i Syryjczyków, jako że położona jest na brzegach rzeki, splawnej przez sześć miesięcy, w okresie suszy co prawda tylko częściowo. Ani śladu uprzejmości krajowców górnego Nilu Błękitnego: nikt mnie tu nie uważa za urzędnika, ludzie, których mijam na drodze, nie kłaniają mi się nigdy, nie schodzą nawet z drogi, szejkowie wioski nie wychodzą mię witać, spełniają tylko prosty obowiązek, jeżeli przeznaczają mi dom dla przejezdnych gości, ale pokazują się tylko moim ludziom i z nimi tylko rozmawiają. Spadła zasłona, za którą ukrywało się wrogie ich usposobienie.

Jedziemy stępą wśród lasu krzewów, rosnących gęsto w pobliżu Nilu. Zbliżamy się do głównej drogi. Niezrozumiały kaprys skłania jednak moich oślarzy do powrotu ku rzece po krętej ścieżce. Dopiero gdy słońce się zniża ku widnokręgowi, mówią mi:

— Najbliższa wioska leży w tej tam stronie, o pół dnia drogi od Sennar.

I aby dostać się do tej wioski, trzeba nam wrócić do wielkiej drogi, przeciąć ją i wejść na ścieżkę prowadzącą na południe. Wędrowaliśmy z ich winy całą godzinę dłużej niż było potrzeba. Na postoju nie wydaję im herbaty.

...Na niebo wyroiły się gwiazdy, a człowiek z dzidą, lubiący merys, odmawia modlitwę nienawiści: błaga Boga, by darzył jego tylko i braci jego w Mahomecie dobrocią i miłosierdziem.



Po wschodzie słońca...

Przez zarośla krzewów, zaścielające równinę, idzie człowiek z dzidą i śpiewa: „Jeden jest tylko Bóg, a Mahomet jest jego prorokiem! Mahomet jest jego prorokiem! Mahomet jest prorokiem Boga! Mahomet prorok! Mahomet prorok!...” Powtarza te formułki sto razy, bez przerwy, niestrudzenie.<sup>1</sup> Jadę na końcu, gdyż słuchają wtedy tylko, gdy ich się ma na oku, i ustępują tylko przed groźbą. Po niejakiem czasie zatrzymują się pod pretekstem poprawienia juków na osłach; mijam ich i nie dopędzają mnie; odwracam się: mój sługa znowu idzie pieszo! Oślarz, którego wymieniam po imieniu, otrzymuje rozkaz ustąpienia mu swego siodła. Wykonywa go natychmiast. Zbyt wielcy to oszuści i tchórze, by odważyli się na jawny opór. Mogę powrócić na koniec karawany.

Przez pięć godzin jedziemy wśród krzewów i gaików okrywających równinę. Rozpaloną ciszę przerywa tylko od czasu do czasu smutne i słodkie wołanie turkawek... Wkrótce żółta słoma łańców dury zapowiada nam bliskość Sennaru, którego strzechy słomiane stoją tuż nad Nilem. Błękitne jego wody płyną pomiędzy złotymi ławicami wśród wysokich, uwieńczonych lasami brzegów. Tutaj, nad wielkim zakrętem wijącej się kapryśnie rzeki, wznosiła się dawna stolica międzyrzecza obu Nilów: dziś stoi na tem miejscu uboga wioska. Suk jest maleńki, pod arkadami jego kilku kupców wyczekuje na nielicznych klientów. Jeden z nich mówi mi ze smutkiem:

— Nic tu nie można zrobić. Niema ludności i niema handlu. Sennar nie ma żadnego znaczenia. Dwie tylko wioski znajdują się w znośnem pobliżu.

---

<sup>1</sup> Niektórzy derwisze zobowiązani są powtórzyć sto, a nawet tysiąc razy na dzień formułę wiary muzułmańskiej.

Opuszczając Sennar, przesuwamy się obok ruin starożytnego miasta: domy z ziemi i budynki rozpadają się w gruzy i kruszą wskutek opadów letnich. Po krótkiej jeździe wśród spalonych traw i gajów zarośli nocujemy w wielkiej wiosce, w której wyrabia się owe śliczne maty słomiane, tak delikatne, o tak żywych barwach i skomplikowanych deseniach, że podobnych nigdzie indziej poza doliną Nilu Błękitnego nie znajdzie.

Oślarz z dzidą, ocknąwszy się, odmawia wraz z trzema swymi towarzyszami modlitwę. Potem przesuwa w rękę różaniec. Na drodze, o ile nie śpiewa więcej: „Jeden jest tylko Bóg, Mahomet jest prorokiem Boga!“, powtarza tę formułkę sto i dwieście razy pokolei, zgodnie z regułą, przestrzeganą przez członków niektórych bractw religijnych. Nieściste byłoby wyobrażenie nasze o muzułmaninie, gdybyśmy go porównali z chrześcijaninem, przestrzegającym sumiennie praktyk swej religii: należy go zestawić z kapłanem naszym lub zakonnikiem. Modlitwa pochłania mu dużo czasu; myśl o religii dzierży w życiu jego bezwzględnie prym. Rozmowy jego, o ile nie odnoszą się do przyjemności lub pieniędzy, dotyczą religii. Idea religijna dominuje nad całym jego życiem. Potęgę swą zawdzięcza islamu temu tylko, że zapuścił potężne korzenie w duszy każdego ze swych wyznawców; życie religijne każdego z nich dochodzi do owego stopnia natężenia pod wpływem metodycznej i wytężonej zaprawy: mnogość codziennych praktyk religijnych, stała lektura koranu, ciągle powtarzanie formułki wiary, wszystko to poddaje ich silnemu ciśnieniu religijnemu i utrzymuje ich pod nim. Stają się jakby apostołami bez trudu, pod wpływem samorzutnych dążeń duszy. Zwłaszcza na pograni-



czach islamu i krajów pogańskich zdobywca ta działalność ze szczególną występuje siłą. Kupiec arabski, spotkany w małej osadzie Szylluków na krańcach kraju Selim, powiedział mi, wskazując na pijących merys Szylluków:

— Czynią to, bo nie mają Księgi!

— Zapominasz, — odparłem mu, — że cały Kordofan i cały Sennar posiada księgę Mahometa, a czuć go merysem.

W Faszodzie trudni się handlem piętnastu czy dwudziestu kupców arabskich. Otóż kupcy ci zbierają się w godzinie modłów na placu suku i, przekształcając go na meczet, odmawiają pod kierownictwem jednego ze swego grona, publicznie i ostentacyjnie, modlitwę. Czarni naprzeciw suku, widzą ich, jak nawracają przykładem, czekając na stosowną porę do nawracania słowem, czy też na powrót szczęśliwych czasów Mahdiego, kiedy to pogan niewolić się będzie mieczem.

...Przez pola, z których zebrano plony, przez zaslana krzewami równinę, niedaleko od zielonych czubów drzew nad brzegiem Nilu Błękitnego, ciągnie mała moja karawana. Arabowie, których mijamy, nie pozdrawiają mnie i nie schodzą z drogi. Do ludzi moich jednak odzywają się słowami: „*As salam aleikum!* Niech Bóg nad wami rozacza swą pieczę!“ A człowiek z dzidą śpiewa dalej, jakby we śnie: „Mahomet jest prorokiem Boga! Mahomet jest prorokiem!“.

Nazajutrz.

Rozległe pola dury, lany dojrzałych zbóż, choć mija godzina za godziną... Korzystając z tego, że zboże nie jest sprzątnięte, oślarze, upewniwszy się szybkim spojrzeniem,

że nikt ich nie widzi, zrywają pośpiesznie garść kłosów. Mówię im:

— Jesteście złodziejami!

Śmieją się z tego, a potem odpowiadają:

— Wszyscy tak robią... Kraj nasz jest naprawdę łaskawy! Dury w nim nie brak!

Prawda, że wszyscy robią to samo: wielbłądnicy, oślarze, wszyscy; przekonałem się, że grabią i kłamią z tą samą naturalnością. To też fellahowie, gdy ich stać na to, utrzymują czatowników na wysokich platformach.

Gdy mówię do jednego z mych oślarzy:

— Jesteś muzułmaninem, a pijesz merys. Wiesz przecie, że tego nie wolno.

— Tak, — odpowiada, — wiem o tem.

— Dlaczego więc pijesz?

— Wszyscy tutaj piją. Jeżeli się tylko wyznaje Boga i proroka jego Mahometa, niema powodu do najmniejszych obaw... A wreszcie, *ma alesz!*<sup>1</sup>

— Dlaczego w takim razie nie jadasz wieprzowiny?

— Bo nie wolno.

— Jedz i powiedz: *ma alesz!*

Otrzymuje jednak stale tę samą odpowiedź:

— Wieprzowinę? Nigdy! To niedobre!

Żołnierz krajowiec, jadący na wielbłądzie w kierunku Wad-Medani, przyłącza się do nas. Zauważył mnie: *Khoga!*<sup>2</sup> Czyżby w jego jukach nie miało być kilku butelek alkoholu? Na postoju stwierdza z niemałym rozczarowaniem, że nie mam ani kropelki, więc pośpiesza do jakiejś

<sup>1</sup> Mniejsza o to.

<sup>2</sup> Termin ogólny, oznaczający jakiegokolwiek Europejczyka, który, zdaniem krajowców, podróżuje w celach handlowych.

chaty, aby opić się merysem. W cieniu drzewa, w pobliżu kolana rzeki, częstuję szejka i szeryfa wioski herbata.

— Wspaniały z ciebie człowiek — oświadczają mi. A ja na to:

— Skąd możecie o tem wiedzieć?... Mówią mi to zawsze, gdy spodziewają się ode mnie bakszyszu.

— Ależ! — nalegają. — Odrazu poznać, że nie jesteś Anglikiem: jesteś przynajmniej grzeczny! Francuzi są naprawdę lepsi.

Ale ja przecinam rozmowę:

— Muzułmanie sądzą, że wszyscy chrześcijanie, kimkolwiek są, są nicponiami, i że najlepiej byłoby wypędzić ich z tego kraju.

Szeik, szeryf<sup>1</sup> i otaczający nas krajowcy milczą wymownie.

Na drodze dogania nas żołnierz i stara się nawiązać bliższą znajomość, obiecując sobie po niej, mimo pierwsze rozczarowanie, jakąś korzyść.

— Czy chcesz — mówi — wsiąść na mego wielbłąda? Zrobimy tak: dwie godziny ty na moim wielbłądzie, ja zaś na twym ośle, a potem, przez następne dwie godziny, każdy pojedzie znowu na swoim wierzchowcu.

— Poco? Podróżowałem na grzbiecie wielbłądzim w Kordofanie przez dwadzieścia jeden dni. Nie nowina to dla mnie.

Po kilku chwilach milczenia:

— Jak się nazywasz? — pyta mię.

— Bóg raczy to wiedzieć.<sup>2</sup>

<sup>1</sup> Potomek Mahometa. W świecie muzulmańskim roi się od szeryfów.

<sup>2</sup> Odpowiedź wymijająca, częsta u muzulmanów.



Jeszcze nie daje za wygraną:

— Powiedz mi swe nazwisko, a ja ci powiem swoje, gdyż uważam ciebie za przyjaciela i chciałbym nim być dla ciebie.

— Muzułmanin nie ma przyjaciół poza muzułmanami, merysem i pieniędzmi.

Po tej odprawie dopiero rezygnuje, oddala się od nas i na noc szuka sobie oddzielnego legowiska.

...Bezmierne łąny żółtych dojrzałych zbóż. Żłocista równina aż do krańców świata. Ścieżka tonie wśród wysokich łądyg, dźwigających ciężkie kłosa dury. Słońce rzuca ostatnie swe promienie na tę Beauce<sup>1</sup> afrykańską. Woddali mającą śpiczaste dachy wioski, w której mamy nocować.

Nad ranem...

Kaprys rzeki zbliża ją do naszego szlaku. Dotykamy jednego z tych błękitnych zakrętów, gdzie piasek wybrzeży tworzy jasną plamę. Zielone czuby drzew mówią o tem, że brzegi Bahr-el-Azrak lubią cienie wielkich lasów. Osły nasze drepcą wśród zarośli, a potem znowu wkraczają na żyzną równinę. Po niedługim jednak czasie ukazuje się ponownie smuga zieleni i Wad-Medani. Nad kolanem rzeki, w której toczą się błękitne wody, poprzecinane ławicami piasku, stoją liczne chaty, arkady niezwykle ruchliwego soku i ceglane budynki administracji prowincji.

...Jeszcze kilka dni jazdy, a ukaże się nam na krańcu wielkiej równiny, szarej i nagiej, gdzie wiatr północny wznosi tumany kurzu i przenika chłodem, Chartum, miasto grecko-angielskie, przy zlewisku obu Nilów...

---

<sup>1</sup> Urodzajna prowincja Francji. *Przyp. tłum.*

...Jeżeli pojedziesz do krainy obu Nilów, będziesz wędrował przez niezmierne równiny i milczące lasy, popłyniesz po rzece, która jest jak równina wodna, będziesz nocował pod niebem, na którym krążą nieznanne gwiazdy. Gdzie niegdzie okrągłe chaty wioski ze śpiczastymi dachami; czasem przechodząca karawana; czasami wzbijające się pod niebo wycie rozszalałych derwiszów, słodki rozgwar białego tłumu, który śpiewa i tańczy, brzęczenie moskitów nad sitowiem mokradła, oddech hipopotama, kąpiącego się w spokojnych wodach wieczora, ryk lwa na brzegach Nilu Błękitnego przed świtem. A w ludziach, spotykanych na tych bezmiernych pustyniach, wyczujesz na każdym kroku złą wolę i nieszczerze usposobienie wroga, obelgę ledwie powstrzymywaną, grożący wybuchem bunt, pogardę pod udaną obojętnością lub hipokryzją uprzejmości, a zawsze nienawiść... Jedź do krainy obu Nilów, krainy nienawiści: siła tam panuje, lecz jeśli jesteś silny i sprawiedliwy, pozyskasz szacunek.

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH  
Nr. \_\_\_\_\_~~



## SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
I. Wgórę rzeki nubijskiej . . . . .	3
II. Naprzelaj przez Kordofan . . . . .	20
1. Do El Obeid . . . . .	20
2. El Obeid . . . . .	51
3. Na ścieżce wiodącej do Białego Nilu . . . . .	57
4. El Dueim . . . . .	67
III. Na Białym Nilu . . . . .	77
1. W drodze do Kodoku . . . . .	77
2. U Szylluków . . . . .	92
IV. Od Białego Nilu do Nilu Błękitnego . . . . .	117
V. Na brzegach Nilu Błękitnego: W kierunku Chartumu . . .	128
1. Poprzez lasy . . . . .	128
2. Przez równiny . . . . .	140

---

---



## SPIS RYCIN

1. Skała nad brzegiem Nilu.
2. Wysokie palmy wznoszą się nad brzegami rzeki.
3. Przewoźnicy nubijscy.
4. Od czasu do czasu ukazują się ruiny świątyń.
5. Grupa palm.
6. El Obeid. Sklepy.
7. El Obeid. Targ zbożowy.
8. Obciążanie wielbłądów jukami.
9. El Obeid. Kupcy syryjscy ze służącymi z Sudanu przed kramami.
10. Brzegi Nilu Białego porośnięte sitowiem i papirusami.
11. Denkowie spotykani wzdłuż Nilu Białego w pobliżu Melut.
12. „Palabre“ u Szyluków.
13. „Pirogi“ Szyluków.
14. Wioska Dżebel Gule.
15. Główna ulica w Roseires.
16. Sennar nad Nilem Niebieskim. Kobieta niosąca wodę z rzeki.

Mapka dorzecza Nilu.

